





HISTORYONI  
113

WINCENTY RAPACKI



# HISTRYONI

113



SPÓŁKA WYDAWNICZA POLSKA W KRAKOWIE

1906.

Biblioteka Pedagogiczna w Radomiu  
nr inw.: K - 58492



BGZs 58492



58492  
884-3

HISTRYONI

POWIEŚĆ Z CZASÓW DYOKLECYANA

113

*Kolegom po masce i piórze*

*te powieść poświęcam.*

*Jeśli trafisz na żywot stanu  
twego, wszystko się przyda co  
tam jest.*

*Skarga. »Żywoty Świętych«.*

I.

Teatr Marcellusa.

Pod szczególnym zarządem edyla, Marcusa Triboniana, pozostawał teatr Marcellusa.

Lubo Dyoklecyan poznosił dawne urzędy i stworzył mnóstwo nowych z niezmiernie skomplikowanymi atrybucjami, pozostawił przecie niektóre z nich, związane ściśle z obyczajem dawnej Rzeczypospolitej i poprzednich cesarów, a do takich należało — edylostwo.

Teatra i cyrki po staremu zarządzane były przez edylów. Oprócz teatru Marcellusa, miał Rzym dwa jeszcze: — stary olbrzymi Pompejusa i Balbusa. Ale podczas, gdy w pierwszym dawano pantominę i wielkie widowisko z wystawą, drugi służył dla podrzędniejszych sztuk ludowych, zwanych atellanami i mimami.

Prawdziwym przeto przybytkiem sztuki w szlachetniejszym znaczeniu — był — teatr Marcellusa.

Zbudowany przy placu dziś Montanara, gdzie pałac Orsinich, naprzeciw mostu Fabrycyusza, mieścił 20.000 widzów. Miał z jednej strony forum Olitorio, z drugiej portyk Miniucia.

Prócz Terencyusza i Plauta, zobaczyć tu można było zlatynizowanego Sofoklesa i Euripidesa, nie mówiąc o Senecie, Attiliuszu, Calpurniuszu i innych.

Starszym aktorem trupy, czyli trzody (*gregis*), jak ją wówczas zwano, był grek Filomachos, wyzwoleniec Dyoklecjana.

Taki *Dominus gregis*, to dzisiejszy — dyrektor artystyczny, płatny przez edyla jak i całe towarzystwo. On wybierał i oceniał sztuki, obsadzał role, informował aktorów na próbach i wystawiał dzieło.

»Trzoda« składała się z piętnastu mężczyzn i dziewięciu kobiet.

Wszyscy byli niewolnikami.

Prócz młodej sycylianki Serwili i komika Tranija, którzy stanowili własność Filomacha, reszta należała do rozmaitych panów, i ci wynajmowali ich teatrowi Marcellusa.

Tragik Megador, żyjący z Druzillą, byli własnością starego patrycyusza Kassjusza Varusa.

Kryspina z dwoma córkami, tancerkami, należała do pretoryana Longinusa.

Rufus błazen był niewolnikiem hetery Zenobii.

Korbulo, Festus i Eponina byli własnością starego aktora Apolinarisa Quartusa, który ich sobie wykształcił. Utrzymywał on przy tem szkołę.

Bassilides muzyk był niewolnikiem edyla Mussoniusa Valensa.

Bassus, Silius, Genesisus, należeli do budowniczego Vopiscusa.

Reszta podrzędniejszych pracowała dla rozmaitych panów.

Teatra rzymskie przechodziły rozmaite fazy powożenia. Zależało to od cesarów, którzy kolejno byli zamiłowani w sztuce, lub w walkach gladyatorów, albo w wyścigach w cyrku.

Gdzie cesar tam i lud!

Wtenczas teatra wlokły nadzwyczaj nędzny żywot. Dawano w nich przedstawienia dwa, albo trzy razy do roku, w święto Lupercalia około 15. lutego, Kastora i Polluxa 15. lipca i nakoniec w Saturnalje, twające kilka dni w grudniu.

W miarę powodzenia teatrów, traktowano lepiej lub gorzej i histryonów. Za jednych cesarów stawiano im posagi, za innych pogardzano gorzej zwierząt.

Ezop zostawił majątku milion sesterceji, Roscyusz miał dochodu rocznego około sześciu tysięcy.

Marek Aureliusz znów postanawia, aby płaca histryona nie wynosiła więcej nad 10 piądziesiątków złotych.

Wespazyan płacił hojnie, i obdarzał ich złotymi wieńcami.

Nadeszły jednak czasy zupełnego upadku sceny. Na klasyków starych patrzeć nie chciano, żądano przypraw pieprzonych i drażniących, doszło nawet do zupełnego rozbestwienia. — Wreszcie poczęto się domagać, aby sztuka odzwierciadlała rzeczy znane i bieżące.

Marzono o — reformie teatru.

Ale teatr jest wyrazem społeczeństwa, i od niego reforma zacząć się musi.

Bądź co bądź, próbowano starą machinę na nową przekuć formę. W »mimach« pojawiały się sceny żywcem wzięte z codziennego życia, ale ich nie ożywiało tchnienie talentu — motłoch tylko w nich smakował.

Współcesar Marcus, Antonius, Valerianus Maxymianianus zwany Herkulesem, człek dzikich obyczajów i żołdak, nad teatr przekładał walki tygrysów, i trzeba dopiero szczególniejszego wypadku, który właśnie sprawił, że naraz zasmakował w teatralnych widowiskach.

Dokonał tego młody histryon Genezjusz, jeden z pierwszych w teatrze Marcellusa, świetna jego gwiazda.

Napisał komedję, w której wystawił chrześcijan.

Rzym ryknął z radości.

Po raz pierwszy miał ujrzeć znieawidzoną i tępioną przez trzy blisko wieki sektę chrześcijan na scenie, tych chrześcijan, którzy go nieraz nabawiali tajemną trwogą, zawsze witani zarówno ciekawością jak i — wstrętem.



Sztuka nosiła tytuł: *To twoje, a to moje* — albo: *Ani twoje ani moje*. Była to igraszka słów, w której autor chciał wyszydzić komunizm chrześcijański, będący główną osią sztuki.

Co do formy, była ona dalszym rozwojem dawnych »mimów«, tylko, że Genezjusz rozszerzył ich zakres, bo zamiast luźnych scen, stworzył prawdziwą komedię charakterów, biorąc do niej postacie z rzeczywistego życia i nazywając niektóre własnym imieniem.

Przewodnikiem i niejako materyałem były mu satyry Lucjana, czytane wówczas chciwie. Zjadliwa ironia natchnęła historyona, do tego stopnia, że się baczniej ją przypatrywał zniechęconej sekcji i brał żywe rysy do swojego utworu.

Okrzyknięto go rzymskim Arystofanem.

Czego nie mógł dokazać Noeviusz za rzeczypospolitej, przypłaciwszy to życiem, dziś dokazał Genezjusz. Rzym miał swego Arystofanesa.

Ten niewolnik mimowiednie stanął na wyżynie politycznego męża. Stał się rzecznikiem zagrożonego porządku państwowego.

Wskazał palcem:

— Oto sekta, która podkopuje przywileje możnych.

Takie wrażenie wynieśli widzowie ze sztuki Genezjusza.

Maxyminijan kazał udarować go wolnością i obdarzył srebrnym wieńcem.

Sztukę grywano, nie czekając uroczystych dni. Rozkazał cesarz, aby każdego dnia w tygodniu zwanego *Nundianae* w dni targowe, gdzie z okolic za kupnem do miasta przybywano, odbywało się przedstawienie.

Rzym szalał, wrzał, krzyczał sztuką Genezjusza.

Nosiła ona na sobie cechy wielkiego talentu.

Za jej żywotnością przemawiało i to, że się potworyły stronnictwa... i gdy jedni rzucali na chrześcijan

przekleństwa i grozili zniszczeniem, drudzy w nich widzieli nowych ludzi, którzy stary świat odbudować pragną. Do tych ostatnich należeli niewolnicy i cała falanga biedaków.

Było z kolei dziesiąte przedstawienie.

Historyon wyszedł z teatru jako tryumfator, towarzyszyły mu głośnie okrzyki tłumów.

Młodzian to lat dwudziestu kilku, o pięknych męskich kształtach. Jego ściągnięta twarz uderzała takim wyrazem rozumu, przebiegłości i dowcipu, iż wydawało się, że ta głowa, niewłaściwie przyczepiona do młodzieńczych ramion, mogłaby raczej zdobić barki czterdziestoletniego męża. Tyle na niej już życie znaków swych zdawało się wypisać!

Palące jego czarne oczy patrzyły daleko i głęboko, wysokie i sklepione czoło zastanawiało brzemieniem myśli. Z pod brwi ciemnych i kształtnych, strzelał często wyraz dumy, niekiedy może piekielna ironia ją rozjaśniała, albo też melancholia smutku. Zdawało się, że wszystkie uczucia ludzkie z szybkością myśli, które wirowały pod czaszką, odbijały się na tej twarzy. Istna maska Proteusza!

Bo też była to tylko maska... Twarz była wyrobiona do historyońskiego rzemiosła, lubo rzeźbiarz mógłby go wziąć na model dla posągu znakomitego męża.

Rzym znał go od dość dawna, bo Genezjusz już chłopięciem piętnastoletniem brał udział w przedstawieniach i zasłynął pierwszy raz w roli syryjskiej tancerki, a potem w wielu, wielu jeszcze — a dziś dopiero zobaczył go po raz pierwszy. Cała falanga przyjaciół i wielbicieli prowadziła go przez miasto. Był to pochód tryumfalny. — Przeszli koło teatru Balbusa, gdzie czekał nań przygotowany wieniec od historyonów. Dalej takież sam ofiarował mu teatr Pompejusza. Z temi trofeami udał się do świątyni Minerwy.

Tu jako świeży obywatel i tryumfator składał ofiarę bogini. Zabito na jej cześć białą jałowicę, posypawszy ją soloną mąką. Z wnętrzości bydłęcia wywróżono Geneziuszowi najpiękniejsze wróżby długiego i szczęśliwego życia, dostatków i zaszczytów co nie miara.

Histryon, obmywszy się we krwi zabitego zwierzęcia, opuścił świątynię, by zasiąść do uczyty z przyjaciółmi.

## II.

### Termy Dyoklecjana.

Przeszło dwa miliony mieszkańców liczył Rzym Dyoklecjanów. Dla starożytnego świata, był to kolos, o wiele przewyższający nasz dzisiejszy Londyn. A gdy zważymy większą śmiertelność tamtych czasów, a mniejszy daleko przyrost, to te dwa miliony powiększą się olbrzymio. I co było w tych dwóch milionach? Zaledwie kilka tysięcy wielkich panów, wraz z ich niewolnikami, tyleż urzędników i wojska, resztę stanowiły tłumy żebraków.

Dla tej reszty trzeba było chleba i zabawy, co stanowiło troskę cesarów. Odbierano tedy jednym, aby dać drugim.

W ciągu kilku panowań, przybywało coraz więcej zubożałych rodzin patrycyuszów, którym majątki pokonfiskowano, aby rzucić je w wiecznie zgłodniałą paszczę tłumów; a tłumy te rosły coraz bardziej, bo je powiększały kadry zbiedzonych obywateli. Wzrosły tak, że ogólnie mawiano:

— Cezar i motłoch — to Rzym.

Kto pracował w tym motłochu? Niewolnicy. Reszta zaś pragnęła tylko jadła i zabawy. Jadła często braknąć musiało, a głodnych żołądków nie zabawi — i wtenczas zdziczałe tłumy przeradzały się w kanniba-

łów. Błogosławione czasy, gdy przyszła zaraza morowa i zabrała lwia część tych szumowin! Wówczas była chwila spokoju.

A gdy nie przyszła? Wtenczas palono Rzym wraz z głodnymi! Dyoklecjan powiedział sobie: za mało jednego cesara dla tych mas, i stworzył drugiego. I Rzym przestał być jedyną stolicą świata, miał ich... dwie.

Sam osiadł w Nikomedyi, a Rzymowi dał Maxyminjana. Potem jeszcze dwóch przybrał. Było ich czterech. A ilu cesarów, tyle stolic, a ile stolic, tyle dworów — a każdy dwór miał tysiące dostojników i służby wszelakiej. Przytem ująć potrafił w ścisłe karby całą administracyę państwową, tworząc mnóstwo urzędników.

Powstawał nowy teren dla ludzkiej działalności. Wytwarzał się nowy stan w społeczeństwie. Dawny senat przestał istnieć, zastąpili go ministrowie, kanclerze, szambelani, marszałkowie, intendenci, rządcy i t. d. i t. d. Pretoryanów, owych rozdawców cesarskich koron zniósł, tworząc nowe oddziały przybocznej straży herkulianów i jowianów.

Władza wojskowa ustąpić musiała cywilnej. Stworzył nowych ludzi. Stary Rzym republikański i cesarów dogorywał, powstawał nowy z absolutyzmem wschodnich despotów, z azyatyckim przepychem. Boskość majestatu cesarskiego doszła do szczytu.

Teraz był cesar i dostojnicy, reszta zwała się niewolnikami. Przekształcił społeczeństwo. Co nie miało cesarskiej barwy, było mniej niż niczem. Od cesara była jasność, w której świetle wygrzewało się ludzkie mrowie.

Był to budowniczy despotyzmu. Na podwalinach tronu, który zbudował, zasiadać będą kolejną wieków jego następcy, i wcielać myśl imperatora-despoty. I urodzi się cały potężny zastęp bizantyńskich władców, z obliczem surowem o owej bezbarwnej boskości, jak na medalach i pieniądzach współczesnych.

Brakło jednak temu cesarowi czegoś. Brakło mu — geniuszu; bo jakkolwiek potrafił silnie podeprzeć rozpadający się gmach Romy, narzucić zdziaczalym tłumom poszanowanie dla sponiewieranego majestatu, jakkolwiek ujął w karby swawolę żołdactwa, i powołał do życia i pracy to wszystko, co jego poprzednicy tylko niszczyć umieli, to przecież nie umiał się rachować z prądami chwili. Nie ocenił i nie zrozumiał siły, jaka leżała w nowych ludziach, a ci nowi ludzie mieli przekształcić świat cały.

Zadanie to spełnił dopiero jego następca, i zato go wielkim nazwano. Dyoklecjan, biedny dalmata, wznosił się własnymi talentami do najwyższych godności wojskowych. Świeża słowiańska natura nie potrafiła zasmakować w wyuzdanem i rozpustnem życiu zgniłego Rzymu. Przypatrywał on mu się zdaleka, potem zbliżka, i wyciągnął zeń wnioski.

Skryty, zręczny, podstępny, niesprawiedliwy, okrutny, miał przecież przed sobą cel wytknięty jasno. Znalazł środki podźwignienia starego świata, ale go odrodzić nie umiał.

\*

\*

W chwili, gdy się rozpoczyna nasza powieść, jeden z Augustów Dyoklecjan, zwycięzca Persów, urządza swój dwór w Nikomedyi, dzisiejszym Ismid, i zapowiada tryumfalny wjazd do Rzymu; podczas gdy drugi August, Maksyminijan, zwycięzca Allemanów, Franków i Burgundów, buduje w Rzymie wspaniałe termy, które odtąd będą nosić nazwę jego wielkiego współkolegi Dyoklecjana.

Budują je na obszernej płaszczyźnie między wzgórzami Kwirynału i Viminalu. Termy mają być odsłonięte z przybyciem cezara tryumfatora. Praca idzie spiesznie dniem i nocą. Stanowić one mają cud budowni-

ctwa. Mają one zagrzebać w niepamięci termy Agrypy, tuż przy Panteonie, termy Nerona, Tytusa, Trajana, a nawet najwspanialsze termy Karakalli przy *Porta Capena*. Trzeba się było uwiecznić. Trzy tysiące dwieście kąpiących się mają pomieścić w sobie, nie licząc tych, którzy przyjdą rozmawiać, czytać, używać gimnastyki, lub patrzeć na widowisko sceniczne, bo i teatr ma być urządzony w termach.

Mrowie ludzkie pod kierunkiem architekta wznosi mury wysoko i buduje sklepienia. Robota idzie pospiesznie, dlatego niema dnia, aby kilka ofiar nie spadło z wyżyny wyczerpanych i wycieńczonych.

Przy niektórych zjawia się gromadka ludzi, dając sobie znaki. Spełnia ona jakiś tajemny obrzęd, potem bierze trupa między siebie, obwija w białe płótno — i zawodząc pieśń cichą, rzewną — unosi gdzieś daleko po za mury miasta.

— Chrześcijanie! — wybucha wtedy tłum, i patrzy po sobie z trwogą, i bada śledzącym wzrokiem, jacy tu jeszcze między nimi należą do tej obmierzłej sekty.

Oto właśnie w jednej z sal, zwanej opodyterium, spadł z rusztowania młody niewolnik, potracony silnie nogą przez mistrza mozaiki.

Biedne ciało upadło na twardą, kamienną posadzkę, przysypane całą warstwą marmurowych i szklanych pieńków, które właśnie podawał artyście w wielkiej wazie z terrakoty. Upadając, złamał obydwie nogi, a w rękach, mimo to, dźwżył jeszcze mocno uszy wazy, która znowu ciężarem swoim zgruchotała mu piersi. Krew buchnęła z ust niewolnika.

Nie wzywał pomocy, bo i któżby mu ją dał, gdy biczą dozorczy smaga ustawicznie i popędza do pracy, skoro tylko którekolwiek ręce na chwilę spoczną.

Wtem jeden z pracujących w kamieniu, człek już starszy, zbliża się do ofiary.

Przyklęka, oswobadza ze skorup, a potem biorąc w obie dłonie głowę biedaka pyta z dobrocią:

— Czy możesz mówić, bracie?

Niewolnik patrzy nań zdziwiony, nareszcie przez skrwawione wargi odzywa się cicho:

— Jam nie twój brat.

— Bratemś moim, boś nieszczęśliwym, i ja kocham cię jak brata. Pokrzep się tym napojem — i tu wyjął z zanadru tykwę i zbliżył ją do ust nieszczęśliwego.

— Gdzie ci najwięcej dolega?

— Wszędzie.

— Czy mi ufasz?

— O tak!

— I pozwolisz, że cię poniosę w bezpieczne miejsce, i będę miał o tobie staranie?

— Błagam cię o to.

I starzec nakreślił ręką jakiś znak w powietrzu.

Zbliżyło się dwóch ludzi.

— Ponieście go, bracia.

Wtedy dwaj ludzie podjęli lekko biedne ciało, jak gdyby nianka niemowlę, i oddalili się szybko.

Niemym świadkiem tej sceny był budowniczy Ce-tronius Vopiscus, który właśnie wszedł na salę w czasie upadku niewolnika.

Zbliżył się po chwili do kamieniarza, ociosującego spokojnie bryłę marmuru, i kładąc mu rękę na ramieniu, rzekł:

— Klodyonie, nędzny Klodyonie! czyż i dziś nie przestaniesz tych chrześcijańskich praktyk?

Starzec podniósł spokojnie głowę, a dwie łzy świeciły mu w oczach. On temi łzami dziękował Bogu za spełniony czyn. Otarł je szybko, powstał i rzekł:

— Nigdy, Vopiscusie.

— I śmiesz się do tego przyznać nędzny? ty, ojciec Genezjusza?

— Nigdyś mi ojcem jego zwać się nie pozwolił, choć byłem nim i jestem zawsze.

— Nie pozwoliłem i nie pozwalam teraz tem bardziej. Jeżeli ci to mówię, to dlatego, że się wzdrygam i oburzam, a zarazem dziwię tej sprzeczności.

— Ja się nie dziwię, Vopiscusie. Gdybyś go był nie wydarł dzieckiem z pod mojej opieki, byłby chrześcijaninem jak ja i matka jego. Dziś on histryonem i bluźni przeciw Chrystusowi, ale kiedyś spadnie mu zasłona i będzie gorliwym wyznawcą Boga Ojca, i Syna, i Ducha świętego.

— Ha, szalony! Po skończeniu robót, każę cię ochłostać, a potem na udręczenie twoje, przywiązać do słupa, za zasłoną na scenie w teatrze Marcellusa, abyś patrzył jak syn twój będzie bluźnił waszej ośle głowie.

— Wola twoja — odpowiedział niewolnik, i spokojnie oddał się pracy.

### III.

#### Rodzina niewolników.

Klodyon był Galem. W greckiej Masylii uczył się budownictwa. Wzięto go do niewoli w Arelate w chwili, gdy rysował plany fortyfikacji dla przywłaszczyciela Postumusa.

Był wówczas bardzo młody. Śmiało mu się życie, i w samym pączku mu je zatruto. Związanego powleczono do obozu Galliena, skąd z legionami cezara przybył do Rzymu. Tu po upadku Galliena przeszedł na własność Klaudyusza, potem służył Aurelianowi i prowadził budowę jego murów. Byłby doszedł do wolności i zaszczytów, gdyby cesarz nie zginął z rąk morderców.

Wówczas sprzedano go budowniczemu Vopiscusowi, który ze swego niewolnika wyluszczył wiedzę i ta-

lenta, a potem go obrócił na dozorcę, w końcu polecając mu murować i ociosywać głązy. Los znęcał się nad tym człowiekiem piekielnie, ale wielkie dusze dźwigają się i hartują.

Klodyon widział przepaści nędzy ludzkiej, i przepaści występku. Przechodził pomiędzy niemi nietknięty, dzięki pogodzie ducha, jaka go nigdy nie opuszczała. Mistrz jego, Miron, nauczył go być stoikiem.

— Cierpmy szlachetnie, mawiał mu Grek. A pamiętaj, że posiadasz skarb, którego cały świat wydrzeć ci nie zdoła, tym skarbem — śmierć.

W tych strasznych przedśmiertnych konwulsjach konającego starego świata, wobec orgii zbrodni, w ponurej nocy występków, na jakie już nigdy ludzkość patrzeć nie będzie, błąkały się duchy, jaśniejące całą potęgą niebiańskich blasków.

Byli oni drogowskazami na bezdrożach. Ginęli jak te »kamienie, rzucone na szaniec«, wedle słów poety, ale z ciał ich wznosiła się tama, strzegąca ludzkość od zagłady. Takimi byli stoicy. Znalazłeś ich i na tronie... i na rostrze, a najczęściej w owych jaskiniach przepaści-stych nędzy, gdzie zdaje się skoła wszelka nadzieja...

Jednym z tych był Klodyon. Wepchnięty do owego *ergastulum* niewolników, pomieszany z całą zgrają niskich, zwierzęcych natur, nie przestał nigdy być sobą. Z pogodnego jego czoła promieniała jasność. Na ustach błąkał się dobrotliwy uśmiech, który zjednywał mu najtwardsze serca. Przyszła jednak chwila, gdzie chciał sięgnąć po skarb, jaki mu był ze wszystkiego pozostał, wedle słów Mirona. Chciał wyzwolić duszę z krępujących ją więzów. Była to chwila niemocy wielkiej i gorczy. Owo przeświadczenie straszne o nicości i marności wszystkich czynów.

Nie chciał żyć, a był jeszcze młodym, bo trzydziści wiosen dopiero uprzedły mu parki. Miał pożegnać

towarzyszy, a potem rozmyślał, jaki zgotuje sobie koniec skuteczny, boć dla niewolnika było to zadaniem nielada. Przed ucieczką od życia śledzono ich baczenie i wrywano śmierci prawie, tuż na samym jej progu.

Było to w święto Saturna, w święto niewolników. Saturnalia, to obraz szczęśliwości ludzkiej, żyjącej w równości i swobodzie, dzień radości i upojenia. Niema panów, niema niewolników! Wszyscy sobie równi. Bat rzeźmienny uroczyście utopiony, zamknięte ergastulum, od którego klucze wręczono kapłanom. Na forum-romanium, blisko Kapitolu, obok świątyni »Concordia«, stała świątynia Saturna. Tu przechowywano skarb publiczny i odznaki wojenne.

Święto rozpoczęło się zdjęciem opasek, obwijających nogi posągu. Bożek przez cały rok miał na nogach rodzaj pończoch. Przy owem zdjęciu, zważali kapłani starannie, czy Saturn nie zostawił na podszwach śladów wędrówki po świecie. Znaczyło to wówczas, że na ludzkość spadną klęski zarazy.

Tym razem czyste były opaski. Radość opanowała tłumy. Zapalono świece woskowe, następnie rozdano małe figurki z wosku lub z ciasta dzieciom, wreszcie dano trąbami hasło zasiadania do stołów przed świątynią. Siadali panowie wraz z niewolnikami.

Klodyon stał spokojnie, oparty o filar świątyni, i z dziwnym uśmiechem patrzył na te tłumy, łączące się w braterstwie po to, ażeby jutro poczuły całą czczość jego. Wtem trącono go zlekka w ramię. Obejrzał się. Stał przed nim mąż w sile wieku, miał na sobie odzież, jaką zwykle senatorowie noszą, na niej toga drapowała mu się kształtnie.

— Nie dzielisz ogólnej radości? — rzekł łagodnie przybyły.

— Radości? — odpowiedział ze smutnym uśmiechem Klodyon. — Wymaż »jutro« z mej pamięci.

— A chcesz widzieć świat, gdzie święto Saturna trwa wiecznie?

Niewolnik popatrzał nań uważnie, następnie dodał znacząco:

— Może go zobaczę niezadługo...

— Zobaczysz go zaraz.

— Gdzież on?

— Pójdź ze mną.

Klodyon, jak gdyby pod działaniem uroku, poszedł za nieznanym.

Była to postać dziwnie piękna. Szlachetny spokój, który się wyrażał w krótkich a treściwych słowach, postawa i ruchy pełne godności, kazały się w nim domyślać rzymianina wysokiego rodu. Jednak słodycz jego głosu i dźwięk serdeczny, którym rozbrzmiewał, nie licował z obyczajem wielkich patrycyuszów.

Udali się w milczeniu do forum Trajana, następnie skęcili na via Lata. Tu przy łuku tryumfalnym Klaudyusza, przewodnik zamienił słów kilka z człowiekiem, który zdawał się go oczekiwać, zabrał go z sobą i tak we trzech pod murami Aqua virgo, dotarli do ogrodów Lucullusa, dalej przeszli koło ogrodów Sallustyusza i na przeciw jego pałacu przy ulicy Mammuri, przy bramie Salaria zatrzymali się przed wielkim domem.

Przewodnik zapukał zlekka. Otwarto drzwi w milczeniu. Weszli do atrium. Zdziwiło Klodyona, że zamiast ołtarza, poświęconego larom, jak zwykle w tem miejscu, ujrzał cysternę z wodą, w której przewodnik umoczył prawą rękę i przytknął ją do czoła, ramion i piersi. Toż samo uczynił i drugi.

Przeszli cavendium, peristilium, i nareszcie znaleźli się w wielkiej sali, zbudowanej w półkole, podpartej kolumnami. Nigdzie Klodyon nie zauważył żadnego posągu. Zastanowiła go surowa prostota w sprzętach. Ściany gładkie bez malowideł i ozdób.

W sali owej, zwanej exedra, było kilkanaście osób płci obojej, zasłuchanych i wpatrzonych w człowieka podszłego wieku, mówiącego coś głośno.

Stał on w samym końcu sali, na kilku stopniach, przy ołtarzu. Przewodnik poprowadził Klodyona jak najbliżej mowcy i rzekł krótko:

— Słuchaj.

Klodyon słuchał, i w miarę słów, które mu wpadały do ucha, utonął cały w mówiącego wzrokiem, sercem i uchem. Wygłaszał on takie myśli, które gdzieś w najtajniejszych zakątkach duszy niewolnika drzemały dotąd, zamknięte, nierozbudzone.

Ten mąż wydobywał je z głębi jego serca, i ubierał w słowa, a słowa te dźwięczały jak rajska melodia, skrzyły się blaskiem drogich kamieni. Zdawało się Klodyonowi, że powłoka ciała zeń opada i dusza jego odrodzona, wyzwolona, unosi się ku wyżynom. Nadmiar radości rozdarł mu piersi i wypłynął z ust potokiem:

— O zesłańcze jedyne, wielkiego Boga! O pocieszycielu dusz strapionych i nędznych! Oto w prochu upadam i całuję twe szaty. O bądź uświęcony! bądź ubłogosławiony!

Łkanie przerwało dalszą mowę Klodyona, padł u stóp mówiącego.

Odtąd począł liczyć lata swoich narodzin.

W ciemne ergastulum Vopiscusa weszło światło, co rozradowało dusze niewolnicze. Coraz rzadziej odzywały się w tem piekle jęki bólu i rozpacz, coraz rzadziej słyszeć można było groźby i przekleństwa. Słowa dobrej nowiny wymykały się zrazu nieśmiało, z ust na pół zamkniętych, później płynęły już hymnem modlitwy, która oczyszczała i podnosiła.

Pod miękką dłonią Klodyona, przy ciepłym jego sercu, rozwinął się kwiat miłości Chrystusowej..

Były słowa, które usposabiały do żartów, szyderstwa, a niekiedy do szalonej wesołości dobrze urodzonego rzymianina. Wypowiedział je pierwszy Plaut w komedyi swojej »Casina« przez usta jednej z figur, a wypowiedział je w znaczeniu czegoś nadzwyczaj głupiego, potwornego i nieludzkiego prawie — były to: »zaślubiny niewolników«. Niewolnik poślubia żonę! Niewolnica wychodzi za męża! Sredniowieczna noc walpurgowa, gdzie dyabli poślubiali czarownicę, nie budziła w ówczesnych tyle dziwactwa i zgrozy.

Nie było zatem zaślubin, było tylko pożycie, co się zwało *contubernium*. Jego owoce należały do pana, tak jak wszystko co się rodziło na jego glebie.

Jednakże Klodyon wybrał sobie towarzyszkę, której przysiągł wiare przed ołtarzem Chrystusa. Nazywała się Paula. Pochodziła z Illiryi. Kupił ją dla swego pana na targu niewolników. Jakże się uradował, gdy w drodze do domu, poznał w niej chrześcijankę. Uważał to prawie za cud. Paula nie była piękną, ku wielkiemu zgorszeniu Vopiscusa, ale miała przymioty, które pociągnęły Klodyona. Z jej twarzy widniała dusza, a z pięknych oczu świeciło tyle dobroci.

Szczęście opromieniło biedne życie niewolnika, ale przekonał się, że ono tu niedługo gości, bo oto Paula, powiwszy mu syna, przeniosła się do lepszego świata. Pochował ją w katakumbach, i odwiedzał, modląc się przy jej grobie.

Pozostał mu syn, którego karmił, niańczył i uczył do lat dziesięciu. Potem mu go wydarto na zawsze.

A było to znowu w czasie owych pamiętnych Saturnalii. Teatr Marcellusa dawał Terencyuszowego »Eunucha«. Na przedstawieniu był mały Genezjusz, zabrała go z sobą Julia, żona Vopiscusa.

Sztuka na chłopcu sprawiła tak potężne wrażenie, że wpadł w istny szał. Powróciwszy do domu, powta-

rzał słyszane wiersze, naśladował aktorów z nieporównanym talentem.

Vopiscus postanowił oddać go na naukę do Apollinarisa Quartusa. Napróżno Klodyon włożył się u nóg jego, błagając, aby mu dziecka nie wydzierał, i nie skazywał na tak hańbiące rzemiosło; postanowienie było nieodwołalnym. Mógł syna widywać tylko ukradkiem, a każde takie widzenie krwawiło mu duszę, bo spostrzegł, jak w dziecku tem plenią się bujne chwasty i zagłuszają ziarna, które on tam posiał.

Ten syn był coraz dalej od niego. Z początku rwał się utęskniony ku ojcu, później niechętnie spotykał go, a w końcu nie poznawał. Jakaż to straszna boleść dla takiej duszy! On kochał tego syna całą potęgą miłości, obiecywał sobie zbudować w nim męża, który by był chwałą i zaszczytem towarzystwa, co go przyjęło. Tym synem Klodyon pysznił się w duszy i przeznaczył mu wielką, apostołską drogę. Była to pycha i miłość grzeszna wobec Boga, wyrzucał ją sobie, a jednak wyrzec się jej nie miał siły.

Popełniał czyn karygodny, bo oto wbrew zakazom danym przez biskupa chrześcijanom, uczęszczał na widowiska, aby widzieć tego nieszczęśliwego syna w postaci, która go przejmowała wstrętem... Potem, przyczajony za kolumną teatralnego portyku, czekał nań, aby przemówić słowo, choćby spojrzeć nań tylko...

Ileż to takich spotkań było? Klodyon nieraz z sercem przepełnionem wielką boleścią, łkając rzewnymi łzami, wołał:

— O synu mój, o krwi moja! Czy zamarły w tobie wspomnienia lat dziecinnych, kiedy cię tulił do łona, kiedyś mi przyrzekał miłość i cześć dla mych lat sędziwych? O zbudź się! Odnajdź w sobie cząsteczkę tych prawd świętych, które wpajałem w duszę. O pójdź, uściśnij starego ojca.

Wkońcu histryon, owładnięty serdecznymi dźwiękami, co się z ojca piersi dobywały, przystawał na chwilę, brał go za rękę i patrzył weń długo. Ale, gdy starzec owładnięty uczuciem, chciał go pociągnąć ku sobie — odwracał się nagle, zatykał uszy rękami, aby nie słyszeć jego nawoływań, uciekał i niknął w tłumie — a gawiedź, patrząca na to, śmiechem obrzucała starego niewolnika. Innym znów razem, Klodyon stał jak posąg, i przechodzącemu Genezjuszowi rzucił słów parę:

— Zanim stanę na drugim świecie, ty będziesz znów synem moim, Genezjuszu... i połączymy się razem... i pójdziemy tam, gdzie życie wieczne w Chrystusie.

— Nigdy! — wołał oburzony histryon. — Nienawidzę ciebie i całej waszej sekty.

Po pierwszym przedstawieniu sztuki Genezjusza, Klodyon pomimo łajañ, szturchańców i zapór wszelkich, dotarł aż do ubieralni histryonów, stanął niespodzianie przed rozgorączkowanym, upojonym tryumfem synem i rzekł:

— Tyś narzędziem w ręku Wszchemocnego! Ty nie wiesz coś zdziałał. Podźwignąłeś upadającego ducha. O, ty będziesz wyznawcą Chrystusa.

Genezjusz rozśmiał się szalonym śmiechem, ale gdy popatrzał na twarz natchnioną Klodyona, odwrócił się prędko i wybiegł z teatru.

#### IV.

### Domy czy szpitale?

W domu, do którego poniesiono z termów Dyoklecjana umierającego niewolnika, Klodyon znalazł się po raz pierwszy przed laty dwudziestu kilku, gdy go wprowadził tam nieznajomy. Jest to dom Kajusa Gabinijusza, naczelnej głowy chrześcijan, czyli biskupa rzymskiego.

Zaszły tu od tego czasu duże zmiany. Ten dom, jakkolwiek nie stracił nic z dawnego charakteru swej struktury, jednak zdawał się być powiększony. Przybyły mu piętra, powstały obok zwykłych sal, idących w porządku, inne boczne, przewyższające o wiele swymi rozmiarami dawniejsze.

I dziś, jak przed dwudziestu kilku laty, w jednej z sal przylegających do domu, a zbudowanej w kształcie bazyliki, zebrało się wielu ludzi; i dziś stoi starzec w głębi na podwyższeniu, tylko że ma rysy nieznanego męża z przed świątyni Saturna, który uprowadził zgwałconego Klodyona.

Ten starzec, to Kajus, następca Eutychemia. Odprawia on przy ołtarzu obrzęd święty, zwany *Missa*. Tłum, zapełniający dość obszerną bazylikę, składa się prawie ze wszystkich klas społeczeństwa: zobaczysz tu i toę patrycyusza, i sagum wojownika, i szarą tunikę niewolnika, albo poważną suknię mieszczańskiego plebeja.

Jednak, gdy niewolnicy i tłum biedaków zapełnia środek świątyni, togi i płaszcze pousuwały się pod filary. Widzisz jednak między dwoma obozami różnicę w sposobie słuchania nabożeństwa. Równość i pokora pierwszych chrześcijan, już tylko na ustach się płacze, w czynie ich coraz mniej.

Czytać też można od czasu do czasu listy pasterskie, przybite na murach bazyliki, w których biskupi z najdalszych prowincyj skarżą się na upadek ducha, na zbytne hołdowanie doczesności i bogactwu, na pychę i nieużytość. Jeden nawet z nich, Cypryan, biskup kartagiński, prosi Boga o nowe przesładowanie: »Jeżeli winnica pańska — mówi — ma bujne zrodzić owoce, niech będzie podlaną krwią męczenników«.

Jest to chwila poniekąd ogólnego omdlenia i zastoju w szeregach wiernych. Chrześcijaństwo szarpia hezreze, przysparzając przykładów i zajęć, nie bardzo bu-



dujących. Potworzyły się różne sekty. Dawna czystość i pokora poczęły się kazić; trzydzieści lat spokoju ubezwładniły ducha.

Coraz to częściej zdarzają się odstępcy. Pociągnięci naprzód chlebem i dobroczynnością chrześcijan, pozornie wyznają wiarę, potem jej odstępują, gdy nowe widoki im błysną. Heroizm świętych męczenników zatarł się już w ludzkiej pamięci. Młode pokolenie go nie widziało, a słuchoa o nim z nieufnością. Władza cesarska toleruje i patrzy przez szpary, uśmiechając się pogardliwie.

Między wyższemi sfery przestano dawno wierzyć w stare bogi, a o nowych nie chodzi wcale — uważają więc to zajęcie się świeżą wiarą ze strony możnych patrycyuszów, jako dziwactwo, jako zabawę. Przysłuchują się nawet ich kazaniom, czytają ich książki, ale po staremu — są poganami.

Dyoklecjan ma za żonę chrześcijankę, co mu nie przeszkadza wcale wyśmiewać się z jej wiary i oddawać hołd starym bóstwom. W godzinach popołudniowych, gdy w bazylikach pokończono sprawy, wolno chrześcijanom się zgromadzać i miewać nauki i kazania. Powstają kościoły w różnych częściach miasta. Wszystko to jednak nie posuwa sprawy naprzód.

Oddano się odpoczynkowi. Zapanowała cisza i martwota. Szczęściem dla ludzkości, że one nie długo trwały.

Robotę w winnicy pańskiej, wzięła na siebie — Nemezys dziejowa.

\* \* \*

Skończone nabożeństwo. Kościół szybko opustoszał. Kajus rozebrał się z szat ofiarniczych, i w towarzystwie dwóch dyakonów udał się do wielkiego podłużnego budynku, stojącego zdala od domu i kościoła.

Była to wielka sala sklepiona, opatrzona z jednej strony od północy oknami, w których oprawny przeźro-

czysty kamień dawał łagodne światło. Po obu stronach sali stały łóżka, pozostawiając środkiem obszerne przejście. Na łózkach tych spoczywali chorzy i kalecy.

To pierwszy szpital chrześcijański. Skrzętna i liściowa dłoń Kajusa zebrała tu niedolę ludzką, gdzie tylko znaleźć ją mogła, a byli między nimi reprezentanci wszystkich ras i narodowości, jakie wówczas Rzym w sobie mieścił. Obok Negra z piasków Afryki leżał tu jasnowłosy Germanin, tam Hiszpan obok Słowianina z nad Dunaju, ówdzie znów oliwkowy Syryjczyk przy ponurym Brytańczyku, tam Numidyjczyk, Panończyk, Grek — wreszcie motłoch rzymski rozmaitych odcieni, wynędzniały i zbiedzony.

Te szeregi nędzy obsługuje kilku lekarzy i chirurgów wraz ze swymi pomocnikami, a nadzór ogólny mają dyakoni. Jęki i przekleństwa mieszają się z cichemi westchnieniami i dziękczynnemi hołdy w różnych językach i narzeczach.

Gdy wchodzi Kajus, gwar ustaje. Od wzniosłej a poważnej postaci biskupa, pełnej szlachetnego spokoju, bije blask, i jak gdyby woń świętości wieje.

On ich pozdrowił swoim głosem:

— Ave?

A dźwięk tego głosu wpadał im do serca, bo takim dźwiękiem ludzkość przemawia, bo takie dźwięki zrozumie każda dusza. Akcent serca rozbrzmiewa na całym globie ziemskim jednym tonem zarówno dziś, jak i przed lat tysiącami.

Człowiek czysty i szlachetny wywiera dziwny urok na umysły prostacze. Niezamącona wyobraźnia wzrokiem jasnowidzenia, widzi w nim wyższą istotę i poddaje się jej bezwzględnie z ślepą wiarą w każdy czyn jego. Dlatego też więcej zaważyło u tłumów czyste życie chrześcijan, aniżeli słowa ewangelii. Słowa przedrwiwano, a życiem się budowano.

Poważna postać Kajusa w towarzystwie lekarzy, schylała się nad każdym biedakiem. Słowa pociechy i współczucia, z ust jego wywierały większy wpływ, aniżeli balsamy.

Działy się cuda. Oto na jednym łożu biedny niewolnik, zda się już w ostatniej agonii pogrążony. Ni jadła, ni napoju nie przyjmuje, piersi mu dyszą śmiertelnem rżeniem. Z płuc zgniecionych krew się dobywa. Złamane obie nogi ujęto w stawidła. Trzeci dzień jak go tu przyniesiono z termów za sprawą Klodyona. Lekarze zwątpili o nim.

Kajus położył dłoń na głowie biedaka, w parę sekund otworzył oczy, uśmiech okraślił siłą i znędzniałą twarz, podniósł się na wezgłowie, wyciągnął ręce i wyszeptał z zachwytem:

— Bóg - człowiek!

Przyjął napój z ręki biskupa, potem zażądał posiłku. Życie zagrało mu na licach. Kajus go nie odstąpił, dopóki nie zasnął snem krzepiącym.

\* \* \*

Obok domu Kajusa, stał tuż dom brata jego Marka Gabinijusza; tam po spełnieniu obowiązków chrześcijańskich, udał się biskup.

Jeżeli dom głowy chrześcijan odznaczał się surową prostotą, zatarłszy zupełnie dawną swą powłokę; to zato dom Marka choć chrześcijański, nie różnił się w niczem od domu każdego zwykłego majątnego patrycyusza. Zdobiły go dzieła sztuki i piękne posągi bóstw pogańskich, a choć nie oddawał im jawnie czci, lubił patrzeć na nie i wzdychać pokryjomu.

Rodzina Gabinijuszów wywodziła swój ród od starożytnych rzymskich plebejów w dobie Grakchów. Koleją pokoleń, strzegła w swoim rodzie czystości obyczajów, i zalecała się republikańskimi cnoty. Miała uczo-

nych, filozofów, wodzów. Dalej z biegiem czasu wznosiła się i upadała. Dopiero ojciec obecnych dwóch braci, Waleryusz Zeno Gabinijusz, wojownik Aleksandra Sewera, postawił dom swój na wysokiej stopie.

Dwaj bracia otrzymali staranne i wykwintne wychowanie. Stary Zeno, sam uczony, zapragnął, aby jego synowie posiedli to wszystko, co bogatym rzymianom osiąść dano. Sprowadził dla nich uczonych greków, egipcyan, żydów, chrześcijan. Odbywał liczne podróże. Młodzieńcy nie dobiegli jeszcze wieku męskiego, gdy już zbadali cały duchowy dobytek ówczesnego świata.

Wtem stary Zeno zmarł na wyprawie przeciw Partom. Dwaj bracia wraz z siostrą Sereną opłakiwali go długo, i w tym to stanie rzewnego rozmarzenia trafiły do nich słowa ewangelii, którą im wpajał Orygenes. Wszyscy troje zostali chrześcijanami.

Siostrę ich za żonę wziął Dyoklecyan, wówczas jeszcze prefekt gwardyi Probusa.

Kajus utonął całą duszą w nowej wierze i pozostał bezzennym, młodszy Marek, choć chrześcijanin, nie zrzucił z siebie dawnej skóry i pozostał rzymianinem staro autoramentu.

Popełniał nieraz rzeczy, nieliczące z obyczajem wiernych, i dawał przykłady zgorzenia, w którym znów mitygowała go córka Zuzanna, gorliwa chrześcijanka, i starała się naprawiać zło, wyrządzone zaślepieniem ojcowskiem.

Markus czynił skryte libacje bóstwom i dopełniał skrupulatnie wszystkich obrzędów, zupełnie tak samo słuchał mszy świętej i pełnił chrześcijańskie obowiązki, tylko, że pierwsze były szczerze a drugie komedią. Był to więc istny histryon w rzeczach wiary.

Dziewica liczyła ośmnaście wiosen. Urodą należała do niepospolitych piękności Rzymu, i w tem przynosiła najwięcej trosk wygodnemu sybarycie - ojcu, który oble-

gany przez konkurentów, musiał ich odprawiać, bo córka o małżeństwie słyszeć nie chciała. To piękne dziecko wdało się w stryja biskupa. I jej czysta dusza, z zaparciem wszelkich życiowych uciech i rozkoszy, oddana była świętemu posłannictwu chrześcijanki.

Szpital, jakim go Kajus urządził, posiadała i Zuzanna dla siostr swoich w Chrystusie, tylko że zdala od domu ojcowskiego. Kazał go zbudować Marek przy ustronnej ulicy Quintilli, utrzymując, że i tak za wiele znosi nieczystych wyziewów i jęków, dochodzących go od domu brata. Zuzanna oczekiwała już od godziny na stryja ze śniadaniem. Jadali zwykle razem przy skromnym stole, bo Marek po staremu leżąc na *triclinium* spożywał z przyjaciółmi.

Dziewica rzuciła się na szyję starca, popatrzyła mu badawczo i z wielką miłością w oczy. Starzec pocałował ją w czoło i zapytał:

— Cóżś wyczytała?

— Trochę wesela.

— Tak, Zuzanno, módlmy się i prosimy Boga, aby dni takich dał nam więcej.

Modlitwę przerwała im służebnica Zuzanny, która weszła po cichu. Chciała się cofnąć, ale zatrzymała się na skinienie swej pani.

Zuzanna zapytała ją szybko.

— Czy to ona?

— Tak. Czeka na twój rozkaz.

— Wprowadź ją, Flawio. Mój stryju, ani się domyślasz, kto tu wejdzie za chwilę.

— Zaciekawiasz mnie, Zuzanno.

— Jest to histryonka z teatru Marcellusa.

— I ty wierzysz takiej istocie?

— Wierzę — i ty jej wierzyć będziesz.

— Miłosierdzie Boże nieprzebrane — rzekł starzec, i usunął się w głąb komnaty.

Drżąca i nieśmiała przestąpiła próg, obawiając się pójść dalej. Twarz miała bladą i cierpiącą, o szlachetnym greckim profilu. Piękne blond włosy, zwinięte skromnie, harmonizowały z ubiorem prostym i niewyszukanym.

— Pozdrawiam was w imię Chrystusa — rzekła.

— I my ciebie.

— Nie śmiałybym wstąpić w wasz dom, gdyby mnie nie ośmielił Klodion.

— Dom nasz zawsze otwarty dla sprawiedliwych i cierpiących — odparła Zuzanna. — Spocznij.

— Oh, jakaś ty dobra i szlachetna. To wszystko, co mi mówił o was ten biedny starzec z pod portyku teatralnego, to wszystko jest prawdą. Nie pogardzacie biednym jak ja stworzeniem.

— My kochać umiemy tylko i przebaczać — rzekła Zuzanna.

— Och! kochać i przebaczać, modlić się i cierpieć... i dobrymi uczynkami słać drogę życia, aby tam znowu spotkać się na lepszym świecie, gdzie niema ani teatru, ani widzów, ani Filomacha, ani Rufusa, ani Druzilli, ale szczęśliwość boska, wieczna. Gdzie nie trzeba kłamać, śmiać się, gdy serce pęka — i wykrzywiać twarzy i złorzeczyć! Oh tak! to szczęście wielkie, nieopisane, do którego dążyć, będzie jedynym celem mojego życia.

— Jesteś więc bardzo nieszczęśliwa?

— O, teraz już mniej. Wobec ogromu nędzy ludzkiej, czemu są moje troski? Lecz powiedz mi, poco mnie tu wezwałaś, chwile moje są drogie. Filomachos nie zwykł przebaczać opóźnień.

— Chciałam cię bliżej poznać Eponino, i uścisnąć jak siostrę.

— I córkę naszą, dodał Kajus.

Twarz Eponiny pokraśniała rumieńcem głębokiego wzruszenia. Po chwili zapanowała nad niem.

— Jeszcze nie teraz — rzekła. — Jeszczem nie godną waszego pocałunku. Gdy przyjdzie pora, powiem wam o tem.

I wybiegła szybko.

— Trasonie! — zawołała Zuzanna.

Z drugiej komnaty wszedł człowiek stary, o czerstwym obliczu, z tabliczką w ręku. Skórzany worek wisił mu u pasa.

— Trasonie, dowiedz się, czy można kupić u Apolarisa Quartusa histryonkę Eponinę?

Trason popatrzał zdziwiony.

— Co chcesz mieć z niej?

— Jedną więcej duszę wyrwaną ze szponów występku.

— Niech Pan błogosławi twoim zamiarom, ale zdaje mi się, że tu trud twój będzie daremny.

— Nie wąż nigdy, dobry Trasonie — rzekł Kajus — i spełń jej wolę — następnie obracając się do Zuzanny, rzekł:

— O ty mój najwonnejszy kwiatku w ogrodzie Chrystusowym!

## V.

### T r z o d a.

Pisali o aktorach: Arystoteles, Cyncero, Seneca, Ulpianus i wielu innych. — Oto co mówi o nich król filozofów:

»Przyczyna zepsucia leży w tem, iż oddani swojej sztuce, mało zajmują się filozofią, albo że najczęściej żyją w rozpuście, lub też w ogromnym niedostatku, co wpływa na zepsucie obyczajów«.

Cyncero, bez komentarzy w swoich *digestach* stawia ich na równi z dezerterami, rajfurami, oszczercami, oszu-

stami i złodziejami, nie przyznając żadnych praw do obywatelstwa, a jednakże tenże sam Cyncero sztuce histryona Ezopa zawdzięcza swój powrót z wygnania.

Dobrotliwy Seneca, przynajmniej po ludzku rzecz bierze i opowiada:

»Że ten, który na scenie majestatycznie kroczy i z góry wszystkich traktuje, jest niewolnikiem, otrzymuje jako taki, miarę mąki i kilka obolów — dostaje mizerną strawę, sypia na barłogu; dodawszy do tego pogardę okrutną, jaką go obrzucają, gdzież można wymagać odeń cnoty i dziwić się, gdy się w kale rozpusty nurza«.

Łańcuch tej pogardy ciągnie się przez długie wieki i zahacza nawet o nasze czasy. Niczem wielkie imiona Satyrusa, Neoptolema, Audronikosa, Roscyusza, Ezopa. Jednostki uwielbiano, ogółem gardzono. Większych łask doznawali gladyatorzy, woźnice i jeźdźcy cyrkowi.

Nieszczęśni histryoni! A przecież nieśli oni ludziom, co najlepszego dać mogli — swoją duszę i ciało. I dlatego właśnie, zarobili sobie na — pogardę. Tłum nie wierzył i nie uwierzy nigdy, aby ten, co potrafił ich tak ludzić dobrze na scenie — nie ludził ich po za sceną.

Odwracano się odeń ze wstrętem, nie przyjmowano do domów. I przepaść ta rosła coraz bardziej, tak, że już wolny człowiek żaden nie poświęcił się scenie. Urabiano ich wyłącznie z niewolników. O powołaniu, o natchnieniu, talencie — nie było wówczas mowy, istniało tylko rzemiosło, rutyna. Ich... rozpusta, zepsucie obyczajów, o jakiej prawią moralisci, zarówno dawni jak i dzisiejsi, były to skazy, któremi grzeszyli może najmniej sami aktorowie. Ale o innych ludzie nie wiedzieli, a na tych patrzyli i kontrolowali surowo.

Jeżeli dusza podniecona, rozpłomieniona wyobraźnia, zapragnęły uciech, do jakich każdy żarłok i opój miał prawo, jeżeli wreszcie chciano zapomnieć tej gory-

czy, co gryzła serce, wtenczas rzucano kamieniem potępienia i wykreślano ich z liczby żyjących, jak to uczynił Ulpianus.

Ot, jedna z plag, którą wypielegnował egoizm ludzki — i leży ona jak trąd, jak polip, dotąd jeszcze na umysłach oświeconych...

\* \* \*

Sztukę Genezjusza grano już po raz dwudziesty, przy pełnym teatrze.

Jej personarium, czyli afisz dzisiejszy, świecił na marmurowej białej tablicy, czarnymi literami, a brzmiał:

### TO TWOJE A TO MOJE

albo

### ANI TWOJE ANI MOJE.

Komedia napisana przez Genezjusza, grana pierwszy raz podczas igrzysk, odprawianych na cześć bogini Cybeli, na żądanie Marka Triboniana. Muzykę robił Basilides, syn Siliusa na surmy równe, prawe i lewe.

Grają w niej osoby:

Testemachus, kapłan chrześcijański	·	Genezjusz.
Gnaton, jego sługa	· · · · ·	Bassus.
Felicja, bogata wdowa	· · · · ·	Druzilla.
Syrus, niewolnik	· · · · ·	Rufus.
Antyfilla, młoda dziewczyna	· · · · ·	Eponina.
Frygia, służąca Felicji	· · · · ·	Kryspina.

Scena w Rzymie.

Widowisko zaczynało się około godziny pierwszej, po śniadaniu i trwało do obiadu. Kończono je zwykle przy zmroku. W dniach krótkich, grudniowych, zapalano lampy i pochodnie.

Zarzucono już maski. Teatr zmodernizował się. Histryoni przybierali twarze osób żyjących. Genezjusz, grając owego Testemachusa, przybrał rysy i postawę Kajusa, którego znało całe miasto. Gnaton był żywym obrazem Trasusa, zarządcy i plenipotenty Gabiniusów,

a z Felicji zrobiła Druzilla Julianę, wdowę po Leliuszu Winicyuszu, która, przyjąwszy chrzest, rozdała całe swoje mienie między ubóstwo.

Treść tej komedii, prostotą swoją nie zadowoliłaby naszego smaku, ale dla współczesnych miała ona nieopisany urok, bo im dawała sceny i figury żywcem wyjęte z życia, jakich nie oglądano dotąd.

Wejźdźmy za kulisy. To życie histryonów spletało się z trosk i radości, miłości i nienawiści, pokątnych intryg i zawiści, jak i dzisiaj się spleta. Wiele się zmieniło rzeczy, ale natura ludzka pozostała ta sama. Te same cechy, także same objawy, które wytwarza rzemiosło samo.

Jesteśmy w wielkiej sali czekalnej, niby w foyer dzisiejszem. Miejsca dla budynków publicznych nie żałowano i zabudowywano je wspaniale. Zanim trąby zwiastują rozpoczęcie widowiska, histryoni obojej płci, pobierani do ról właściwych, są to ci, którzy liczą się do akuratnych i gorliwych; opieszalszych jeszcze niema — zupełnie tak jak u nas. — Niektórzy znowu, nie przyjmując udziału w widowisku, przyszli tu z nałogu, z nudów, wreszcie dla pogawędki — i w tem do nas podobni.

Panuje ogólne znużenie i zniechęcenie. Sztuka, po raz dwudziesty grana, przemienia człowieka w maryonetkę. Szczęki kłapią ziewaniem, aż kości w stawach trzeszczą. Sam autor zamyślony i pochmurny, mierzy krokami salę wzdłuż i w szerz. I jego nudzą już własne słowa. A publiczność bawi się i każe powtarzać ustępy.

Najwięcej ożywiony z nich wszystkich, zdaje się być błazen Rufus, z urobioną i wiecznie śmiejącą się twarzą. To sztuka chaldejska. Chaldecjczycy dostarczali Rzymowi podobnych błaznów i arlekinów. Rufus, przywieziony śmiejącem się dzieckiem, sprzedany został Zenobii, ladacznicy, a że Apolinaris dostrzegł obok tego talent komiczny, przyjęto go do teatru Marcellusa.

Jest w tym błaznie dusza nawskróś niewolnicza, pełna chytrości i obłądy, a złośliwością przypomina szatana. Przytem chełpliwy i arrogant. Utrzymuje, że sztuka Genezjusza, jemu tylko zawdzięcza powodzenie. Jego pani, Zenobia, trzyma mu klakę, która krzykiem strasznym i klaskaniem zagłusza wszystkich, przez co przychodzi nawet do krwawych starć w teatrze. Nienawidzony przez wszystkich kolegów, budzi naokoło obawy, jest szpiegiem Filomacha.

Dla tej czarnej duszy, teatr stał się areną, gdzie uprawia wszelkiego rodzaju podłości. Podczas, gdy jego koledzy wchodzą doń, aby spełniwszy swój obowiązek, opuścić go szybko — on ma cel podwójny. On z śmieci wszelakich i odpadków za kulisami ciągnie soki. Teatr jest jego światem, jest wszystkim. Wie on doskonale co porabia, co myśli, jakie ma zamiary każdy z jego kolegów. Nazywają go też szczurem teatralnym.

Pokrewną mu duszą jest Druzilla z językiem ciętym i złośliwym, udająca osobę niezmiernie słodką i przyjemną. Podaje ona zwykle z uśmiechem jadowitym jakąś nowinkę albo uwagę niezbyt miłą.

Lubią się i dopełniają wzajemnie.

— Genezjuszu — rzekł błazen, stawając czelnie — powiadają powszechnie, że nowa twoja komedia będzie o wiele więcej interesująca, bo masz w niej wprowadzić twojego ojca.

Słowa te wyrzeczone głośno i zuchwale, podziały jak prochowy szmermel na milczące, ziewające a niekiedy szepczące obojętnie towarzystwo.

— A to byłyby rzeczy niebywałe dotąd — odezwała się słodko Druzilla.

— To ten stary niewolnik Vopiscusa, stawający zawsze pod portykiem.

— Przecież znamy go wszyscy — odezwało się kilka głosów.

— Jak to być może, żeby ten nędzny chrześcijanin, przyznawał się głośno do ojcostwa twego.

— Bo jest nim — rzekł poważnie Genezjusz — i kocham go jak ojca, pomimo jego wiary, którą się brzydzę. A krew wytoczyłbym z tego, ktoby się poważył coś złego mu zrobić.

Na te słowa powstaje szybko milcząca dotąd Eponina, i przystępując do Genezjusza, ścisną go za rękę.

— Oh, gdyby on cię słyszał.

Błazen po za ich plecami robi śmieszny gest.

— Ta, jak widzę, nie przestaje zarzucać na niego swojej siatki.

— Głupia — gdzie jemu teraz o niej myśleć.

— Jednakże mógłby ją kupić u Apolinarisa wraz z małym Festusem w dodatku. Mając łaskę cezara...

— Prawda, Genezjusz jest dosyć dobry i głupi na to. Przytem kocha podobno tego malca.

— Nienawidzę tej zmkłej kury — wybuchła Druzilla — która śmie głowę podnieść, jak gdyby była wolną Rzymianką.

— A kogo ty lubisz? — rzekł, zbliżając się ku niej Korbulo. — Eponina jest taką, bo inną być nie może, ale jest przynajmniej sobą i nie gra komedyi po za sceną. Ty zaś grasz ją wiecznie, bezustannie. Przed chwilą jeszcze całowałeś ją i chwaliłeś jej kształtną kibić, przytem wyciągnęłaś od niej kilka asów, niby pożyczkę, której nigdy widzieć nie będzie.

— Jesteś nieznośny głupiec! — krzyknęła wściekle Druzilla.

— Nie warto się odzywać do tej baraniej głowy — rzekł poważnie Rufus, z śmiejącą się gębą. — Ten nudy człowiek, gotówby samego Momusa do rozpaczki przyprowadzić. Odczep się od nas, ty nędzny sługo Morfeusza. My się z Druzillą bawimy tak dobrze twoim kosztem, jak i was wszystkich.

— O tak, jesteście dwie bliźniacze dusze. Pierwszych was wyrzuciła Pandora na utrapienie nasze.

— No i nie głupieć to, robi z tego przyganę, co jest właśnie zasługą. Jakżeby nudne i głupie było życie na tym świecie, gdyby nie ona. Ty cnotliwco, idź nudzić takich jak sam jesteś — my się bawić będziemy.

I mówiąc to, porwał Druzillę, okręcając się z nią w około... i w tym tańcu podstawił jej nogę tak, że upadli oboje i utworzyli wcale nieestetyczną grupę. Druzilla zrywała się i klęła. Rufus zrywał się także, a głęba mu się śmiała.

— Niech cię Plutus porwie z twymi żartami — wrzasła zaperzona Druzilla. — Megadorze! uwolnij mnie od tego błazna.

— Wołasz twojego Megadora. On straszylem... prawda, ale na wróble. No pójdź Megadorze i podnieś swoją Druzillę, bo ja się po nią nie schyle.

I trącił ją pogardliwie nogą i wyleciał na scenę. Podczas tego, Genezjusz usunął się z Eponiną ku framudze, w której stał groźny posąg Melpomeny.

— Pierwszy to dzień, gdy od trzech *idus*, mówimy z sobą Genezjusz.

— Położenie moje zmieniło się, Eponino.

— Dlaczegoż we mnie nie zaszła żadna zmiana... płaczę tylko więcej. Czyż te tryumfy twoje zatwardziły ci serce?

— Tryumfowi zawdzięczam moją wolność.

— Jesteś wolnym i bądź szczęśliwym. Ja nic nie żądam, nic nie chcę. Znalazłam skarb i pociechę niewyczerpaną... ja cię proszę o miłość i opiekę dla naszego Festusa.

— Będzie ją miał. Apolinaris mi go odda. Ale jakież to skarb znalazłaś, Eponino?

— Skarb, którego mi nikt nie wydrze, któremu panią samowładną.

Mówiąc to, wzniosła oczy ku górze i wzrok jej padł na Melpomenę. Surowe oblicze bóstwa z potworną maską w jednej, a sztyletem w drugiej ręce, zdawało się grozić niewolnicy.

— Drwię z twych groźb — rzekła z pogardą — drwię z twoich sióstr, braci, ojców i matek. Mój pan, mój Bóg...

Tu wstrzymała się, bo odgłos trąb zapowiedział rozpoczęcie widowiska.

Genezjusz stał zdumiony.

— Wytłumacz mi się, Eponino.

— Później — widowisko zaczęte.

— Mamy jeszcze dosyć czasu. Mówisz tak, jak oni wszyscy, jak Klodyon i cała zgraja tych, których ja nienawidzę.

— Dlaczego? czy ty wiesz, dlaczego ich nienawidzisz? Człowieku dobry... a przecież mały i płytki... powiedz mi dlaczego ich nienawidzisz?

— Jak ty przemawiasz, Eponino?

— Przemawiam jak ta, na której oczach bielmo ślepoty leżało długo... a które wreszcie ujrzały jasne blaski prawdy wielkiej, pięknej, szczytnej. Dlaczego ty, któremu ja kochała i Kocham dotąd, dlaczego ty, tej prawdy nienawidzisz... i szydzisz z niej? Ale twoje szyderstwa są bezsilne, twoje szyderstwa podnoszą ich zakon święty. Czy myślisz, że ja i tysiące biedaków śmieją się na twojej scenie, kiedy chrześcijanie sadzają niewolnika biednego do swego stołu? Śmieje się tylko motłoch, ten motłoch w togach i purpurze... a śmieje się więcej z głupiej twarzy podłego Rufusa. Czy myślisz, że wdowa Felicja, rozdająca majątek nędzy, jest śmieszna? Ależ ona jest wzniosła. Tyś chwycił pióro jako zły demon, ale twój dobry anioł, dyktował ci wyrazy i czyny.

Mówiła jak gdyby natchniona, z ócz jej sypały się iskry ognia.

Genezjusz stał osłupiały.

Uporczywie utkwiła oczy w twarz posągu, i zdawała się wyzywać spokojne i groźne bóstwo.

— O, drwię z ciebie i ze wszystkich malowanych i rzeźbionych bogów waszych.

— Błuznisz nieszczęśliwa, obłąkana. Cicho! gdyby cię Rufus usłyszał?

— Niech słyszą mnie wszyscy. Wyznam moją wiarę wobec całego Rzymu, na placach przy ich świątyniach. Podepczę bałwany i plunę im w oczy jak tej teraz pl..

Histryon zatkał jej dłońią usta.

— Precz nikczemna! albo cię wywlec każę za bramy teatru i zerwę widowisko! Nienawidzę twojej sekty i nienawidzić będę do końca mojego życia, bo ona depcze to co piękne i wzniosłe. Depcze sztukę, którą ja ukochałem tak gorąco. Tę sztukę, która umiła i osładza życie ludzkie, która jest jego ozdobą, jego okrasą. Tę sztukę, którą bogowie nam dali, w której się oni odzwierciadlają. Oto dlaczego nienawidzę tych żebraków i idiotów. Nienawidzę odtąd i ciebie.

— Tak, a moja wiara kochać każe wszystkich i wszystko.

— Eponina! Genezjusz! — woła głos posługacza scenicznego.

— Idź! idź! prowadź dalej dzieło żebraków i niewolników — rzekła Eponina.

— Poczekaj! nie powiesz tego o nowej mojej sztuce. A teraz precz!..

Genezjusz wszedł na scenę, przyjęty grzmotem oklasków, ale grał nędznie. Starał się parodować to, co w pierw stworzył z taką godnością i powagą. A gdy przyszła scena posadzenia niewolnika do swego stołu, porwał Rufusa za gardło i wyrzucił go za drzwi.

Aktorowie i publiczność zgłupieli.

On wystąpił naprzód i przemówił do tłumów.

— Rzymianie! Dam wam nową sztukę, w której sekta chrześcijan wyjdzie w całej swojej nędzocie, a tymczasem pozwólcie zaniechać dzisiejszego widowiska.

Syk, gwizd, przekleństwa, pogroźki posypały się nań hurmem. Wreszcie, zakrzyczano:

— Grać dalej sztukę! grać dalej!

Zjawił się wreszcie Edyl i surowo rozkazał rozpocząć widowisko.

Histryon poczuł się zwyciężonym i zagryzł usta z wściekłości.

## VII.

### Cezar - Herkules.

W domu Laterana siedział Maksyminijan Herkules. Od Aleksandra Sewera poczynając, palatyn przestał być mieszkaniem cesarów. Obawiano się w nim wspomnień, duchów błędzących i wróżb, przywiązanych do każdej prawie z sal, do każdego niemal kamienia.

Dom Laterana miał jeszcze tę wyższość nad palatynem, że górował nad miastem i okolicą, nie taką jednakże stromą górą jak palatynska, ale łagodnym spadkiem celiuszowej. Przecudny widok, który się stąd roztaczał na kampanię, Albę i Tusculum, a potem na góry sabińskie, mógł oczarować choćby najmniej poetyczną duszę.

Tu Maksyminijan prowadził dalej przeróbki i upiększenia pod kierunkiem Vopiscusa. Budowniczy wchodził o każdej porze dnia, jak domownik. Wolno mu było przerwać naradę, ucztę, a nawet spoczynek władcy. Współcezar pragnął być czynny. Jego wspólnik jak najmniej zostawił mu do roboty. Mniemał, że dla tego rzeźnika dosyć będzie dyademu i purpury. Główne nici spraw państwowych trzymał sam silnie w ręku, zostawiając Maksyminijanowi wojsko i zabawę.



Tymczasem, ten olbrzym nudzić się zaczął. Budowanie, do którego z początku zabrał się z takim zapałem, miało się ku końcowi. Cóż będzie potem? Jego wojenne czyny w Galii nad zbuntowanym chłopstwem, poszły już w zapomnienie. Przyszły morderca tebaidskiej legii, tęsknił do zapachu krwi świeżej.

Czyżby jej nie zakosztować w Rzymie? Zabijanie drapieżnych zwierząt w cyrku z wysokiej galeryi, zbudowanej w tym celu, już nie zadawałniało.

Był to barbarzyńca ze wszystkimi znamionami swej dzikiej rasy. Urodzony w Sirmium w Sławonii, z rodziny huńskiej, w biednym stanie, zwrócił na siebie uwagę wielkim wzrostem i niepomierną siłą w adriatyckim porcie Salony, kiedy ciężary dźwigał. Tu ujrzał go Probus i wcielił do swego wojska. Każdy z tych barbarzyńskich cesarów — ilu ich było w Rzymie — miał na zawołanie jakąś legendę, jakąś wróżbę, która miała być zwiastunem jego przyszłej wielkości. Wróżba taka była rodzajem dyplomu szlacheckiego wobec społeczeństwa. Okupywała niby nędzę pochodzenia, i okrywała aureolą wybrańca. Taką wróżbę i Maksyminijan sobie wymyślił. Oto miał mu orzeł spuścić wawrzynową gałązkę w chwili, gdy wstępował na statek jako legionista Probusa. Prócz tego, Maksyminijan chciał uchodzić za Rzymianina czystej krwi, i całą jego troską i staraniem było przekonać ludzi o tem.

Te ostatnie czasy cesarów, dają ciekawe i pouczające widowisko. Wszystko, co błyszczą talentami, cnotą, rozumem, ginie gdzieś w mroku — wychodzą tylko idyoci, pajace i siłacze. Za dawnych, lepszych czasów, taki Maksyminijan mógł marzyć co najwyżej o randze setnika, albo zostać gladyatorem lub cyrkowym woźnicą.

Jego biusta i medaliony dają nam charakterystyczne wskazówki. Jest to głowa bycza, osadzona silnie na muskularnym karku. (Stąd przydomek Herkulesa).

Zarost na brodzie twardy, krótko przyszczyżony, wygląda jak szczecina, a w naturze musiał mieć łudzające podobieństwo do szczeciny, zważywszy, że był blondynem z odcieniem ryżawym. Grube wargi i nos zadarty, sterzące policzki, przy okrągłym podbródku — dodawszy do tego małe i szybko biegające, bure oczy — będziemy mieli dokładny portret cesarza.

Przydomek Herkulesa wprawiał go w dumę. Zabranił surowo mieszania starego sabińskiego bóstwa Semo, zwanego także Fidiusem, na równi z Herkulesem, jak to było dotąd w zwyczaju. Obiecywał mu zbudować świątynie i wywalczyć kult, jakiego dotąd żadne bóstwo nie odbierało.

Herkules i Maksyminijan, jego latorośl czyli wcielenie przez metampsychozę, miały panować odtąd nad światem.

W sali obrad polecił postawić olbrzymi posąg boga siłacza, trzymającego małego herkulesa Maksyminijana.

— Siła — mawiał — rządzi światem — i lubiał przytaczać bohaterów, jak Aleksandra, Cezara i Hannibala, którym i geniusz nie wystarczał. Niepomierne opój i żarłok, dwanaście godzin mógł spędzić przy stole, przypatrując się walce czarnych niewolników na noże.

Rozpustni i okrutni cesarowie łacińskiej rasy, byli wymyślniejsi — barbarzyńcy, naśladowując ich, przejmowali wstrętem i zgrozą. Dzika postać tego cesarza-huna, z ruchliwym wiecznie i niespokojnym wzrokiem, z rzutkami poruszeniami ciała, podobną była do tygrysa. Buździł też ogólny postrach w tłumie.

Umysł jego, właściwy dzikim i kocim naturom, był chytry i przebiegły. Potrafił głąskać i uśmiechać się czule, aby potem jednym rzutem zadławić. Lubił się wówczas przypatrywać śmiertelnym podrygom ofiary. Zabobonny i tchórz, okazywał odwagę wobec ciemnych tłumów, których sam postrach rzymskiego oręża pokonał.

Lubił się otaczać barbarzyńcami, niby dla kontrastu, bo tak robili wszyscy dawni cesarowie; w gruncie atoli czynił to przez sympatyę wrodzoną. Prócz naczelnika jego straży przybocznej Sebastjana, miał na usługach Panończyków, Germanów — a głównym jego doradcą i trefnisiem był Libijczyk Zares.

Badał on bacznie pulsa humoru pańskiego, wynajdywał przyjemności i rozrywki, rozdmuchiwał nienawiści. Po za plecami takich zmysłowych tyranów, chowała się zawsze figura, która nakręcała cały potężny mechanizm i sprowadzała czyny wielkich doniosłości.

Taki eunuch lub trefniś ukryty za kotarą, patrzył z szatańskim uśmiechem, jak w gruzy rozsypywały się trony i państwa, zepchnięte jego błazeńską laseczką.

Główną czynnością Zaresa było, przeglądać roczniki i podsuwać cesarowi jakiś czyn jego poprzednika. Wówczas sadzono się, aby go uczynić identycznie podobnym do oryginału. Raz nawet urządził mały pożar Rzymu, aby Maksyminijan jako Neron, mógł mu się przyjrzyć z wyżyn laterańskiego pałacu. Innym znów razem na wzór Hadryana urządził Zares dla swojego pana posiedzenia uczone.

Komedia, którą podajemy niżej, była także dziełem Libijczyka. W wielkiej bazylice laterańskiego pałacu, odbywa się w tej chwili posłuchanie kapłanów.

Stanął Pontifeks-Maksimus, mający nadzór nad czią bogini Vesty i redaktor roczników, otoczony całym kolegium *fetiales*, skarżąc sektę chrześcijan o czarodziejstwo i dopuszczanie się sprośnych nadużyć, jak niemniej o nieposzanowanie władzy cesarza. W długiej mowie zarzucił arcykapłan wszystkie zbrodnie chrześcijańskiej drużynie, a zakończył tak:

— Boski cesarze! Czarodziejstwo ich przechodzi wszystkie praktykowane niegdyś sposoby. Kapłani mają moc nadzwyczajną nad przyrodą całą. Oto, zanurzywszy

człowieka w wodzie, czynią go niezwyciężonym. Może on uragać wszystkim i nieposzanować nikogo. Wolno mu drwić z bogów i ludzi. Wolno mu nie uznawać żadnej władzy. Z uśmiechem pogardy patrzą na twój majestat boski, chwając swego króla, który gdzieś żyje w obłokach. Bogi nasze stare deptane w prochu. Posągi ich strzaskane, zalegają kupy śmiecia. Strach pomyśleć, do czego jeszcze dojść może. Oto Augurowie, dodał wskazując na kapłanów, którzy badali wyrocznie i straszne klęski z niej wypadły. Jeżeli boski cesarze nie położysz końca tej zbrodni, zaleją klęski, których nawet twój wstawiony oręż nie powstrzyma. Gniew bogów będzie straszny.

— Gniew bogów będzie straszny — powtórzyli chórem kapłani.

— Przeczytaj wyrocznie! — rzekł arcykapłan do jednego z augurów.

Ten zozwinał pergamin i odczytał:

»W dniach majowych, nonów roku 1020, o godzinie 5. Manlius Tertius i Cypryanus Venatus augurowie, wybrani badali święte kury. Auspicye wypadły nieszczęśliwie. Strzeżcie bogowie cesarza i lud rzymski«.

Maksyminijan wysłuchał mów i wieszczb.

Nakazał trzy święta na cześć Herkulesa.

— Poniesiesz rozkazy moje wszystkim prefektom miasta, aby cała ludność Rzymu w ciągu tych świąt składała ofiary i modlitwy. Wszystkie stany, wszystkie korporacje mają przyjąć udział w świątach. Biada tym, których nie będzie.

Kazał arcykapłanowi zabić na ofiarę dwadzieścia tłustych wołów. Przystał na małe ustępstwo dla kapitolńskiego Jowisza, o które go arcykapłan prosił, to jest pozwolił na ofiarowanie mu dwudziestu pięciu baranów — i z obietnicą solenną rozpatrzenia rychło całej tej sprawy odprawił święte zgromadzenie.

Przyszła kolej na ortodoksyę. Maksyminijan począł smakować w nabożeństwie. Dawno Rzym nie miał cezara tak bogobojnego. Nieustanne ofiary i libacye, pielgrzymki do świątyń, spełnianie obrzędów, zajmowały mu połowę dnia każdego. Bez wyroczeni nie przedsięwziął żadnego ważniejszego kroku.

Cały Rzym oczekiwał skutku poselstwa kapłanów. Przed pałacem zebrały się tłumy, a gdy arcykapłan obwieścił gotowość cezara i zwiastował uroczyste święta Herkulesa z hojnemi ofiarami, radość była niesłychana. Odprowadzono kapłanów z okrzykami do podnóża Kapitolu.

Maksyminijan kazał zwołać na dzień następny radę wielką. Prócz jego doradców zwyczajnych, zaproszono wybitniejszych obywateli, uczonych, artystów, między którymi znaleźli się Vopiscus i Genezjusz.

Cezar, niby historyon, przygotowywał się przez cały dzień do mowy. — Zagał posiedzenie. Daru wymowy nie miał, mówił cudzoziemskim akcentem, ale w tych słowach krótkich a urywanych, czuć było głuchą wściekłość i chuć dzikiej zemsty.

— Rzymianie! Łaską bogów stało i stoi zawsze nasze święte państwo. Łaska bogów okrywała je blaskiem i chwałą. Z łaski bogów, jam wam dziś władcą i panem. Dlatego niema czci, niema ofiary, którejby bogom nie poświęcił. Kto im odmawia czci, jest wrogiem państwa, wrogiem porządku. Przeklęta sekta chrześcijańska, powolnością poprzedników naszych wzrosła i urąga wszystkiemu, cośmy tyle wieków czcili przywykli. Śmie ona mieć swoich zwierzchników i kapłanów, jak gdyby zwierzchnictwo wszelkie nie wychodziło ode mnie. Jam panem w świątyniach i w państwie! Ta sekta jest wrzodem na ciele Rzymu, ta sekta powinna być tępioną i rozprószoną. Wezwałem was, abyście zamiary moje wsparli radą waszą.

Umilkł.

Koło radne poruszyło się niespokojnie i posypały rozmowy.

Powstał pierwszy Genezjusz.

— Boski Cezarze! Pogardy godna ta nędzna sekta żebraków, obłąkańców i czarnoksiężników. Nie warta, abyś ty raczył na nią uwagę swoją zwracać. Zabić ją trzeba śmiesznością, i ja dokonam tego.

Słowa historyona, wypowiedziane śmiało i z zapalem, wstrząsnęły słuchaczami. Grzmot oklasków rozległ się w sali.

On mówił dalej.

— Zedrzyć z niej trzeba tę resztę uroku i zabornej trwogi, jakie sieje między tłumami. Wyszdydzić jej obrzędy i obyczaje żebrackie. Pozwól mi, boski cesarze, kończyć, co mi się tak dobrze udało zacząć. Ja zejść aż w głąb ich domów, świątyń i grobów, i wyniosę stamtąd to wszystko, co ich wstydem okryje, a Rzymowi sprawi uciechę. Pomyśl, boski cesarze, że wszystkie środki przymusowe, które dawniej stosowano, wywoływały w nich tylko upór większy. Ostrze satyry zabija pewniej.

Wśród wrzawy i oklasków podniósł się budowniczy.

— Łączę mój głos z głosem mojego wyzwolenca i przyjaciela Genezjusza. Szyderstwo zohydzi ich w oczach Rzymu, nawet w oczach ich wyznawców. Pozwól boski cesarze działać Genezjuszowi.

Cezar, porwany ogólnym zapalem, jednakże nieprzygotowany, że sprawa taki weźmie obrót, powstał i jął z namysłem przemawiać do obecnych.

— Dobrze Genezjuszu, ty rób swoje z większym jeszcze skutkiem... Broń twoja działa wybornie... Będę na twoją sztukę czekał z upragnieniem... Będzie ona pewnie lepsza od pierwszej. Wystawimy ją w uroczystościach tryumfu mego kochanego brata Dyoklecjana...

Ale tymczasem działać nam trzeba innemi środkami... Czekam na rady wasze.

Niedługo na nie czekał. Posypały się gwoli tygrysim gustom cezara od pochlebców i pełzających robaków — a jedna była okrutniejsza od drugiej. Tymczasem jednak stanęło na tem, że prefekci zajmą się gorliwie w tajemnicy spisem ludności chrześcijańskiej.

— Trzeba wiedzieć dokładnie, ile Rzym ma tego plugactwa — rzekł cesarz, powstając z tronowego krzesła.

— Rozpoczniesz od twojego pałacu, cesarze — rzekł Zares, patrząc złośliwie na dowódcę straży Sebastjana.

— Co mówisz, Zaresie? Od mojego pałacu?

— Spróbuj!

### VIII.

## W p u ł a p c e.

Cetronius Vopiscus posiadał wspaniały dom na via Flaminia, tuż przy ogrodach Pompejusza, także przy bramie tyburtyńskiej, trzeci na Suburze, czwarty na via Lata. Mówiono jeszcze o kilku innych. Prócz tego, posiadał olbrzymie dobra ziemskie pod Neapolem, wille w Kampanii i w Rzymie. Każdy taki dom powstawał jednocześnie z jakąś budową publiczną, którą on prowadził. Budowali je naturalnie ciż sami robotnicy i z tego samego kradzionego materiału.

Nadawano tym domom nazwy zdrobniałe, jak: *Insula termulae* od termów, *templumulae* od świątyni Neptuna. Złośliwość ludzka posunęła się nawet do tego stopnia, że jego rezydencję na via Flaminia, nazwała *Cloacullae* od restauracji starych kloak.

Budowniczy oburzał się, ale nazwa tak się utarła, że nie było innej rady, jak tylko przenieść się gdziein-

dziej. Obrął ją też sobie w łazienkach na via Lata, które właśnie świeżo ukończono.

Był on wyrocznią w swojej sztuce. Od lat niepaamiętnych nie powstała żadna budowla w Rzymie, na którejby nie było stempla Vopiscusa. Jest on też istotnie ostatnim wielkim przedstawicielem dawnego stylu. Jego uczniowie i następcy, to już — partacze. Tajemnic sztuki nie przelewał na nikogo, skorzystał raczej, jeżeli się dało, i przywłaszczył sobie to, co mu mogło wyjść z pożytkiem z cudzego dorobku, jak to uczynił z Klodyonem. Jego bazylika Maxencyusza wzbudza podziw śmiałością olbrzymich łuków po sobie idących, jak znowu brama tryumfalna Konstantyna, gdzie umieścił skradzione z Trajanowego łuku płaskorzeźby i kapitele, dowodzi szerokości jego sumienia.

Był to bogacz, którego liczono na miliony. Posiadał cały legion niewolników, którzy pełnili rozmaite funkcje.

Dalej niewolników do stołu, niewolników do ubierania i posługi i t. d. i t. d.

Prócz tego mnóstwo sług i wyzwolenców, nie licząc wielkiej klienteli, związanej z nim interesami pieniężnymi — a owych dostawców, rzemieślników wszelkiego rodzaju, przyjaciół, pochlebców.

Dom jego od rana do nocy był w istnem oblężeniu. Prośbom, wstawiennictwom, nie było końca. Jest to postać, w której streszcza się stary Rzym pogański. Duża głowa na tułowiu muskularnym i kościstym, krótko ostrzyżona, z zębem, który tworzą dwa kąty na niewysokim czole, ale sklepionym potężnie. Oblicze ściągłe, o profilu ostrym jak na medalach. Oczy ma czarne, połyskliwe.

Charakter tego człowieka odpowiada jego rzemiosłu. Nic tam w nim chwiejnego, przypadkowego — wszystko wiąże się ściśle, loicznie, matematycznie. Ro-

zum jego oparty na cyfrach. Czyny swe przeprowadza konsekwentnie, nie znając skrupułów jak te kolumny i wiązania w jego budowlach. Niewzruszoność i jedność, jak w rzymskiej architekturze. Wszystko na swoim miejscu, niczego ni za mało, ni za wiele. W duszy takiej nie budzą się żadne wątpliwości, ni trwogi. Robi majątek, boć on jest wszystkim na tym świecie. Zrobić go należy prawnie. Nikt mu nie dowiedzie, że go ukradł, bo roboty oddał tak jak są w planie. Niech się pilnują ci, co wydali więcej, aniżeli należy. Ceni ludzi o tyle, o ile mogą mu powierzyć roboty budowlane. O rządy się nie troszczy. Każdy z cesarów uszanuje go, bo on ch do nieśmiertelności przekazuje. Ten jest najlepszy, co najwięcej budować każe. Egzystencya jego zdaje się tak trwać, jak te granity, które on układać każe. Cóż je może poruszyć z swych posad?

Budowniczy jest dumny. Serce jego zda się opancerzone i nie przystępne żadnym uczuciom. A jednak lubi grać rolę dobroczyńcy, ojca ludu, starając się o popularność między tłumami. W czasie głodu otwiera swoje bogate spichrze i krzyczy głośno, że żywi Rzym zgłodniały. Rzym z nich czerpie, ale Vopiscus skwapliwie notuje każde prawie ziarno i powiększa tym sposobem listę swoich dłużników, których potem dusi niemiłosiernie robocizną.

Jest to człowiek lat czterdziestu kilku. Ma jednego syna Antoniusza, który jest jego dziedzicem. Kochany tkliwie przez matkę i przez ojca, bo w nim budowniczy chce widzieć odbicie całej swojej dumy i ambicji, posiada ciało wątłe o systemie nerwowym bardzo czułym i wrażliwym, jak u kobiety. Przestaje jedynie z książką i filozofami. Epiktetowego *Enchiridiona* umie na pamięć. Gabinet jego pełen kubłów ze zwojami manuskryptów.

O ojca swego rzemiośle słuchać nie chce. Stary też nie nalega. Będzie panem, niech się bawi i używa.

Wybudował mu wspaniałą willę tuż przy cyrku Nerona, niedaleko Watykanu, gdzie z matką przebywa. Tam budowniczy po skończeniu robót, spieszy na odpoczynek. Termy już prawie ukończono. Aby je odkryć, czekają na przyjazd Dyoklecjana, przyobiecany w majowym idus.

Kwietniowego wieczora, o cudnym szafirze nieba, w święto Cerealia, po wielkich igrzyskach w cyrku Flawiana, a w parę dni po owej naradzie u cesara, gdzie Vopiscus tak gorliwie poparł Genezjusza, pędził budowniczy wspaniałym wozem z kilkoma przyjaciółmi i Genezjuszem, którym się dziś szczyścić lubiał, na wspaniałą ucztę do willi Antoniusza.

Przejechał szybko pole Marsowe, i tu na moście Emiliusza spotkał kilku ze swoich sług, pędzących spiesznie dla odszukania go; Antoniusz bowiem niebezpiecznie zachorował. Skwaszeni goście powrócili do domów, a stroskany ojciec w towarzystwie tylko Genezjusza, pośpieszył do willi.

Antoniusz leżał w gorączce straszliwej, przy wezłowi matka w rozpacz. Rozesłano po lekarzy. W impluvium stał posąg Esculapa, postawił go Vopiscus ku wielkiej czci dla bożka, gwoli słabego zdrowia jedynaka. Składano mu co tydzień ofiary z najpiękniejszych kogutów. I teraz kazał sobie podać świeże suknie, nakrył głowę. Zniesiono wino przeznaczone na ucztę i rozpoczęła się ofiara. Budowniczy, stojąc przed bóstwem, szeptał modlitwę:

— Eskulapie! wszak wiesz, żem cię czcił zawsze. Nie było tygodnia, abym ci nie poświęcił najpiękniejszego koguta. Dlaczego mnie tak karzesz srogo? Oto składam ci ofiarę z tego wszystkiego, co miało nam dziś uprzyjemnić ucztę. Przyjm to Eskulapie i spraw, aby syn mój wyzdrowiał. Czy widzisz? Zlewam ziemię najpiękniejszym winem falerneńskim. Któż z żyjących może ci dać piękniejszą ofiarę. Spraw! o spraw! niech dziecko

moje będzie zdrowe, albo cię porzucę na zawsze i nigdy już ofiar czynić nie będę.

Genezjusz patrzył na to, i dziwny wyraz ironicznego uśmiechu przemknął mu po twarzy. Potem, jakby odganiał myśli cisnące się do głowy, zakrył ją obiema rękami i usunął się w głąb ogrodu.

Nadbiegli lekarze. Było ich dwóch — Grek i Chaldeczyk, obydwaj niewolnicy. Zanim się zgodzili na leki, powstała między nimi zażarta kłótnia, którą Vopiscus groźbą musiał uśmierzyć.

Po zażyciu leków, chory nie odzyskał przytomności. Budowniczy rozsyłał po całym Rzymie, obiecywał olbrzymią nagrodę tysiąca sestercyi. Zjawił się egipcjanin, który czynił zaklęcia i amulety zawieszał — ale Antoniusz umierał.

Vopiscus pojechał do świątyni Eskulapa na wyspie Tybru, i tu znów powtórzył olbrzymią ofiarę z dwudziestu kapłonów, z gorętszą jeszcze modlitwą i groźbą — ale Antoniusz umierał.

Stroskany ojciec chodził po świątyniach i czynił śluby, zasięgał rady wyroczni, która mu kazała wystawić nową świątynię Merkuremu. Przyrzekał ją spełnić — ale Antoniusz umierał.

Przeklął wreszcie bogów i ludzi. Zaniechał prac i pograżył się w smutku.

Ze zwieszoną postępując głową, spotkał Klodyona. Chwycił go za rękę i chciał coś mówić, ale się powstrzymał. Niewolnik zdumiony, patrzył w twarz pana. Jeszcze go takim nigdy nie widział.

— Co ci się stało Vopiscusie? Czy nieszczęście jakie cię dotknęło?

— Nic, nic! Precz! Ty i wszyscy tobie podobni na zagładę skazani.

— Mów jaśniej, Vopiscusie!

— Nie mogę, nie powinienem.

— Więc nie pytam. Ale jeżeli ci w czem pomocnym być mogę — rozkaż! Słodycz głosu niewolnika i jego poddanie się były zniewalające, to też Vopiscus pociągnął go tajemniczo w kąt domu, a przekonawszy się, że ich nikt nie posłysz, rzekł prędko:

— Ty! ty przez czarodziejskie wasze sztuki, uratujesz mi syna.

— Cóż mu grozi?

— Gorączka go trawi — umiera!

— Jam nie lekarzem Vopiscusie — rzekł niewolnik — a czarodziejskich sztuk my nie odprawiamy.

— Jakkolwiek je nazwiesz, czarodziejskie czy inaczej, to przecież je praktykujecie. Zaklinam cię na to wszystko, co jest drogiem dla ciebie, ocal go, a obdaruję cię wolnością i złotem obsypię.

— Na nic tu ofiara twoja i twoje złoto, Vopiscusie. Wiara w naszego Boga uzdrawia.

— Uzdrawia? powiadasz, wiara w waszego Boga? Uzdrów mi syna, a uwierzę.

— Jam nie godzien tej łaski Vopiscusie, jednak pójdę i modlić się będę za tego dobrego młodzieńca.

— Oh pójdź! pójdź! On ciebie lubił zawsze. I pociągnął go jak szalony do swego bigu, i zawiózł do willi Antoniusza.

Przed domem stał tłum ludzi, ciekawych jak zwykle, widowiska śmierci. Przeraziło to niesłychanie Vopiscusa — ale śmierć, choć zdawała się zbliżać powoli, nie przyszła jeszcze. Młodzieniec oddychał trawiony wewnętrznym ogniem.

Klodyon stanął u wezgłowia, i łaża zwilżyła mu oczy. Antoniusz, to prawie rówieśnik jego straconego syna. Razem się bawili w dzieciństwie. On razem przyrządzał dla nich zabawki.

— Cóż uratujesz go, Klodyonie? — pytała matka błagalnie. — Tyś dobry, Klodyonie, tyś go kochał jak

swego... syna, chciała powiedzieć, ale stanęła w jej pamięci cała okropna scena, gdy ten zrozpaczony ojciec włożył się u ich nóg i błagał za nim, jak oni teraz za swoim błagają.

Kobieta spuściła smutnie głowę i zalała się łzami.

— Ty nie możesz, ty nie zechcesz go uratować, ty pałasz zemstą za swego. Odejdź! idź precz niewolniku!

— Ja zemstą dla ciebie, biedna matko? My się mścić nie umiemy. Oh Boże wielki! — rzekł niewolnik po chwili, wznosząc ręce błagalnie nad łóżem. — Oh Chrystusie! Oto ja, niegodny wasz sługa, nie dla chwalby, nie dla nagrody marnej, ale dla chwały Twojej, Ojcze w niebiesiach, Panie nad Pany, błagam miłosierdzia Twego, uczyn łaskę i wróć do życia to młode ciało! Ty czytasz w głębi serc naszych, spraw niech ciemne źrenice tych ludzi olśni blask prawdy. Ty nieprzebrany litości Boże, jakież wywiódł niegodnego twego sługę z otchłań i nocy i zatracenia, tak i tym nieszczęśnikom użycz Twej łaski, o Boże! Oh Chrystusie!

Klodyon promieniał wzruszeniem wielkiem. Ta matka, wpatrzona weń, machinalnie powtarzała słowa modlitwy. Ojciec z kolei wodził wzrokiem po wszystkich, wątpiący, zrozpaczony.

W tem Antoniusz otworzył oczy, wzrok jego padł na twarz niewolnika i wyszeptał.

— Klodyonie.

— Mówi! żyje! — krzyknęli jednocześnie rodzice. — Klodyon nakazał im milczenie. Młodzieniec mówił coraz swobodniej i głośnie.

— Klodyonie, dobry Klodyonie. Śniłem o tobie przed chwilą. Prowadziłeś mnie i Genezjusza przez piękną łąkę pełną kwiecica, prowadziłeś gdzieś daleko, wysoko, gdzie światła dużo, dużo blasków, tak pięknych! tak pięknych! Dzięki ci Klodyonie — i tu wyciągnął ku niemu dłoń chudą. Spojrzał po komnacie.

— Matko! Ojcze! To długi był sen, prawda? Ale taki rozkoszny! taki piękny, że pragnąłbym, aby trwał jak najdłużej.

— Niech cię bogowie odeń ustrzegą drogi synu — zawołał Vopiscus.

— Nie wspominaj o bogach — rzekła kobieta. — Niema ich dla mnie. Klodyonie, naucz mnie, jak się modlić do Niego. On wielki! On sprawiedliwy! On potężny! Oh, jakże ja się do niego modlić będę... i wzięła niewolnika za rękę i klękła wraz z nim przy łożu syna.

Niewolnik mówił modlitwę, którą za nim powtarzali syn i matka.

Ojciec patrzył osłupiały szklannymi oczyma...

## VIII.

### Scena w katakumbach.

Panowało w mieście niezwykle ożywienie.

Nakazane święta Herkulesa wprowadzały w zachwyty. Pozyskano nowego boga, czyli raczej odnowionego, który odtąd hojne łaski będzie sypał dla ludzkości. Od lat to niepamiętnych przybywały nowe święta, a lud wznosił okrzyki: cesar herkules! Po ulicach snuły się tłumy. We wszystkich tawernach, garkuchniach, łaźniach, cyrkach, rozmawiano o wytępieniu chrześcijan.

Napadnięto niektóre domy, zniszczono kościół przy bramie ostyjskiej. Takiemu, którego podejrzywano o chrześcijanizm, niebezpiecznie nawet było pokazać się na ulicy. Domy owych podejrzanych były po większej części znane. Długoletnia swoboda i tolerancja sprawiły, że zbytecznym już było kryć się po katakumbach, odprawiano nabożeństwo w domach i świątyniach.

Czasy poczęły się zmieniać. Widywano teraz coraz częściej ludzi podejrzanej powierzchowności, którzy

wchodzili do domów, badając służbę i niewolników. Spi-sywali coś na tabliczkach. Zdarzały się zabójstwa i ra-bunki, uprawiane bezkarnością.

— To chrześcijanin — mawiano — a takiego zabić, czyż nie jest obowiązkiem?

Na ulicy Mamuri, przy salaryjskiej bramie, w domu Kajusa zebrała się liczna drużyna. Między zgromadzo-nymi spotykamy setnika cesarskiej przybocznej straży, Sebastjana. On to pierwszy przyniósł chrześcijanom wia-domość o projektowanym zamachu.

Świetna ta postać jednego z przyszłych męczenni-ków warta zaznaczenia.

Wyjątkowem swem stanowiskiem przy boku prze-śladowcy, który pokładał w nim ślepe zaufanie, po-trafił godzić obowiązki swej służby z poświęceniem bez granic dla sprawy. Strzegł życia i nietykalności swojego pana, a udaremniał jego plany, gdy te przeciw wyż-szemu panu skierowane były.

Podejrzenia chytrego Zaresa umiał w niwecz obró-cić. Żywotopisarze malują go nam jako typ męża o pię-knych apollonowych kształtach, jaśniejącego rycerskimi cnoty, które przypominały bohaterów starego Rzymu. Był celem westchnień kobiet współczesnych. Nie ciągną go atoli łatwe podboje, bo cały zatopiony w zakonie. Zarażeni sceptycyzmem wieku, nie możemy odczuć tej pogardy dla uciech świata doczesnego, wobec wielkiej idei chrystyanizmu, która pochłania tych pierwszych rycerzy krzyża. — Najwznieściejsza to jednak doba, jaką kiedykolwiek ludzkość przebywała. Tryumfy duchów swoim boskiem tchnieniem oczyszczają atmosferę zgni-łego świata. Życie potężne, bujne, a tak czyste jak iza Chrystusa, uroniona na krzyżu, przenika na wskrós sta-rym globem, wstrząsa nim, budzi go, rozgrzewa, zapła-dnia. Z podziemnych krypt, z ubogich domków, z bazy-lik, rozchodzi się światło dobrej nowiny.

Te dwa kawałki drzewa złożone w krzyż, cel urą-gania zgrzybiałego świata, mają moc nadludzka. Nic szczytniejszego, a tak prostego nie ujęto w symbol, co ma być odrodzeniem. Stary kult piękna cielesnego i har-monii oburza się na ten znak hańby. On piętnuje nim wyrzutków i zbrodniarzy. I oto siłą kontrastu umiera na nim największy z duchów ludzkich, Bóg-człowiek, a symbol hańby staje się symbolem wiekuistego szczęścia. Te dwa kawałki drzewa dają moc nie z tego świata...

Oto wybiła godzina próby. Inny duch już panuje w tej bazylice od czasu jakieśmy ostatni raz widzieli. Na twarzach niegdyś obojętnych, co słuchały nabożeństwa niby daniny zwykłej Bogu, widzisz żarliwość i goto-wość wielkich ofiar. Duch potężnieje. Godło odkupie-nia wskrzesza w nich siły do walki. Któżby z nich nie chciał umrzeć, jak umarł Zbawiciel świata?

Cała ta drużyna to — przyszli męczennicy. Szlache-tna postać Kajusa stoi przy ołtarzu, w rękę ma skro-mny krzyż drewniany i przemawia:

— Bracia! Po raz to już ostatni zawiercie moim słowom, światło ewangelii skryć się musi do podzie-mnych pieczar. Po raz to ostatni duchy ciemności za-tryumfują jeszcze nad światłem. Skryjemy się tam, gdzie świętej pamięci męczennicy nasi się kryli. O, widzę już, przyjdą dni smutku, niedoli i męczeństwa. Wytrwania, o drodzy bracia moi, bo wiercie mi, po dniach mę-czeństwa, zabłysną nam dni, jakich nie było jeszcze na tej ziemi. Krzyż Chrystusa zatryumfuje nad światem! Wszyscy ci dziś ciemiezcy nasi uciekać się będą pod jego ramiona. Bałwany upadną, i stanie się światło wszę-dzie... wszędzie. Chwała Panu na wysokościach!

— Chwała Panu na wysokościach! — powtórzyły wszystkie piersi i powstał hymn potężny, rzewny, wielki swoją prostotą i czystością, jak prostemi były te dusze w zaraniu chrześcijaństwa.



Przy samych drzwiach bazyliki stoi Klodyon. Niewolnik Vopiscusa, dziś wyzwolencem. Panem on czasu swego i życia, a z jakąż radością oddaje oboje dla braci! Jest on tak czynnym i gorliwym, że się podwajając i potrając umie. Nie widziano go inaczej, jak tylko niosącego pomoc czynem czy słowem. Zwą go chrześcijanie *Omnituens*, który wszystko widzi.

Ot i w tej chwili podpira chwiejącego się o kuli człowieka, i tłumaczy mu słowa Kajusa. Jest to niewolnik, którego on wydarł śmierci w termach Dyoklecjana.

Tylko co powstał z łoża. Nogi mu się pozrastały, ale w piersiach pozostały ślady zgniecenia, tak, że oddechu złapać mu trudno. To już nawpół chrześcijanin. Od rzucił on ofiarę Kajusa, chcącego go wykupić, woli powrócić do niewoli i do pracy, bo tam zostawił swoich ziomków. Jest to Słowianin z Illiryi. On im będzie mówił o Bogu chrześcijan, o ich cnotach, będzie im w chwili rozpaczy i ucisku wskazywał niebo.

Przyciska do bolących piersi dwa kawałki drzewa związanego na krzyż i mówi, że mu to w cierpieniu ulgę sprawia. Na słowa Kajusa o wytrwaniu i rezygnacji, zapałał oburzeniem.

— Raczej powstać orężnie i zdruzgotać ten tłum niegodnych władców, co śmie bluźnić tak dobremu Bogu. Wszak nas więcej?

— Co mówisz, biedny Cyryllu? — rzekł Klodyon z dobrocią. — Ty byś chciał nasze ręce uzbroić w żelaza, i po kałużach krwi zdobyć zwycięstwo dla prawdy? Oh biedna twoja dusza jeszcze w ciemnościach brodzi. Myśmy miłością tylko. Orężem naszym całym ten krzyż, który masz w ręku.

— Dlaczegoż oni przeciwko Niemu chcą walczyć?

— Bo są ciemni. Światła im trzeba, tak jak i tobie, biedny młodzieńcze. Módlmy się za nich i prosimy Boga, aby ich w złości opamiętał. A ty wyrzuć z serca

resztę gniewu i zemsty, bo inaczej nie zbliżysz się nigdy do tego Boga, którego tak ukochałeś. Pamiętaj, że On miłością tylko.

— Oh, przebac mi, Klodyonie.

— Ja się nie gniewam na ciebie, bracie, i w duszy już przebaczyłem ci wszystko, tak jak i On przebaczył, bo czyta w twojej nieświadomości.

Głos Kajusa donośnie zabrzmiał od ołtarza.

— Od jutra zatem, bracia moi, zgromadzać się będziemy u grobów męczenników. Niech tu na ziemi szaleje ich złość i zniszczenie, my tam w podziemiach modlić się będziemy i prosić o ich upamiętanie.

\*

\*

Ten świat podziemny, niezbadany dotąd jeszcze, i podobno nigdy zbadany nie będzie. Już w dobie naszej powieści wspomniano o katakumbach, które zagięły, do których współcześni trafić nie mogli. Przeszeń ich miała dosięgać Ostyi.

Znaną wówczas katakumby pod ulicami: Apijską, Lawikańską i Prenestyńską, i tam to odegrała się ostatnia scena dramatu chrześcijańskiego. Jakież życie ten labirynt skalistych kurytarzy tętnić musiał dla współczesnych, kiedy my, po wiekach szesnastu, z bijącym sercem i łą w oku po nim błądzimy. Tu każda ściana, kamień każdy wołał do nich i zagrzewał do wytrwania. Tu się kładły dzieci przy ojczym i dziadach, z obietnicą ujrzenia się znów niedługo. Stąd też wyszedł ten duch potężny, który płomieniem swoim spalił świat starożytny.

Było to dwa tygodnie po wypadkach, któreśmy opisali w poprzednim rozdziale. W jednej z krypt pod *via Appia* zebrano się na nabożeństwo. Zebrani z całym skupieniem ducha słuchają świętej ofiary, którą przy ołtarzu spełnia Kajus.

Wtem weszło troje ludzi. Nikt z obecnych ich nie spostrzegł. Weszli po cichu i stanęli tuż przy wejściu pod ścianą. Jest to Klodyon, żona Vopiscusa, Julia, i syn jej, Antoniusz. Matka z całą potęgą wdzięcznego serca do tego Boga, co jej uratował syna, przysłała się modlić i przyjąć chrzest, a uczeń Epikteta pospieszył z nią chętnie. Po skończeniu mszy ma się odbyć chrzest matki z synem. Stary Klodyon przygotowuje ich do sakramentu. Wprawdzie mógł i sam go im udzielić, ale przez skrupuł właściwy takim naturom, nie czuł się godnym, chciał bowiem, aby go przyjęli z rąk najwyższej głowy Kościoła. Zabrzmiało wreszcie z ust biskupa *Ite missa est*, potem błogosławieństwo, i ofiara skończona.

Przez tłum pobożnych Klodyon poprowadził matkę i syna do ołtarza.

— Oto przyprowadzam ci, ojczyści, dwie dusze, pragnące chrztu świętego — rzekł Klodyon.

— Dzięki ci synu — odpowiedział Kajus. Potem, zwracając się ku matce i synowi, spytał:

— Chcecie być chrześcijaninami?

— Pragniemy duszą całą — rzekła Julia z mocą.

Głos jej odbił się o sklepienie i przeniknął zgromadzenie. Powstał szmer, z początku słaby niby sprzeczka, wreszcie coraz większy, a w końcu wydarły się groźne słowa:

— Ja tego nie dopuszczę!

Wszystkich oczy i uwaga cała zwróciły się w tę stronę. Człowiek, z którego ust wyszła ta groźba, odziany był płaszczem. Kaptur zakrywał mu twarz do połowy tak, że tylko pałające oczy świeciły mu w ciemnościach, trzymała go silnie za rękę Eponina.

— Ktoś jest człowieku i co znaczą te słowa — odezwał się Kajus?

— Jam jest! — rzekł on odkrywając głowę i postępując ku ołtarzowi.

— Histryon! — wykrzyknęli zgromadzeni.

— Tak, ja Histryon Genezjusz, w imieniu mego niegdyś pana, dziś patrona i przyjaciela Vopiscusa, zakazuję wam spełnienia waszego zabobonu na tej niewieście zbłąkanej i jej synu.

— Po coś tu przyszedł? — spytano.

— Jam go to wprowadziła, nieszczęsna — zawołała Eponina. — Uwiódł mnie, oszukał niegodnie. Jam mu uwierzyła. Mówił mi, przekonywał tak gorąco, że wiarę naszą przyjmę. Kłamał. Na mnie niech spadnie kara. Teraz widzę, że chciał nas podpatrzeć i szpiegować.

Wszyscy patrzyli na nich zdumieni, ale spokojni. Histryon wyrzucił ze wściekłością:

— Tak chciałem! Teraz zamordujcie mnie.

— My nie mordujemy. Odejdź w spokoju biedny histryonie — rzekł Kajus. — Niech ten Bóg, którego tak nienawidzisz i prześladujesz, będzie dla ciebie litościwym w przyszłości. Odejdź.

— Odejdę wraz z niemi.

— Precz głupi człowieku! — rzekła Julia z siłą. — Obłąkana mnie być mienisz? Tyś obłąkany i zaślepiony, gdy nie widzisz i nie czujesz wzniosłych prawd, jakie ci ludzie głoszą. Jam je odczuła i pokochała sercem całym tego Boga, bo to Bóg nieszczęśliwych, Bóg miłosierdzia i łaski. Jam błagała ojca twojego, aby nas tu przywiódł, i nie wyjdziemy stąd jak tylko chrześcijaninami.

Genezjusz patrzył w nią osłupiały.

— Tak dobry Genezjuszu — mówił przystępując doń Antoniusz — spadnie i na ciebie kiedyś promień tej łaski, że przejrzysz i uderzysz czołem przed tym wielkim, niezmiernym, a teraz przepros tych ludzi świętych i odejdź w spokoju.

Histryon zataczał wzrokiem jak pijany, drżał na całym ciele. Niezwyczajność tego miejsca i sytuacji, w ja-

kiej się znajdował, wydawały mu się snem jakimś dziwnym, wreszcie zapanował nad sobą i rzekł, siląc się na spokój:

— I takie umysły oni chwytac umieją!

— Takie mój bracie — rzekł Antoniusz. — To, co filozofowie słabo przeczuwali, spełniło się wreszcie. Przyszedł Chrystus i on jest księgą i treścią wszelkiej treści. Serce mojej drogiej matki go odczuło, a jam go z pod stosu słów odnalazł. Bądź zdrów, mój bracie... i ty go kiedyś odnajdziesz w sercu twojem. Histryon zachwiał się odurzony. Klodyon przystąpił doń i rzekł z cicha:

— Chodź synu, ja cię wyprowadzę.

## IX.

### Nowe życie.

Genezjusz miał gołębie serce i był szczerzy jak złoto: Dziwne to przymioty w histryonie. O ile na scenie potrafił oddawać uczucia ludzkie i przeistaczać się w innego człowieka, o tyle na świecie niezdolny był do kłamstwa i hipokryzy — pozostając zawsze sobą, tylko sobą.

Właściwością takich charakterów jest upór w pojętych raz upodobaniach, oddanie się jakiejś idei, lub myśli bez podziału i wytrwanie w niej choćby kosztem rozumu i uczucia. Biorą to ludzie za tęgość charakteru. Ta maska, którą histryon zdawał się nosić, była mimo-wolną. Wszystko, czem przepełniona była dusza, odbijało się na twarzy, oszukiwała ona też ludzi. Miano go za męża silnej woli i energii, o opancerzonym sercu, zdolnym oprzeć się wszelkim wpływom i ciosom.

Był zamknięty w sobie, myśli jego przebywały ustawicznie w krainie sztuki. Dla takich, zetknięcie się z rzeczywistością bywa bolem, bo czują jakimi są w niej komparsami. Umysł miał zapalny, ale nie subtelny.

Antoniusz dzielił się z nim zdobyczami filozofii i nie posiadał się z radości, widząc, jak on to wszystko chłonie w siebie, co było kwiatem umysłu ludzkiego. Histryon wylewał łyżę rzewne, gdy mu młody jego mentor i przyjaciel wykładał Epikteta lub Platona, albo Senekę, a nawzajem lubował się, gdy mu Genezjusz deklamował tragików greckich. Różnica pomiędzy nimi polegała na tem, że gdy Antoniusz, umysł badawczy i krytyczny, dostrzegał nieraz pod piękną osłoną gładko utoczonego frazesu sofizmat albo paradoks, Genezjusza zachwycała właśnie piękna forma i wstrząsała jego nerwami. Granitowe kolosy Eschylosa i głębie Sofoklesowe nie przemawiały doń tak, jak do jego przyjaciela; on lubował się zmodernizowanym Eurypidesem.

Forma dla histryona była wszystkim, tak jak myśl dla jego przyjaciela. Stąd też Antoniusz był człowiekiem nowym, kiedy Genezjusz stanowił niejako wytwór świata klasycznego. Nie mogło być inaczej. Ten był przede wszystkim artystą, a tamten filozofem. Antoniusz w rozmowie z Klodyonem badał i odkrywał idee wzniosłe chrystyanizmu, gdy dla Genezjusza były one jakąś szpetną naroślą na pięknym greckim posągu.

Potężna i czysta głębia boskiej Ewangelii zatrzymała histryona, a ubrana w nędzne łańchmany pogardzonego niewolnika, nabawiała go niewypowiedzianym wstrętem. Ta równość wobec Boga, wyrzeczenie się dóstatków i poślubienie z nędzą, ta pogarda dla szczytności i piękna, doprowadzały go do wściekłości. Słyszał wprawdzie o ich heroizmie i poświęceniu, ale uważał je jako baśnie, wymyślone przez nich dla zjednania sobie prozelitów.

Z takich jak on składała się rzymska społeczność. Idea chrystyanizmu dostępną była tylko wielkim umysłom i nędzarzom. Przyjmowała się na najwyższych wyżynach, i garnęła do siebie przepaście. Środek był dla

niej straconym. Czyż nie tak bywa zawsze w wielkich przewrotach dziejowych?

Co oburzało Genezjusza w chrystyanizmie i na co właśnie powstawał w swojej komedyi — to był socyjalizm. Smagał go też bezlitośnie jako prawowierny konserwatysta. Zanim się komedya ukazała na scenie, odczytywał ją swemu przyjacielowi. Antoniusz odgadł w histryonie talent olbrzymi i obserwacyę bystrą, zachęcał go do wystawienia, lubo nie podzielał jego zasad.

Sztuka wywołała wielką wrzawę, ale miasto ośmiężyć, podniosła sektę. Myślące głowy dostrzegły w niej, co im dotąd niejasno świtało za ledwie.

Histryon postanowił teraz zożydzić chrześcijan — a zożydzić ich, wydało mu się łatwym, zestawiając obyczaj stary z przesadami i obrzędami nowej sekty.

Zabrał się z zapalem do pracy.

Przez Eponinę wprowadzony został do katakumb. Kochająca go dziewczyna nie wątpiła, że prędzej czy później, padnie na jej kochanka promień światła i uwierzy w to, co ona duszą całą miłowała. Histryon wprowadził w błąd kochankę, przymuszał się do udawania, że przekonania jego dojrzały, widok atoli Julii i Antoniusza, proszących o obrzęd chrztu, uderzył go gromem, i o mało w obłąd nie wprowadził.

Pojęcia i rzeczy mieszały się w jego głowie, szedł zataczając się przez via Appia. Ciagle mu jeszcze migaly w oczach światła, płonące w katakumbach. Nie widział ludzkiego mrowia, które się poruszało w około niego, nie słyszał nic, prócz wyrazów Julii i Antoniusza.

Dowlókł się wreszcie do insuli Vopiscusa. Budowniczy o tym czasie był w termach. Dom, w którym się histryon urodził i wychował, wydał mu się teraz okradzionym i zbezczeszczone. Jego pani i władczyni wraz ze swym synem, przyszłym władcą tej dzierżawy, zdradzili go, przeszli na stronę wroga. Zdawało mu się,

że z każdego kąta obrażone lary i penaty dyszą zemstą i przekleństwem, że bogowie zejdu ze swych podstaw i opuszczą to domostwo zdrady i odstępstwa...

Ale i lary i bogowie stali spokojnie na swoich podstawach, pokryci kurzem i zabrukani. Widocznie mało miano o nich teraz starania. Dostrzegł nawet szpetne plamy na ich twarzach, nadające im wyraz komiczny i dziecinny.

Czemuż tego dawniej nie spostrzegał?

Zerwał się, wybiegł z domu i popędził do willi Antoniusza. Tu jeszcze większy nieład i opuszczenie. Pierwszy głaz, który potracił nogą, był posągami Eskulapa. Leżał na ziemi z odtraconą głową, bez nosa. Przypomniała mu się ostatnia libacya Vopiscusa i ten mimowolny ironiczny uśmiech, który mu wówczas twarz wykrzywił, tak, że był zmuszony ukryć się. Dlaczegoż śmiał się wtenczas? Z kogo? z Boga, czy z ofiarodawcy? — Z obydwóch.

Przebiegł dom. W jednym kącie, w peristilium po za filarem, dojrzał kupę marmurów, z pod których wizerła głowa Jowisza kapitolijnskiego, śmiejąca się szyderczo. Minerwa, Cerera i Mars zwycięski, w najkomicniejszych pozach, dopełniali tego nieładu.

— Cóż za ręka straciła tych potentatów? I ten Jowisz nie grzmi, a Minerwa nie zsyła plag. Mars nie zażęga do mordów i okrucieństw. Dzień tak piękny, słońce tak jasno świeci, a w ulicy życie płynie swoją zwyczajną falą, przynosząc gwar i śmiechy...

Histryon padł na jedną z sof, zamknął oczy i tak leżał czas dość długi w odrętwieniu, z otwartymi oczyma.

— Co ci Genezjuszu? — rzekł wpatrzony w niego Vopiscus.

— Ha, to ty, Vopiscusie! Jakżem ja ciebie widzieć pragnął.

— Czy dawno tu jesteś?

— Ja? nie wiem. Zdaje się, że niedawno.

— Masz gorączkę...

— Być może. Czy wiesz gdzie jest Julia z Antoniuszem?

— Są w triclinium, czekają na mnie z coeną. Pójdź, będziemy razem spożywali.

— Kiedyż przyszli, żem ich nie widział? Czy wiesz gdzie ich spotkał?

— Opowiadali mi. Chciałeś im przeszkodzić, biedny Genezjuszu, to już nie w twojej ani nie w ludzkiej mocy. Genezjusz zerwał się jak oparzony.

— I ty? tyś się zgodził na to?

— Cóż miałem czynić? Ci bogowie nasi poszaleli lub zgłupieli. Kim jest ten ich nowy, nie wiem, nie chcę wiedzieć — ale że jest potężny, miałem dowody. Oni w niego wierzą i są szczęśliwi, mamże im to brać za występki?

— Nie lękasz się gniewu cezara? Wszakże niedawno...

— Ty wiesz, że ja się nikogo nie lękam. No, pójdź Genezjuszu, czekają na nas. Jest tam i Klodyon, radbym, abyście byli z sobą dobrze, pocóż ma was rozdzielać różnica wierzeń. Niech każdy wierzy w to, z czem mu jest dobrze.

Genezjusz znów sądzi, że... śni. Ta obojętność Vopiscusa, wprawiała go niejako w obłąd. On, taki formalista i ortodoks! Nie wiedział widocznie o ostatnich wypadkach i uzdrowieniu Antoniusza. Dał się wyprowadzić przez Vopiscusa, lecz w głowie wirowało mu ciągle, gorączka go paliła.

Zamiast triclinium, siedzieli przy stole obyczajem chrześcijańskim Julia, Antoniusz i Klodyon, próżne krzesło czekało na Vopiscusa.

— Patrzcie, kogo wam prowadzę! — rzekł bu-downiczny.

— Bogu niech będą dzięki! — odezwała się Julia, powstając i biorąc histryona za ręką. — Pójdź Genezjuszu i jedź z nami. Jakże to dobrze, żeś przybył. Czuję wyrzut, że dla ciebie była zbyt surową w katakumbach, postąpiłam nie jak chrześcijanka. Przebaczysz mi?

— Czyż on zdolny do gniewu? — rzekł Antoniusz — nie znasz to go, matko?

— Tyś słaby Genezjuszu, co tobie mój synu?... — Klodyon ujął go w ramiona, ale histryon iskrzącym zatoczył wzrokiem, wyrwał się z objęcia! postąpił ku wyjściu.

— Precz! precz! — krzyknął. — Nie dotykajcie mnie! Jesteście szaleni, lub głupcy, ale ja nim nie będę. Przysięgam nienawiść Nazareńczykom i przysięgi dotrzymam. Przysięgam was zozydzić przed całym ludem rzymskim i uczynię to, przysięgam na Numy i wszystkie bogi nasze, któremi wy pogardzacie. Przysięgam.

I wybiegł szybko.

## X.

### Apolinaris Quartus.

Zamiar Zuzanny nie powiódł się.

Apolinaris nie chciał sprzedać Eponiny, chociaż Trasson ofiarował mu wysoką cenę. Stary negocyant domu Gabiniusów rozwinął cały swój spryt w tym interesie, ale trafił na upór nieprzewyciężony.

— Próżno czas tracisz, Trassonie — rzekł stary histryon. — Wy, chrześcijanie, pogardzacie teatrem i radzibyście przyspieszyć jego upadek. Jest to chęć bardzo naturalna z waszej strony. Na teatrze drwią z was i drwić będą dalej. Miejcie się na baczości, bo wreszcie czemu nie wyśmiać tego, co godne śmiechu? Mój uczeń Genezjusz nie próżnuje. Pisze drugą sztukę, która ma was

unicestwić. I ty chciałbyś, abym ci sprzedał jedną z najlepszych histryonek? Macie za wielkiego głupca starego Apolinarisa.

— Ust naszych nigdy kłamstwo nie plami, Apolinarisie. Cóż nas obchodzi wasz teatr i sztuki, jakie na nim przedstawiacie? My tego nie widzimy i nie wiemy o niczem. Walczyć z wami? My z nikim i z niczem do walki nie stajemy. Spieszymy tylko tam, gdzie cierpienie, gdzie nieszczęście, i niesiemy im pomoc. Ta nieszczęśliwa cierpi straszliwie, i moja pani chciała jej tylko ulżyć w tej męce. Oto wszystko.

— Znam ja to jej cierpienie. Porzucił ją kochanek, znajdzie sobie innego. Od tego się nie umiera.

— Jak czasem, Apolinarisie.

— Co mówisz?

— Mówię, że na takie rany, tylko u nas lekarstwo znajdzie, u ciebie umrze.

Stary aktor spojrzał bacznie na twarz Trassona, jak gdyby go chciał wzrokiem przewiercić.

— Przypuśćmy, że mówisz prawdę; przypuśćmy, że ta gwałtowna dziewczyna zdolną byłaby sobie zadać śmierć, to jakiż cel wy mieć możecie, aby ją odwieść od tego?

— Cel — ratowania biednej duszy.

— I co za korzyść z tego odniesiecie?

— Zadowolenie, żeśmy swój obowiązek wypełnili jako dobrzy chrześcijanie.

— Jeżeli tak, możecie to uczynić, nie kupując jej wcale. Ona niech dalej pełni swoje obowiązki, a wy pełnijcie swoje. Wiem, że ona bywa na waszych zebraniach i dotąd woli jej w tem nie krępowałem i krępować nie będę.

— To twoje ostatnie słowo, Apolinarisie?

— Ostatnie. Więc żegnaj cię, bo czekają na mnie uczniowie.

Trasson, wychodząc, spotkał się twarz w twarz ze szpetną i cyniczną figurą Rufusa.

Błazen od niejakiego czasu stał za kotarą i wysłuchiwał całej ich rozmowy.

— Głupie to zwierzęta ci chrześcijanie — rzekł wchodząc do Apolinarisa.

— Tak sądzisz?

— Kupują niewolników, ażeby ich za stołem swoim sadzać i nazywać braćmi, nie żądając w zamian żadnej od nich usługi. Nie jestże to samo, co chcesz porządek świata na opak wywrócić?

— Tak, jest to samo. Nie wiesz Rufusie, jak głęboką myśl wypowiedziałeś.

— Eh, taką myśl głęboką każdy ci objawi, kto ma wszystkie zdrowe klepki w głowie.

— Ale nie każdy obliczy jej doniosłość. Oni wywrócą świat na opak.

— Na Plutona! niechże go wywracają, a prędko. Dobrze jeść, lepiej pić... i leżeć do góry brzuchem — to olimpijskie życie.

— W tem się mylisz. Oni lichy jedzą, gorzej piją, a pracują więcej od nas. Praca u nich za modlitwę staje.

— Niechże ich Ereb pochłonie, bo ja nie zasiądę nigdy za ich stołem.

— Nie przyjąłby cię, Rufusie.

— Wiem, oni tylko smaczne kęski wybierają dla siebie — jak na przykład twoja Eponina.

— Czyż wiesz?...

— Czy ja wiem? Spytaj się raczej kto nie wie? Popełniłeś Apolinarisie wielkie głupstwo, żeś jej nie sprzedał tym czarownikom. Pociechy z niej mieć nie będziesz.

— To do ciebie nie należy. Ja sam tylko wiem, co mi czynić wypada.

— Nie wątpię, Apolinarisie.

— Z czem do mnie przychodzisz?

— Zenobia przysyła mnie, abys raczył być dziś u niej na uczcie!

— Żałuję mocno, ale jestem dziś słaby.

— Mocno tem zmartwisz moją panią.

— Ja niemniej boleję nad tem, ale nie mogę.

Gdy błazen wyszedł, Apolinaris za nim splunął.

— Podłe jestestwo człowieka wraz z swoją panią, nierządnicą. Jeżeli tacy władac mają dalej światem, niechże się prędko wywróci. Ci ludzie są czyści i prawi, a ich wiara, jeżeli nie jest zbiorem szaleństwa, to musi być wzniosłą i uzdrawiającą.

Starzec się zadumał, po chwili klasnął w ręce i kazał niewolnikowi przywołać Eponinę. Apolinaris Quartus był prawnikiem wielkiego tragika, żyjącego za czasów Wespazyana. Talenta w rodzinie aktorskiej dziedziczą się. Jeżeli natura poskąpi go czasem synowi, to obdarza za to hojnie wnuka, albo prawnuka. Tak było i w rodzinie Apolinarisów. Jeden był mniej, drugi więcej zdolnym, ale samo rzemiosło nie wychodziło dotąd z rodziny. Jeden drugiemu przekazywał tradycje wielkiej swej sztuki, zaczerpniętej u najczystszych źródła, bo ich protoplasta był ateńczykiem. Posąg jego, zdobiący niegdyś plac przed teatrem Marcellusa, kazał usunąć Marek Aureliusz, i dziś dostał się w spadku prawnukowi, zdobiąc jego pracownię.

Apolinaris Quartus używał wielkiej sławy i powagi nietylko między histryonami. Obok kunsztu posiadał on tradycje wielkich mowców Rzymu, radzono go się w kwestyach wymowy, a jego zdanie było rozstrzygające. Miał piękny majątek i zaliczano go do pierwszorzędnych obywateli.

Starzec, mimo lat siedmdziesięciu, trzymał się prosto i poważnie. Ruchy miał klasyczne; togę nosił jak już żaden z Rzymian nie potrafił jej udrapować. Moda azyatycka i barbarzyńska zatarła dawną czystość sukien

rzymskich. Twarz jego poorana siecią zmarszczek, ale o pięknych jeszcze rysach, a duże, przenikliwe oczy i usta zaciśnięte, nadawały mu surowy wyraz stanowczości i energii.

Weszła Eponina.

— Wołałeś mnie, Apolinarisie?

— Siądź Eponino i odpowiadaj mi szczerze na moje pytania.

— Pytaj.

— Czym ja się kiedy źle obchodził z tobą?

— Nie.

— Czy ja byłem kiedy niesprawiedliwy względem ciebie?

— Nigdy, Apolinarisie.

— Czym ci nie zostawił swobody w wyborze kochanka?

— Prawda.

— Czym nie patrzył pobłaźliwie na twoje drobne przekroczenia?

— Tak było.

— Czym wreszcie zmuszał cię do czynów wbrew twojej chęci?

— Nigdy.

— Dlaczegoż byś pragnęła uwolnić się odemnie?

— Ja?

— Przysłano do mnie człowieka, ofiarującego dość wysoką za ciebie sumę.

— Zgaduję, alem ja tego nie pragnęła, Apolinarisie.

— Więc postąpiono wbrew twojej woli. Odpowiadaj mi szczerze.

— Posłuchaj. W dniu, kiedy mną wzgardzono i odepchnięto, cierpiałam bardzo. Chciałam sobie głowę o mur roztrzaskać, albo rzucić w głębiny Tybru. Spółkał mnie wówczas ojciec Genezjusza. Jest to stary niewolnik budowniczego Vopiscusa.

— Znam go.

— Ten człowiek stawał często pod portykiem teatru i czekał tam na syna. Bywałam świadkiem smutnych i wzruszających scen między nimi, i nieraz po powrocie do domu błagałam rzewnymi łzami Genezjusza, aby uczynił zadość woli starca, a przynajmniej udawał, że ją spełnia. Moje łzy i prośby były daremne. Jednak przywiązałam się do tego człowieka i pokochałam go jak ojca. Otóż on zastąpił mi drogę, wziął za rękę i szepnął: »Do Tybru spieszysz, biedna dziewczyno, tam w Tybrze męczarnie większe i zatracenie; ja ci wskażę inną drogę, gdzie cierpienie uszlachetnia, gdzie dusza się oczyszcza i na skrzydłach niebiańskich wznosi do Boga. Chodź ze mną«. I poprowadził mnie do świątyni, gdzie poznała Boga chrześcijan i zostałam mu poświęcona. Jednak, ażeby zostać prawdziwą chrześcijanką, droga to długa i niełatwa. Trzeba nieustannie pracować w duchu, staczać z nim walki i dążyć do coraz większej doskonałości, aby stać się Jemu podobnym. Otóż w takich chwilach znalazłam się w domu chrześcijańskim, dokąd posłał mnie Klodyon... i to, co tam widziałam i słyszałam, umocniło mnie na drogę życia. Poznałam tam istotę nie ziemską, ale z nieba zesłaną... i ona to... ach tak, to ona chciała odkupić wolność moją...

— A jam odrzucił jej propozycję, nie dlatego, aby tobie dokuczyć, bo i jakiż miałbym powód, przytem ofiarowano mi za ciebie trzysta sestercyi, ale dlatego, żeby stąd wynikała wielka strata dla teatru, bo ty porzuciłabyś scenę, nieprawdaż? Wiara, którą wyznajesz, brzydzi się nami jak zaraza.

— Nie wierz temu, Apolinarisie, brzydzą się złemi czynami tylko. Każdy obowiązek, jakikolwiek i gdziekolwiek spełniany, jest dla nich świętym. Nie lubią zabaw i zgorzenia, a gdzież większe jak nie w naszych teatrach?

— Prawda, wielka sztuka upadła, zostali tylko błaznowie i tancerki.

— Więc widzisz mistrzu, i ty już jej nie wskrzesisz. Świat znikczemniał. Sam nie wie, czego chce i dokąd idzie. Oh gdybyś ty poznał tych ludzi i ich wiarę?...

— Ja stary już jestem, Eponino, aby nowych dróg szukać; ta, którą szedłem, zaprowadzi mnie do Hadesu. Szanowałem i szanuję zawsze wytwory ducha ludzkiego i przeczuwam, do jak wielkich prawd wznieść się może, ale ja ich już nie ujrzę. Odejdę powtórnie osierocony. Nie zostawię po sobie śladu ani na scenie, ani w rodzinie. Idź do twojej protektorki i oświadczyć jej, że cię wolnością darzę, a pieniądze, które mi ofiarowała, niech ci posłużą na przyszłe gospodarstwo. Kto wie, może ten pyszny Genezjusz przypomni cię sobie.

— Oh, Apolinarisie, tyś godzinę być między niemi...

## XI.

### O r g i a.

Zenobia, wyzwolenica starego rozpustnika Maksyma Fulwiusza, odziedziczyła wolność wraz z jego wielkim majątkiem, kosztem bliższych i dalszych jego krewnych.

Takich heter uwłaszczonych liczył Rzym wiele. Było obyczajem, że w takich domach zbierała się śmietanka wyższego towarzystwa. Mówiono tam o wszystkim. Poeci i artyści produkowali swoje utwory. Spiewano, deklamowano, politykowano, a nawet — spisowano.

Kto chciał wejść w wyższe towarzystwo, zaczynał od domu takiej Lucylli albo Herminii, bo tam uczył się pięknych manier i dobrego tonu.

— U Zenobii uczono się — rozpusty.



Była to egipcyanka, piękna jak Kleopatra, ale już nadgryziona zębem czasu; posiadała jednak wyższą sztukę wynajdowania coraz nowych ponęt, coraz nowych pomysłów rozpasania.

Grała ona wyśmienicie komedię młodości. Był to prototyp wszystkich w tym rodzaju ladacznic. Począwszy od zębów, misternie wprawionych, które były arcydziełem jej nadwornego dentysty, aż do sztucznych włosów, rzęs i piersi, do cery skóry, której barwę nadawać umiała farbami — wszystko było u niej sztuczne.

Mawiano o niej, że zniszczyła już dwa pokolenia, mimo to, pozostała czarującą i pełną życia. Stanowiła modę. Ubranie głowy Zenobii słynęło w Rzymie i przetrwało aż do czasów Konstantyna. Od niej także pochodzą owe delikatne i subtelne sandałki, wysadżane perłami i zrobione tak sztucznie, że całą odkrywały stopę.

Każdy strój przez nią pomysłany, był naśladowany przez wszystkie dziewice i matrony. Naśladownictwo jej nietylko stosowano do stroju. Naśladowano jej rzutki ruchy, które były ruchami obłaskawionej pantery, a które dawały żywe złudzenie młodości.

Histryonka to na scenie świata nielada. Za jej lekturą z bursztynu i hebanu, niesioną przez murzynów w złotych tiunikach, postępowało zawsze grono szanowanych mężów i młodzian, bo to należało do ówczesnego szyku. Siedzono się wówczas na poufałą rozmowę, ażeby mówiono: »Jak ona jest z nim dobrze«. Wówczas Rufus ze śmiejącą się twarzą, nieodstępny marszałek dworu swojej pani, odpychał zlekka takiego natręta, a podsuwał jej swego protegowanego, jakiegoś nowicyusza, przybyłego do Rzymu i oczywiście dobrze mu się opłacającego.

Ta hetera dzierżyła w dłoni rozdawnictwa łask, urzędów, posad zyskownych, umiała poniżyć i wznosić. Biada takiemu, na którego padł cień jej niełaski.

Ona to na przyjazd Maksyminjana wszystko kwiecie w całym Rzymie i jego okolicach zakupiła, aby mu słać drogę od Tyburtyńskiej bramy na kapitol, a potem wydała ucztę, tak zwaną faraonską, gdzie usługiwały nagie niewolnice, przywiezione z Egiptu... i gdzie potrawy i napoje podawano na autentycznych naczyniach, pochodzących od Kleopatry. Ucztę jej zaszczycił sam cesarz, oświadczając, że się tak dobrze nigdy nie ubawił.

Do skrzyń jej płynęło złoto rozmaitymi kanałami. Kupcy, przybywający z czterech stron świata, zanim towar swój rozłożyli na rynkach rzymskich, wypełnić wprzód musieli jej składy, aby zapewnić sobie protekcję. Ona kierowała sumieniami sędziów, wyroczniami kapłanów, wpływała na obiór cesarów, trudniła się lichwą. Od jej woli zależała stopa procentu.

Była to królowa w sferze poziomych interesów i żądz ludzkich. Rządziła też wszechwładnie. Jej głęboki spryt wprawiał w podziw najwyrafinowańszych spekulantów i intrygantów.

W starej willi Lucullusa i jego ogrodach rozsiadła się ta władczyni piekielnych potęg. Tutaj ona chciała przypomnieć Rzymianom ucztę dawane niegdyś przez sławnego sybarytę, tylko już w gorszej edycji. Pałac jej lśnił się i błyszczał przepychem, dziwiąc przechodnia i zmuszając do smutnych refleksji nad nieprawidłowym biegiem rzeczy ziemskich.

Wiele też przekleństw i łez ludzkich ciążyło nad nim, bo Zenobia nienawidzoną była powszechnie. Na jej ucztę i przyjęcia szło się więcej przez obawę jej zemsty, aniżeli dla przyjemności.

W wielkiej sali oświeczonej z góry purpurowem światłem, które kolorowe szkło przepuszczało, na wspańniętym łożu z perłowej macicy, wzniesionem o kilka stóp ponad inne, spoczywa królowa ucztę. Głowa jej

ubrana w dyamentowy dyadem, ma także zausznice i naszyjnik, a wszystko to razem pali się, iskrzy, przez co podobną się staje do jakiegoś piekielnego bóstwa. Na stopniach jej łoża leży obłaskawiona pantera, znużona i ziewająca.

Tuż naprzeciw Zenobii spoczywa Zares. Wlepił oczy w Egipcyankę i uśmiecha się skrycie, jak gdyby ważył plan jakiś. Przy nim przysiadł się Rufus, coś mu szepcząc do ucha. Dalej przy tricliniach leżą Filomachos, Genezjusz i Warrus patrycyusz. Reszta trzody aktorskiej pousuwana ku ścianom. Przy innych Waleryusz, Protomachus i Longinus, starzy rozpustnicy. Przyszli, aby podrażnić przytępione zmysły.

W sali czuć się daje silna woń pachnideł. Obiad ma się ku końcowi. Megador, tragik, deklamuje ustęp z Owidyusza, którego nikt prawie nie słucha, ku wielkiemu oburzeniu histryona. Takiż los spotkał muzyka Basiliadesa. Wreszcie podano wety: falernum krążyć zaczyna obficie i rozpoczęto tańce.

Rozpoczyna je Rufus *kordaksem* ze starą tancerką Kryspiną. Taniec to gminny i sprośny, urozmaicany ohydnymi gestami błazna. Biesiadnicy się poruszyli. Wtem dwie córki Kryspiny wysuwają się uzbrojone w tyrsy, a za nimi cały zastęp bachantek.

Taniec ten, zabroniony za rzeczypospolitej, wszedł ponownie w modę za cesarów i dotrwał do końca, a u Zenobii uprawiany był z całą nieskazitelnością dawnego kultu. Za tancerkami wysuwa się cały zastęp faunów, którym przewodniczy Tranjo i — bachalia rozpoczęta.

Taniec ten — to ucieleśniony symbol wszystkich namiętności. Trzeba się wtajemniczyć w bogaty w szczególności kult Bachusa, aby mieć o nim pojęcie. Z lubieżnych podskoków dochodzono do szału, a z szału do — zbrodni.

Z tańca bachusowego powstała tragedia. Miał więc w sobie zarodek demonicznej potęgi — wylew chuci i szału. Zrodzić się on mógł tylko pod greckim niebem i w greckim klimacie, w epoce młodzieńczej ludzkości.

Przeniesiony do Rzymu, jak wszystko zresztą, musiał się wyrodzić. Dobierano też zwykle Greków, aby mieć bachanalie. Uprawiała go namiętnie Messalina. Bachanckim tańcem obchodziła swoje zaślubiny z Siliuszem, i w tej orgii znalazła śmierć, pchnięta z rozkazu swego prawowitego małżonka Klaudyusza.

Organki i piszczalki faunów roznamiętniają. Już wszystkie twarze powlokły się szkarłatem. Jedna tylko ma wygląd marmurowej błości. To — Genezjusz.

On przyszedł tu ze zwyczaju. Jadł machinalnie i pił to, co mu podano. Teraz patrzy na orgię szklannemi oczyma. W duszy jego rozdźwięk. Zdaje mu się, że to już raz ostatni ten świat obchodzi bachusowe gody. Przyjdą po nim ludzie surowej cnoty i podepczą w prochu to wszystko, czem się radowało pokoleń tyle.

Te tony fletni wydają mu się pogrzebowym marszem, a te twarze, rozgrzane namiętnością, do trupich czaszek podobne. Jakieś przecucie wielkich nieszczęść owładło duszą histryona. W uszach jego dźwięczy pieśń nicości, pieśń zatracenia. Dreszcz nerwowy wstrząsa nim.

Wtem przypomniał sobie swoją sztukę, na której oparł całe losy. Nakreślił jej plan tak dobrze, ale czy go wykona? Czy go wykona, gdy przeszkód tyle kłębi mu się na drodze?

Ci, których uważał za prawdziwych swoich sprzymierzeńców i przyjaciół, przeszli na stronę wroga. A dokonał tego ten człowiek, ojciec jego, ten niewolnik ze smutną i łagodną twarzą. Chciałby go przeklinać, a nie może, bo i za cóż by go przeklinać można?

O ile zasięgnąć zdoła pamięcią w lata dziecinne doznawał odeń tylko miłości i pieszczot. On go uczył

pierwszych liter. On mówił mu o zmarłej matce i o Bogu, do którego ona poszła i czeka tam swego dziecka i męża. Pamięta nawet pierwsze słowa modlitwy: »Ojcie nasz, któryś jest w niebie«... I było mu dość dobrze, gdyby nie pan ich Vopiscus, który karał surowo ojca i wreszcie zabrał dziecko i oddał je pod nadzór swej żonie, która była dlań bardzo dobrą i wychowała go razem ze swym Antoniuszem. A potem zobaczył teatr, i nowe życie zabłysło mu w duszy. A to życie słało mu się kwieciami, blaskiem, tryumfem. Tryumfem wielkim, jakiego nie byle kto doznał. Mógł się równać z największemi gwiazdami świata, z Arystofanesem, Menandrem, a Terencusz i Plaut to już tylko słabi kopiści.

I pocóż te wszystkie przeciwności i brednie, które mu zamęczają spokój? Precz! precz! widma marne i głupie. Precz z drogi, która mi się śmieje tak świetnie i uroczo. Życia! życia! szału! uciechy!

I powstał niby lew, dotąd drzemiący. I spojrzął wokoło siebie. Nie znalazł już przy wspólnem triclinium towarzyszków biesiady. Filomachos i Warrus porwali się z swoich siedzeń i zostawili towarzysza, zatopionego w dumaniu, a może nawet nie uważali nań wcale. Na łóżkach leżą tylko starcy, a wszystko co żyje, połączyło się w bachanckim tańcu.

— Evvoe baccho! Evvoe! — krzyczy Genezusz i pędzi w sam wir tańczących.

Z ócz histryona sypią się żary namiętne:

— Jakże piękny, jaki dzielny.

— To wcielenie Apolla!

— Febus-Apollo! Febus-Apollo!

Zenobia jedną ręką objęła jego szyję, a w drugiej trzyma czarę, do której leje trunku Rufus.

— Zjawileś się nam półbogiem Genezusz! — woła. — Bogowie z wami, dostojna paro. Niech żyje Zenobia!

Cały tłum zasypuje ich kwiatami. Genezusz staje się kochankiem Zenobii... Zares oparty o filar, śmieje się szyderczo.

## XII.

### E p o n i n a.

Mimo ofiarowanej wolności, Eponina nie chciała opuścić starego Apolinarisa.

Ten mistrz-stoik budził w niej zawsze szacunek wielki, a ostatnim swoim czynem zjednał sobie u niej cześć głęboką.

Wyprosiła sobie tylko, że jej grać nie kazano.

— Pozwól mi — mówiła — oddać się całkiem mej świętej wierze. Niech dusza moja, wolna od wszelkich kajdan ziemskich, wznosi się i oczyszcza. Oh, bo ja walcę, walcę jeszcze ciągle, Apolinarisie, z tą grzeszną namiętnością moją, która mi nie pozwala stanąć czystą w szeregu wiernych.

— Biedna dziewczyno, mówił starzec, dlaczegóż masz z nią staczać walkę? Wszak to odwieczne prawo natury. Bezrozumną byłaby ta wiara wasza, gdyby ci to za grzech poczytać miała. Jesteś matką, a wkrótce będziesz i żoną jego, bo on ciebie zaślubi.

— Oh nie, nie, Apolinarisie, ja nie pragnę jego zaślubin. Ten mój grzech, popełniony w pogaństwie, chcę zmyć pokutą długą, jak Magdalena. Pójdę w pustynię i tam będę umartwieniem ciała dopraszać się zmiłowania bożego. Ale mój Festus mały, co się z nim stanie?

— Milcz! Jesteś złą matką, albo wiara twoja bałamuctwem.

— O nie mów tak, Apolinarisie. Ona jest szczytną i wielką, ale trzeba się jej oddać bez podziału. Nad sierotą moim będzie czuwał Bóg, który o najmniejszym

robaczku nie zapomina. Dla was dobro ziemskie jest wszystkim, a dla nas ono niczem. Ten świat, to tylko pielgrzymka przez ciernie i głogi, ale przejść go trzeba czystym, aby dostać się do Pana. Widzisz, Apolinarisie, wciąż walczy we mnie dawna poganka z chrześcijanką. Ach czemuż ty mnie pojąć nie możesz, mój mistrzu?

— Pojmuję cię, biedna dziewczyno; walczy w tobie obowiązek krwi z zasadami wiary waszej. Ale on jest świętszy dla mnie, aniżeli wszystkie wasze formuły. On jest odwieczny jak świat, i nigdy nie przestanie być świętym. Bądź mniej doskonałą chrześcijanką a dobrą matką. Jeżeli ten owoc występku, jak go nazywasz, wstyd ci przynosi wobec twoich wyznawców, idź z nim przez świat jawnie, przyznaj się do niego przed wszystkimi... i to będzie prawdziwą twoją pokutą, a pokutą szlachetniejszą aniżeli egoistyczna Magdaleny pokuta. Służ twemu obowiązkowi...

— Oh jak twoje słowa gorąco płyną mi w serce! Wszakże i oni tak mówią. To tylko ja, uwiedziona duchem pychy, pragnęłabym być podobną do świętej męczenniczki...

Zwiesiła smutnie głowę zadumana.

— Oh tak, to była pycha. Widzisz, widzisz, Apolinarisie jakam jeszcze ułomna i słaba.

Po chwili dodała:

— Ale dlaczego ty tak się spotwarzasz mistrzu? Wszakże to co było we mnie kłosem, tyś wyplenił teraz swoim gorącym słowem. Tyś dobry i sprawiedliwy. Tyś chrześcijanin, a nie chcesz się przyznać do ich społeczeństwa.

— Mylisz się dziewczyno, jam tylko filozofem. Te prawdy, które ogłasza wiara wasza, były już dawno w głębinach duszy ludzkiej. Wasz mistrz je tylko podniósł i oczyścił, uczynił przejrzystymi i dostępnymi i potęgą swojego ducha spoił. Chwała mu za to.

— Oh tak chwała! bo Jego słowa rozradowały dusze znękanych i maluczkich.

Rozmowę ich przerwało wejście Genezjusza.

Histryon odwiedzał często starego mistrza i radził go się w układzie scenaryusza.

Widząc Eponinę, zajęta tak żywą rozmową ze starcem, chciał się cofnąć, lecz ta go zatrzymała.

— Chcesz mówić z Apolinarisem? Jam już skończyła i odchodzę.

Dziewczyna, oblana rumieńcem zapału z srebrną łzą w oku, była piękną. Spotkały się ich spojrzenia. Histryon jak gdyby zawstydzony czegoś, spuścił oczy.

— Czego żądasz Genezjuszu? — spytał starzec?

— Przychodzę cię prosić o radę.

— Jaką?

— Jest w mojej sztuce jedna scena...

Apolinaris przerwał mu prędko.

— Uдай się z tem do Filomacha, ja ci w tem radzić nie będę.

— Dlaczego?

— Jestem już stary — i nie widzę rzeczy tak dobrze jak inni.

— Pierwszy raz tak cię słyszę mówiącym. Ty, mój mistrz, którego słowa były dla mnie zawsze wyrocznią. Tyś zagniewany na mnie! Czemże zdołałem cię obrazić?

— Dobrze mówisz, Genezjuszu, nie będę kłamał. Nie udzieli ci żadnej rady, bo mi się treść twojej sztuki nie podoba.

— Co? i ty także? — krzyknął z wściekłością. — I tyś zarażony trądem?

— O jakim trądzie mówisz?

— Zostałeś chrześcijaninem?

— Nie, jestem za stary na to, ale gdybym był w twoim wieku, zostałbym nim natychmiast.

— Wielkie bogi!

— Wiesz że ty, co to są chrześcijanie? To są najczystszy filozofowie, jacy kiedykolwiek pojawili się na tej ziemi. Dopókiś występował przeciw ich obyczajom — i z satyryczną werwą chłostał ich wady społeczne, byłem obojętnym, a nawet poklaskiwałem twojemu wielkiemu talentowi: ale teraz pragniesz wyszydzić ich religię, którą uszanować powinien każdy rozumnie myślący człowiek — i dlatego ręki mej do twej pracy nie przyłożę.

— Ha, na potęgę piekielne! Czyż wiecznie tego demona mam spotykać na mojej drodze? Co to jest? To zaraza, to obłęd! Niedawno jeszcze wy wszyscy, których szanuję i kocham, wraz ze mną rzucali gromy potępienia na tych nazarejczyków, dziś gdziekolwiek się zwrócę, znajduję dla siebie szyderstwo, albo zubożenie.

— Posłuchaj mnie. Byłeś dobrym i szlachetnym, Genezjuszu. Szanowałem w tobie wielkie dary bogów i nauczyłem jak trzeba pielęgnować ich święty ogień, ale geniusz twój nie przetrwał się jeszcze, pozostał surowym jak ruda szlachetnego metalu, pokryta warstwą brudnych żużli. One ci zasłaniają widnokraj, one nie dadzą spojrzeć czystem okiem filozofa. Za mało jeszcze żył i za mało czytał, mój synu. Patrzysz oczyma tych, których widzisz blisko siebie, z którymi żyjesz. Komu bogowie lirę Apolla podali w dłonie, ten nie może kroczyć na równi z pigmejów czeredą, ale nieść ją wysoko. Chcesz malować ludzi, a znasz ich tylko z wierzchu, chcesz przeniknąć ducha swego czasu, a nie znasz go wcale. Drga w tobie nerw lenistwa, właściwy wszystkim historynom, którym się zdaje, że nauczywszy się swej roli, już zrobili wszystko, co zrobić powinni. Nie — sztuka jest kapłaństwem. Nasi wielcy poprzednicy w Atenach, świecili jako gwiazdy w narodzie. Darem wymowy boskiej bronili spraw ojczyzny, jak Syrus przed macedońskim Filipem. Rzym zniżył nasze rzemiosło, tem go-

rzej dla niego, my za to nieśmy je wysoko. A ty, ty płochy młodzieńcze, który obok maski histryona, dzierzysz Apolla dary, tyś powinien być lepszym i mędrszym i przykładem niedoścignionym świecić. Masz przyjaciela w twoim rówieśniku, Antoniuszu — o ileż on wyżej stanął od ciebie.

— Antoniusza? już go nie mam.

— Umarł? — krzyknął starzec.

— Tak, dla — mnie. Został — chrześcijaninem.

Starzec ochłonął, potem zamyślił się głęboko, wreszcie wyrzekł jakby do siebie.

— Tak być musiało!

— Widzisz więc, mistrzu, że prócz ciebie niemam nikogo, gdziebym po radę mógł się zgłosić.

— Daję ci ją całym sercem: Żyj dobrze, a dobrze tworzyć będziesz. Utrzymuj w porządku rachunki życia, a porządek zapanuje w duchu twoim. Patrz okiem orła w słońce jasne, a źrenice twoje nie zmrują się przed blaskiem marnej lampy. Czytaj dobrze w twoim sercu, a czytać będziesz umiał w sercu innych. Bądź czystym, a wejdiesz w przybytek sławy. Pamiętaj o wielkich poprzednikach swoich. Niech cię dobre demony prowadzą. Zostań tu i pomów z osobą, którą ci tu przyślę, ja pójdę do domu Vopiscusa, aby zobaczyć się z Antoniuszem, który mię zajmuje bardzo.

I stary histryon, zarzuciwszy togę, podobny do klasycznego posągu Sofoklesa, skinął mu ręką na pożegnanie i wyszedł powoli z komnaty.

Genezjusz zdumiony padł na krzesło i ukrył twarz w dłoniach.

Po chwili weszła Eponina.

— Czego żadasz?

— Ja?

— Mówił mi Apolinaris, że chcesz mówić ze mną.

— A! tak, pragnę pomówić z tobą Eponino!

Powstał, przeszedł się parę razy po komnacie i znów siadł na krzesło. Eponina patrzyła nań spokojnie i z politowaniem.

— Czy to, co mi masz powiedzieć, sprawia ci taką przykrość?

— Nie przeczę, bo chciałbym ci powiedzieć o moich zamiarach.

— Więc, jeżeli ci to wyznanie nieprzyjemne, zaniechaj mi mówić o niem.

— Muszę jednak Eponino, bo ono dotyczy naszego Festusa.

— Ha!

— Chcą, abym zaślubił Zenobię.

Eponina drgnęła, ale zaraz zapanowała nad sobą i rzekła spokojnie.

— W czymże to Festusa dotyczyć może?

— Pragnę go wprzód uroczyście przyznać za syna i zająć się jego wychowaniem.

— Festusa tylko ja wychowywać będę i nikomu praw do niego rościć nie pozwolę, a jeżeli umrę, wychowają go moi przyjaciele, w tej wierze, jaką ja wyznaję, jego matka.

— Wszakże pragnęłaś dotąd, abym mu był ojcem?

— Tak, pragnęłam abys mu był ojcem z ducha, tak jak nim jesteś z krwi i ciała, ale ponieważ posłubisz nierządnicę, ten ostatni węzeł pęka. Nie masz do niego żadnych praw i zapomnij o nim tak, jak zapominasz o jego matce. Bądź szczęśliwy i żegnaj!

— Posłuchaj mnie, Eponino.

— Cóż mi jeszcze powiesz?

— Moje wielkie stanowisko, jakie zająłem w świecie, nie daje mi jednak środków, któremi powinienem rozporządzać. Ona jest bogatą, i ten wzgląd jedynie zmusza mnie...

— Dlaczego się przedemną tłómaczysz?

— Bo gdyby nie to, Eponino...

— Cóż, gdyby nie to?

— Nie porzucałbym ciebie. Jakkolwiek jesteś niewolnicą...

— Już nią nie jestem. Apolinaris udarował mnie wolnością.

— Ha, teraz rozumiem.

— Co rozumiesz?

— Dlaczego cię przysłał do mnie.

— On mnie przysłał do ciebie? bo cię nie poznał tak, jak ja ciebie poznałam. Bo nie uwierzyłby nigdy, że jego uczeń, jego chwała, złoży swój geniusz u stóp istoty, którą pogardza Rzym cały. Czemuś mu nie powiedział o twoich zamiarach, byłby cię kazał wyrzucić za bramę swego domu! Ale ponieważ w jego nieobecności jam tu panią, z jego upoważnienia więc wyjdź! abys oddechem twoim nieczystym, nie zaraził tej świętyni mędrca.

— Przemawiasz jak jego małżonka; Eponino.

— Co? Ja jego małżonka? Jam mu córką szczęśliwą, że jego starość pielęgnować mogę. Ale w istocie uniosłam się nie jak na chrześcijankę przystało. Żegnaj mi, człowieku małego serca. Bóg mi świadkiem, że niczego nie pragnęła od ciebie. Korzyłam się przed potęgą twojego talentu, choć posługiwałeś się nim w złej sprawie. Jednak wierzyłam, że promień łaski bożej spadnie kiedyś na ciebie. Bóg mej prośby nie wysłuchał. Mimo to, nie przestałam modlić się za ciebie. Dziś chcesz zaprzepaścić dary boże dla złota? Oh! zbudź w sobie ducha człowieku, aby miasto cię sławić, nie przeklinano pamięci twojej. Żegnaj! Ani o mnie, ani o synu moim nie posłyszysz. A jeżeli zapragniesz widoku dziecka twego, musisz stanąć wobec niego — czystym. Żegnaj!

## XIII.

## Spotkanie.

Genezjusz zaślubia Zenobię.

Na giełdzie uczuć ludzkich papiery histryona spadły. Oburzenie było powszechne. Ulubieniec publiki, sława narodu, jego wielka przyszłość, zaślubia się z błotem, które zatruwa Rzym cały.

Nic bardziej nie gniewa ludzi, jak zachwiana wiara w to, przed czem oni niedawno bili czołem. Darowanoby największą zbrodnię, bo ta nie obniżyłaby tak wartości moralnej człowieka. W czasach największego zepsucia sumienie publiczne nigdy nie stępiało do tyła, ażeby nie odczuwało szkarady.

Zenobię mógł poślubić pastuch, gladiator, patrycjusz, senator a nawet cesarz. Zdziwionoby się, ale nie oburzano.

Histryon upojony szalem wielkości, począł z góry patrzeć na ludzi i powoli tracić równowagę swojego stanowiska. Przez dziwny upór, właściwy swojej naturze, postanowił ani na krok nie zboczyć z obranej drogi. Im właśnie ona więszemi srożyła się przeciwnościami, tem bardziej na przebój iść nią będzie.

Ponieważ jego najbliżsi przeszli na stronę wroga, ponieważ go opuścili i nie dzielą już jego przekonań, ale każą wierzyć w swoje, przeto sprawi coś takiego, co ich dreszczem zgorzenia przejmie.

Nadarzyła się sposobność, którą on w lot pochwycił. Na uczcie Zenobii ogłoszono go jej kochankiem, a usłudni przyjaciele poddmuchali próżność hetery do tego stopnia, że go postanowiła wziąć za męża. Podłatać moralną egzystencję sławą młodego człowieka, to do skończenia świata było i będzie jedynym celem niknięcego życia podobnych heter

Genezjusz z razu przestraszył się tej myśli, ale gdy ujrzał ją w blaskach zbytku i wykwintu, wydała mu się słodką i rozkoszną.

Trucizna ma swoje ponęty. Co błyszczący zdrowiem, wydaje się przy niej czemś niezgrabnym, niedojrzałym, co razi zmysły pijaka.

Histryon słuchał mądrych słów starego Apolinarisa z nerwowym dreszczem. Sprawiały one na nim wrażenie zimnego wodospadu, wstrząsały nim, orzeźwiały, a przecież i — raziły boleśnie. Otrząsnął się z nich w ten sposób, że z zimnem szyderstwem zadał cios swojej biednej kochance. Wprawdzie pod gradem jej słów i oburzenia, już gotów był ją przeprosić. Czynił sobie wyrzuty, że tę niewinną, a tak kochającą go istotę, mógł dotknąć tak srogo, ale zły Demon podszepnął mu, że to, co czyni, czyni dobrze.

Hetera postanowiła swoje zaślubiny uczynić głośnymi w Rzymie.

Uroczystość miała się odbyć zaraz po przyjeździe cesarza Dyoklecjana wobec wielkiego napływu ludów. Miało to być coś tak wspaniałego, czego jeszcze Rzym nie widział.

Tymczasem, Genezjusz jako zdeklarowany małżonek, towarzyszył jej w lektyce po ulicach i spacerach. Bywał w cyrkach i świątyniach. Widział szyderstwa i słyszał docinki, ale brał je na karb zazdrości i dumnie nosił głowę. Nawet niepowodzenia, jakie go temi czasami spotykały na scenie, brał w tę samą rachubę. Rufus czołgał się u nóg jego i nazywał go boskim. Z twarzy błazna trudno było odgadnąć — czy urąga, czy ubóstwia?

Za to Filomachos zmiatał proch z pod nóg jego. Był to spodlony Grek, używany do wszystkiego. Przywiózł go Dyoklecjan z Epiru i miał w nim wyborczego szpiega, a że szpieg umiał zarazem bawić pana, naśladowując wybornie mowę i gesta dworzan i senatorów, uda-

rował go wolnością, a potem kazał mu zarządzać teatrem Marcellusa.

Niewolnicze dusze, gdy pochwycą w ręce ster jakiegokolwiek władzy, przechodzą najstraszniejszych despotów! Dla sprawiedliwych władza jest ciężarem wielkim, pod którym uginają się, tracąc siły; dla nikczemnych jest ona ciepłym legowiskiem, w którym się wygrzewają i tuczą.

Stary edyl Marek Trybonijan, który był tem, czem dzisiejszy intendent teatru nadwornego, odbierał od Greka cześć równą bogom. Nie było kadzidła, któregooby nie użył, aby podrażnić powonienie próżnego starca. Podnosił jego rozum wielki i bystrość w kierownictwie przybytkiem Melpomeny. Słuchał z nabożeństwem jego zrządzenia i dziecinnych niemal argumentów, potakiwał, nie śmiejąc przerwać jednym słowem — a gdy się starowina wygadał i odsapnął, wtenczas Grek wydobywał leciuchno z kołczana swoje argumenta — i z miodowym uśmiechem, przyprowadzając żarcikami, kłął niemi przytępione uszy, aż zyska ich aprobatę i zrobi swoje.

Zato, dla trzody biednych histryonów był wilkiem i odzierał ich ze skóry.

Każdy fawor swej łaski kazał im opłacać sownie, tak, że połowa zarobku niewolnika wypełnić musiała jego sakwy. Biada nędzarzom, którzy z próżnymi rękami doń przybywali. Marniały w cieniu talenta, kopane nogą bezlitośnego włodarza.

Wszystko w tym człowieku było fałszem. Grał on na świecie komedję, ale jak lichy aktor. Mowa, gest, wyraz twarzy, wszystko udane i zrobione.

Pospolite umysły nie chcą widzieć w aktorze człowieka, któryby był podobnym do innych ludzi. One chcą, aby i na świecie stąpał w koturnach i twarz okrywał maską. A czy może być coś wstrętniejszego dla

umysłów subtelnych, jak patrzeć codziennie na taką parodję życia? Filomachos starał się zawsze i wszędzie mówić mową bogów i bohaterów. Uczucia swoje wyrażał z przesadą w mowie i w geście. Histryoni nazywali go oszczercą Melpomeny.

W jego to i Rufusa towarzystwie, Genezjusz przepędzał resztę wesołych chwil poza temi, które mu Zenobia pozostawiła. Histryon patrzył na tych ludzi, i głucha wściekłość nim miotła.

— Jakto? Miałby on, Genezjusz, resztę życia pędzić w tym stadzie spodlonych istot? On, który miał przyjaciółmi Antoniusa i Apolinarisa? Topił tę boleść w ciągłych orgiach, jakie się odbywały w domu Zenobii. W chwilach trzeźwych zaczął przezierać przepaść, jaka się otwierała poza temi istotami, przepaść dla jego umysłu, który nie podsycany żadną karmią, wyschnie i wyjałowieje.

Nieustannym gościem Zenobii bywał Zares. Libijczyk głosił się wielkim przyjacielem i wielbicielem egipcjanki, ona jednak przyjmowała jego hołdy z niedowierzaniem i trwogą; znosić go jednak musiała, bo była to figura potężna.

Po sutej wieczerzy, wymykało się dobrane grono i przebiegało nocą ulice Rzymu, zawodząc śpiewy, zaczepiając przechodniów śmiechem, szyderstwem, łajaniem, biciem. W jednej takiej wycieczce zapędzono się apijską drogą, bo tam, jak mówił Zares, spotkać można chrześcijan wracających z arenarii. Poznać ich łatwo po ponurem wejrzeniu i białej tunice, zrobionej syryjskim krojem, którą noszą pod suknią.

Noc była jasna. Chłodny wietrzyk wiał od pól Kampanii i przynosił zapachy młodego kwiecia ziół. Dwoje ludzi zbliżało się powoli ku śpiącemu już miastu. Jeden z nich zapatrzony na smętną twarz księżycy, postępował nierównym krokiem, zatrzymując się czasem,



drugi ze zwieszoną głową, snąc zamyślony głęboko, machinalnie szedł i przystawał za tamtym.

Wreszcie pierwszy przerwał milczenie.

— Patrz Klodyonie, dwie idus temu, jak dziś patrzyłem się w tę twarz ponurą miesiąca w naszej willi... i byłem tak nieszczęśliwy i smutny. Trzeba było tak krótkiego czasu, aby cała istność moja w nowej się ujrziała szacie, nowe rozpoczęła życie, a tak dalekie, tak odrębne od pierwszego.

— Błogosławiony to dzień i godzina, Antoniuszu.

— Tyś smutny, stary przyjacielu?

— Tak, mój synu, jestem wielkim grzesznikiem, bo nieraz bywają chwile, że wątpię w miłosierdzie wiekuiste. Jestem wielkim grzesznikiem.

— Grzeszysz zbytmiem miłości tylko, mój drogi ojczy. A nie pamiętasz co mówił nam wczoraj Kajus. Niezbadane są drogi Opatrzności. Wiedzie ona śmiertelnych po bezdrożach i przepaściach, aby ich tem pewniej przyprowadzić do przybytku prawdy.

— O tak! Alem ja stary. Dni moje prędko się wysączają, a tak bym pragnął, nim zamknę powieki, widzieć go jeszcze innym. Widzisz, mój synu, jakim ja biedny i nieszczęśliwy.

— Wytrwania, ojczy! To, co się ma spełnić, spełni się niezawodnie. Patrz, jakiś oddział jeźdźców zbliża się ku nam. Usuńmy się.

Lecz zanim to zdołali uczynić, jeden z jeźdźców dotarł szybko ku nim i powstrzymał.

— Kto wy jesteście i dokąd idziecie o tak późnej godzinie?

— Wracamy z folwarku Vopiscusa, z pod Tusculum i idziemy do domu, odparł Klodyon. Jam ogrodnikiem — a to mój pomocnik.

Na dźwięk tych słów jeden z jeźdźców, który był przy lektyce, poskoczył ku zaczepiającemu i rzekł:

— Puść ich wolno! Cóż nas obchodzić mogą jacyś niewolnicy Vopiscusa?

Lecz w tej samej chwili Rufus podbiegł między nich i krzyknął śmiejąc się z całego gardła:

— Tatul kochany, a ten drugi to Antoniusz Vopiscus. Na jakichże to łowach zaprawiasz tego młodzieńca, stary rozpustniku? Czyście żydowski sabat odprawiali? Czy może z misteryów Cerery wracacie? Pięknymi mi ogrodniczy!

— Odstąp Rufusie! — krzyknął grzmiącym głosem Genezjusz. — Dajcie tym ludziom przejść spokojnie.

— Hola, Genezjuszu, jeżeli ich zatrzymał, miałem do tego powód — zawołał Zares — i puszczyć ich wtenczas, gdy będę wiedział czego wiedzieć pragnę.

— Pytajcie więc — odrzekł spokojnie Antoniusz.

— Dlaczegoście przed nami kłamali?

— Bo pierwszemu lepszemu przechodniowi nie mamy potrzeby tłumaczyć się z naszych czynności.

— Alem ja nie pierwszy lepszy.

— Daruj Zaresie, teraz dopiero poznałem ciebie i twoich towarzyszy. Istotnie wracamy z folwarku ojca, z podgórza Tusculum, a że noc taka piękna, wracamy pieszo. Oto wszystko co wiedziećbyście chcieli.

— Każ ich zrewidować Zaresie! — krzyknął pijany Rufus. — Tatul musi mieć na sobie tajemnicze oznaki chrześcijan, a młody Antoniusz jest jego uczniem.

— Precz, niegodziwy Rufusie! — krzyknął Genezjusz rozdrażniony — bo raczej trupem cię u nóg moich położę, aniżeli dotknąć się pozwolę tych ludzi. Idźcie w spokoju, a ciebie Zaresie błagam, nie czyni im żadnej krzywdy.

— Ależ na Plutosa! czego cię to tak gniewa Genezjuszu? — tłumaczył błazen. — Wszakżeśmy się wybrali na żarty i zabawę, a nie możnaż pożartować z tym starym mrukiem?

— Jesteś głupiem zwierzęciem, Rufusie, ten stary mruk jest moim ojcem, i włoska zakrzywić nie dam na jego głowie.

— Zaczyna mnie bawić ta sprzeczka — rzekła Zenobia, która już od chwili wyszła z lektyki i przypatrywała się bacznie dwom napastowanym.

— Zapalcie pochodnie! Niechże i ja poznam ojca mego przyszłego małżonka.

— On twoim małżonkiem? Któż ty jesteś, niewiasto? — spytał Klodyon.

— Powoli tatulu, powoli — zasyczał Rufus. — Mówisz do Zenobii.

— Zenobia!

— Patrzcie jak wywalił oczy — odezwał się Filomachos. — A to pyszna scena! wśród grobów, przy blasku księżycy, ten stary poznaje swoją synowę. Żywcem z Terencyusza wykrojona. No, stary Symonie, nie bądź tak okrutny.

— Cicho! on nam tu wypowie mowę na temat sprośnych obyczajów. On lubi gadać. No, staruszku! Jam się dosyć nasłuchał twoich pięknych gawęd pod portykiem.

— Milcz, Rufusie — rzekła Zenobia, zbliżając się do oniemiałego Klodyona z dwoma niewolnikami trzymającymi pochodnie. — Dlaczego patrzysz takim osłupiałym wzrokiem? Syn twój jest dumnym i szczęśliwym. Czyżbyś mu złorzeczył?

— Ja nie złorzeczę Zenobio, ja się tylko dziwię.

— Dziwisz się, żem z pośród tylu ubiegających się jego wybrała?

— Nie, tylko że w tak podeszłych latach ty jeszcze uczuwać możesz chuć, niewiasto! Przypatrz mi się dobrze. Jam Klodyon, niegdyś budowniczy Aureliana, za którego wstawieniem się, uwolniono cię z więzień mamertyńskich. Ileż to temu wiosen...

— Precz nędzny pijaku! — krzyknęła wściekle ladażnica, i szybkim ruchem żmii schowała się w lektykę.

Towarzysze jej oblani zimną wodą, podśmiewując jednak i podrwiwując, puścili się za nią z powrotem.

Jeden tylko Genezjusz włókł się powoli przybity...

#### XIV.

### Święto Herkulesa.

Stary Apolinaris był zdawna przyjacielem domu Vopiscusa. Jeżeli surowa a pozytywna natura budowniczego nie ujmowała wielce artysty i filozofa, to zato żona jego Julia, niewiasta szerokiego i niepodległego umysłu, nagradzała mu to sowicie. W jego oczach kształcił się i dojrzewał młody Antoniusz, a po części i Genezjusz.

Stary histryon nie miał rodziny. Po śmierci żony, która mu zmarła młodo, a którą kochał namiętnie i płakał za nią długo, w tym domu znajdował rad ognisko rodzinne.

Pośród mroków i cieni upadku, trafiają się zwykle duchy, które świetlanemi barwy, są niby kontrastem rzeczy ciemnych i poziomych, jak gdyby na świadectwo, że *tak* być powinno, a tak nie jest niestety, że tak być musiało dawniej, niegdyś. Taką jasną plamą na obrazie sztuki ówczesnej był stary Apolinaris.

Teraźniejszy teatr z jego całym ustrojem i dążnością bez ideału, budził wstępną w starcu, żył też już tylko przeszłością i znajdował pociechę w filozofii. Rozgoryczenie to, im dalej posuwał się w lata, stawało się większem, tak, że rad unikał ludzi i zamykał się po dniach całych w swojej pracowni. Wskutek tego też zaniedbał i starych przyjaciół i nie wiedział zgoła, że w domu Vopiscusa zaszły tak dziwne zmiany.

Gdy mu Genezjusz rzucił o tem słów parę, porwał się starzec z pośpiechem niezwykłym i rzuciwszy histryonowi kilka słów ciężkiej przestrogi, pobiegł rzędko do willi Antoniusza.

Przyjęto go tu z radością wielką.

Jest dziwny stan duszy w chwilach, kiedy ona olśniona jakąś wielką prawdą, zrywa dawne kajdany i spieszy w regiony doskonalsze. Niby gniewna na to wszystko, co jej stan dawny przypomina, a przecież radaby mieć to przy sobie i zabrać do raję, w którym przebywa.

Człowiek szlachetny nie może znieść szczęścia bez podzięk.

Rozpiera mu ono duszę. Rad krzyżeć o niem. Będzie się dzielił z kamieniem, kiedy mu ludzi nie stanie. Tak było i tu.

Antoniusz rzucił się na szyję starcowi — a Julia powitała go łzami radości.

— O niedobry, gdzieżeś przebywał tak długo?

— Długo, mówisz Julio? Tak bywało już nieraz, a jednak na długość nie uskarżaliście się wcale. Snac ten czas niósł dla was moc kłopotów i zmartwień.

— Co ten czas przyniósł dla nas, tego wiek cały już nie przyniesie, choćbyśmy mieli żyć tak długo.

— Zaciekawiasz mnie, Julio! Ale w istocie widzę w was i w domu waszym tak wielkie zmiany, że zaledwie starym oczom wierzę. Tyś odmłodziła, a Antoniusz mi dojrzał nad miarę. Jakież to bóstwo cudów tych dokazało? Wymieńcie mi je, gotów jestem uczynić dlań libacje i ofiary, bo i któżby nie chciał być młodym?

— Poznasz je, mój stary przyjacielu i wraz z nami czcić będziesz. I tu Julia rozwinęła przed Apolinarisem całe pasmo wydarzeń, które znamy. Antoniusz dopomagał matce. Krasili go oboje czarem zachwytu i uniesienia. Starzec słuchał, a rumieniec zapału z ich lic odbi-

jął się na jego zwiędłej twarzy. Gdy skończyli, powstał, wziął za rękę Julię, drugą objął Antoniusza i rzekł:

— Tak mi dobrze, tak dobrze z wami, że radbym tu pozostać wiecznie. Będę więc bywał często, tylko pozwolicie, że kogoś z sobą przyprowadzę. Jestem już stary i wesprzeć się czasem muszę. Tę podporę mojej starości ujrzyście wraz ze mną.

Zaraz dnia następnego zjawił się Apolinaris w towarzystwie Eponiny.

I tak bywało co dnia.

Do ich towarzystwa, przy skromnym stole, przychodził czasem stary Klodyon ze smutnym uśmiechem. I Vopiscus zimny a obojętny zjawiał się niekiedy, ale uciekał prędko.

Tymczasem wypadki miały w dziwny sposób powikłać losy tych ludzi. Nadchodził dzień świąt Herkulesa, nakazany przez Maksyminijana, a ogłoszony przez kapłanów.

Był to rodzaj urzędowego święta, mającego trwać trzy dni z kolei. Wszystkie stany, wszystkie korporacje powinny przyjąć udział w nabożeństwie i przynieść ofiary bóstwu, dla którego szczególną cześć uczuwał cesarz i które odtąd w szeregu pierwszorzędných (*Diis Consentes*) stać miało obok kapitolńskiego Jowisza.

Na Polu Marsowem wybudowano prowizoryczną świątynię boga siłacza, i tu miały się odbyć ceremonie i nabożeństwa. W przyszłości dopiero ma stanąć świątynia wielka, wspaniała, jakiej Rzym nie miał dotąd. Z założeniem kamienia węgielnego miano czekać przyjazdu Dyoklecjana.

Wprawdzie istniała mała świątynka tuż przy Palatynie, ale nie potrafiłaby godnie odpowiedzieć blaskowi danej chwili. Wreszcie położona była tak, że nie miała żadnego placu obok siebie.

Odtąd siła będzie rządzić światem. Biada duchom!

Już od dni kilku na placach i ulicach, czytać można było na wywieszonych tablicach cały ceremoniał obrzędu, jak również formuły publicznych modłów i wotów, zredagowane przez arcykapłana i całe Fetiales. Miały powrócić Rzymowi dawne dni pobożności. Stare bóstwa zaniedbane i lekceważone, pojawiają się w całej potędze.

Ale czasy nie były już po temu. Gorliwość cezara podśmiewano po cichu. Tylko motłoch, rządny widowisk i chleba, garnął się z zapalem do nowego boga. Wszystkie czyny Herkulesa spisano na pergaminowych kartkach i sprzedawano po świątyniach.

Białe topole, drzewo poświęcone czci Herkulesa, miało w tym dniu swoją szczególną wartość. Majono niem domy i przedsienia, ubierano posągi rodziców boga siłacza: Jowisza i Alkmeny.

Posąg samego Herkulesa kolosalnej wielkości zrobiony przez Antifolusa, miał być dopiero odsłonięty po stosownym nabożeństwie o godzinie, którą *meridiei inclinatio* zwano, to jest około jedenastej przed południem.

Już około dziesiątej z wszystkich świątyni wyszli Flamini, niosąc każdy posążek swego boga, któremu służy. Dalej postępowali *Curioni*, kapłani kuryi. *Luperci*, kapłani *Pana*, przybrani w skóry kozie. Dalej *Fratres Arvales*, ofiarnicy od bóstw polnych. *Galli* kapłani *Cybelli*, którzy byli rzeźnicami, ciągnęli w hałaśliwej procesji wśród śpiewu i muzyki. W końcu szli ich posługacze i pomocnicy, ofiarnicy, dozorczy świątyni, liktorzy, wreszcie chłopcy, zwani *camilli*, usługujący kapłanowi Jowisza.

Wszystko to postępowало w masach wielkich i uroczyście przez Via Sacra, która wspaniała i imponująca przedstawiała widok. Każdemu takiemu orszakowi towarzyszyły nieprzeliczone tłumy, niosące gałązki białej topoli.

Kapłani ustawiali się w półkole przed świątynią. Celebrować uroczystością będzie Pontifex - Maximus, dzielący swą władzę na pół z cezarem, a właściwie będący już dziś manekinem, bo władza arcykapłana spoczywała w ręku Maksyminjana.

Oczekiwano jego przybycia. Słońce siało złote blaski na całą tę mozaikę miliona głów ludzkich, oczekujących w ciszy i karności rozpoczęcia obrzędów. Nie możemy dziś mieć pojęcia o tym tłumie zebranych w czasie uroczystych obrzędów pogaństwa.

Ich świątynie wydają nam się dziś małe i szczupłe, i w istocie, służyły one też więcej za skarbiec do przechowywania posągów i naczyń czci boga poświęconych, a wreszcie dla wybranego kwiatu patrycyuszów lub senatorów, a wkońcu dla kapłanów, bo tłum musiał poprzestać na placu przed samą świątynią, gdzie też się odbywała ofiara.

Wtem trąby obwieściły przybycie cezara. W samym końcu szpaleru, utworzonego z głów ludzkich, strzeżonego przez gwardyę herkulianów, od strony Pantheonu ukazał się szereg świętych dziewic, w białych szatach, z przepaskami na czole, zwanymi *infula*, z palmami w ręku, na których czele postępował arcykapłan. Gdy przeszły westalki i ustawiły się przed ołtarzem, błysnął wóz złoty Maksyminjana. Wjechał nim w koło utworzone przez kapłanów, potem rzuciwszy lejce Centuryonowi szedł w towarzystwie arcykapłana do ołtarza Herkulesa.

Rozpoczęły się krótkie modły, potem śpiew rytualny przy towarzyszeniu surm. Kapłan stojący przy kompasie dał znak i ściągnięto oponę z posągu bóstwa.

Z miliona gardeł wydarł się okrzyk zachwytu.

Kolosalna figura boga-siłacza, wsparta na maczuzie, odbijała się wspaniale na tle błękitnego nieba w jasnym majowym słońcu. Od białości jego marmuru zda-

wały się wychodzić promienie świetlane, niby strzałki srebrne.

Dym kadzideł, kłębiący się u podstawy posągu, sprawiał złudzenie unoszącego się bóstwa w obłokach. I znowu ozwały się surmy i śpiewy, poczem rytualny tańiec świętych dziewic.

Na znak arcykapłana wyprowadzono poświęconego byka o złożonych rogach, przystrojonego w wieńce. Zanim zwierzę padło pod ofiarniczym nożem, rozległ się ponury hymn augurów, który otoczył kołem ofiarę. Padła wreszcie, tocząc z siebie krwawą posokę, którą jako najdroższą z relikwii, kapłani obmywali ręce, a potem kropili bliższych, a wreszcie dalsze tłumy.

Wybuch okrzyku i chwilowego zamieszania powstał w tłumie, bo każdy chciał być naznaczony plamą krwawą. Wydobyto wnętrzości i wrócono z nich cezarowi. Co powiedziały te wróżby, nie utrwaliły kroniki, a choćby i utrwaliły, dowiodłyby tylko nicości wszelkich wróżb ludzkich...

Teraz rozpoczął się pochód ofiarodawców. Z każdego okręgu, których było wówczas czternaście, postępował prefekt, a za nim korporacja, niosąc ofiary w chlebie, oliwie, owocach, ziołach, kwiatkach, ptactwie i winie. Składano je u stóp świątyni.

Wtem w jednym z okręgów powstało zamieszanie, wyszło ono z grupy historyonów, która właśnie zbliżała się do świątyni.

Słyszano urywane zdania.

— To chrześcijanka.

— Nie przyniosła ofiary.

— Ona bluźni!

— Śmierć jej! Śmierć! Śmierć!

Tym, który najwięcej krzyczał i podzegał — był Rufus. Ofiarę, którą otoczono kołem i przerażano groźbami — była Eponina.

Trwożna i przelękła zrazu, chciała się wyrwać z koła i ująć przed szalejącym tłumem, ale ją prefekt pochwycił za ręce i przyciągnął do świątyni.

— Tyś nie złożyła ofiary? Dlaczego?

— Bo... bo... jęknęła nieśmiało.

— Bo jest chrześcijanką. Przyszła tu z musu, żeby się naigrawać świętym obrzędem — krzyczał błazen, pnąc się po filarze świątyni, aby go lepiej słyszeć można było, i aby swą gorliwość okazać przed ludem; podtrzymywany przez kolegów, wdrapał się aż do gżemu.

— To nieprawda! nie wierzcie temu — wołał Genezjusz. — Patrzcie! ona słaba. Miejcie litość. Puść ją, prefekcie.

— Nie obronisz jej, Genezjuszu. Wiesz dobrze jak i my wszyscy, że to chrześcijanka. Wie o tem i pan jej Apolinaris!

— Śmierć jej! Śmierć!

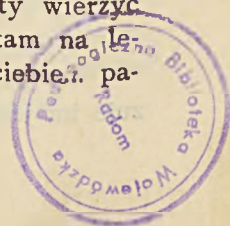
— Śmierć! Oh śmierć dla Chrystusa! — krzyknęła Eponina, i oczy jej zabłyły. — Tak! tak! jam chrześcijanką. Przyszłam tu, bo mi kazano, bo wywleczono mnie gwałtem. Nie będę kłamać. Ja pogardzam waszym bogiem i czi mu nie złożę: jam chrześcijanką! Wierzę w Chrystusa, Syna, Ojca i Ducha świętego. A teraz zabijcie mnie! O Jezu Chryste...

Nie dokończyła, bo padła ogłuszona straszmem uderzeniem pięści. Krew polała jej się z ust. Genezjusz odepchnął napastnika, ale w tej chwili spadły nań pociski.

— Ratuj się! Oh ratuj Eponino! — krzyczał z całych sił.

Ale Eponina kopana nogami, darta pazurami, wydawała ostatnie tchnienie.

— Wierzę w Jezusa Chrystusa... i ty, ty wierzyć weń będziesz, Genezjuszu... Żegnam cię... tam na lepszim świecie... Festus, mój Festus nauczycie, pamiętaj o nim.



Wyrazy te wychodziły wraz z jej życiem. Wściekły, rozszalały tłum, podarł naprzód w strzępy jej szaty, a potem jej ciało rozszarpywał. Wreszcie, nasyciwszy się do woli, rzucił do Tybru.

Genezjusza zaś omdlałego otoczyli kołem życzliwi i unieśli szybko z pola do jednego z pobliskich domów.

## XV.

## O f i a r y.

Noc.

Na placu Marsowym, przed świątynią Herkulesa dogasają ognie, i płaczą się gdzieniegdzie cienie ludzkie. Są to słudzy świątyni, którzy oczyszczają plac z ludzkiego błota.

Wschodzące słońce zawstydziliby się tych brudnych resztek po uczcie. Nad całym placem unosi się jakiś par potu, krwi, wyziewy jadła i trunku.

Ludzie pracują gorliwie. Niedojedzone resztki kości, odłamki chleba, skorupy z naczyń, szmaty, pakują w kosze, a potem je zawieszają na grzbietach osłów.

Wśród tego krzątania się i zbierania śmieci po całym obszernym placu, trafiają na przedmiot, który ich dreszczem przejmuje. Odskakują wtenczas, jak gdyby przed ukąszeniem gadu. Potem wsadzają w ziemię wysoką żerdź, ażeby w to miejsce łatwo trafić.

Co to było? Trup człowieka.

— Kiedyż oni przyjdą po to? — pyta jeden.

— To nie nasza rzecz.

— Do rana tak zostać nie może.

— Patrz! idą, jak gdyby wołani.

Ukazuje się grupa z kilkudziesięciu ludzi.

— Tam oto wszędzie, gdzie zatknięte znaki — wskazuje im jeden ze sług. — Bierzcie co wasze.

— Dziękujemy!

Podobnych scen jaka się odegrała z Eponiną przed świątynią Herkulesa, było znacznie więcej.

Rufus dał hasło i mordy rozpoczęły się na wszystkich punktach. Z początku ofiary rzucono w Tyber, później zaniechano tej pracy i porzucono ich w miejscu, gdzie padły, zwłaszcza, że zbliżająca się noc, czyniła nie tak wstrętnym ich widok.

Słudzy świątyni, obławowawszy osłów śmieciami i skorupami, oddalili się szybko. Tajemniczy ludzie zostali panami placu. Wschodzący księżyc posrebrzył głowę Herkulesa.

Stary bohater Helenów, zbawca Prometeusza, oraz obrońca niewinnych i uciśnionych, spoglądał, jak gdyby zdziwiony na te hekatombę z ludzi szlachetnych, niewinnie padłych.

Co on tu robi na ziemi tych twardych latynów, którzy uczcili w nim tylko siłę, a nie uczcili wielkich cnót ludzkich i boskich?

Twarz jego zrazu pogodna blaskiem księżycy, przesłoniła się cieniem. Następnie grom Zeusowy zahuczał w dali, wicher odezwał się jękiem... i deszcz ulewny spadł na tę zbrukaną ziemię.

Płakał Zeus, płakał Herkules, wyły wichry, a błyskawice świeciły sprawiedliwym w spełnianiu ostatniej posługi, dokonywanej z całym zaparciem i troskliwością.

Takiż sam ruch panował na Tybrze. Na wzburzonej fali płynęły łodzie ku awentyńskiemu wzgórz, stawały przy moście Sublicyusza, wydobywano z nich swój ciężar, potem długim szeregiem niesiono zwłoki około głównego cyrku, przez bramę Capena do appijskiej drogi.

Burza szalała, błyskawice rozdzierały ciemności — lecz dla tych ludzi była ona rajska muzyką. Postępowano powoli, bo bezpiecznie. Nie obawiano się spotkać z człowiekiem, bo w tej chwili Bóg przemawiał.

Za długim orszakiem, który wyłonił się z Tybru, postępował wkrótce takiż sam orszak z pola Marsowego i szedł tą samą drogą. Burza przycichła. Na wschodzie poczęło świtać. Zdawało się, że praca skończona.

Wtem od góry Testacyuszowej płynie łódź pod wodę. Pracuje na niej z wysiłkiem dwoje ludzi. Widocznie chcą przybić jak najprędzej do mostu Sublicyusza, aby się połączyć z ogólnym pochodem braci. Spieszą się, bo dzień coraz bielszy, coraz jaśniejszy, wreszcie minęli Emporium, dotarli do portyku Emillii, a gdy przybyli do mostu Sublicyusza, wschodzące słońce ozłociło szczyty domów i świątyń. I my przy jego blasku przyjrzymy się tym ludziom.

Jest to Klodyon i młody Antoniusz ze zwłokami Eponiny. Najpierw padła i najdalej też poniosły ją fale.

O tej strasznej śmierci dał znać Klodyonowi dowódca straży cesarskiej, Sebastyan. Stał w pobliżu i był świadkiem krwawej tej sceny.

— Niema już nikogo z naszych, a dzień biały zawiata. Cóż pocniemy? — pyta Klodyon.

— Zostań tu, ojcie — odparł młodzieniec. — Pójdę po mary i po ludzi.

Antoniusz odszedł. Klodyon posunął z łodzią pod arkady mostu, które go ukryły przed wzrokiem ciekawych. Wschodzące słońce rzuciło swój ukośny promień i padł wprost na twarz męczenniczki.

Wyglądała jak w aureoli niebiańskiej. Klodyon ukląkł, złożył ręce i patrzył z zachwytem i zdumieniem w anielską twarz dziewczyny, pełną słodyczy i spokoju.

— Oh, ty moje ukochane dziecko! Marzyłem, że będziesz mi synową, że mi nawrócisz tego, za którym płacę tak długo. Ty odeszłaś, a on popada w grzechy coraz większe. Oh módl się za nas ty święta męczenniczko, ty, która teraz stoisz przed tronem Najwyższego. Eponino! Eponino! Czy ty słyszysz mnie?

Blask słońca coraz większy zaglądał pod arkady mostu i oblewał światłem całą już postać. Klodyon zatopiony w modlitwie klęczał już długo. Wtem zdawało mu się, że zmarła doń się uśmiechnęła, następnie się uniosła, wreszcie wstała w blasku i glori niebiańskiej z palmą w ręku.

Widmo mówiło:

— Nie smuć się, starcze! Twój syn będzie zbawiony!

Gdy Klodyon się zerwał i wyciągnął ręce, widziało nikło z blaskiem słońca, które się usuwało powoli, nareszcie rozwiało się na falach Tybru.

Spojrzał na zwłoki. Leżały ciche i spokojne, tylko blask słoneczny z nich się usunął dalej, złocąc wszystkie prądy rzeki. Twarz pogrążoną była w cieniu, ale z wyrazem tej samej obietnicy, jaki ujrzał przed chwilą.

Ptactwo zbudzone ze snu, cieszyło się w blaskach i świegotało pieśń poranną. Tysiące muszek i owadów pracowało już w przestworzu. Ponad sobą usłyszał Klodyon turkot wozów i stukanie kopyt końskich, wraz z ludzkimi głosy.

Miasto budziło się do życia, a Antoniusz nie wracał. Widać nie spotkał żadnego z braci, a do katakumb nie tak blisko. Może go co spotkało?

Starzec był zdecydowany cały dzień raczej przepędzić na Tybrze, aniżeli choć na chwilę pozostawić zwłoki same. Nareszcie usłyszał kroki zbliżających się ludzi.

Pierwszą postacią, która mu się wyłoniła z za arkad mostu, była — Zuzanna.

— Tyś to Zuzanno? O mój Boże, nie obawiała się... czy...

Nie dokończył, bo w tejże chwili ujrzał Kajusa, Antoniusza i czterech braci z marami.

Zuzanna pierwsza weszła do łodzi, przyklękła przy zwłokach, pochyliła się do stóp ofiary i ucałowała je, oblewając łzami:

— Oh, jak piękna! Święta męczenniczko, módl się za nami — wyrzekła z łkaniem dziewica. — Tak! ona pragnęła takiej śmierci i Bóg ją wysłuchał.

Kajus zdjął z siebie wierzchnie szaty, przybyły z nim sługa podał mu inne i ukazał się w stroju biskupim.

Wyniesiono zwłoki i złożono na marach, zapalono pochodnie i wszyscy, nucąc psalm pogrzebowy, udali się pośród białego dnia do katakumb.

Biskup zapragnął odznaczyć pogrzeb Eponiny. Do orszaku ich przyłączało się coraz więcej ludzi, tak, że urósł w potężny zastęp. Zanim się zbliżyli do Porta Capena cały Rzym wiedział, że to jest pogrzeb Eponiny, znanej histryonki z teatru Marcellusa, zamordowanej wczoraj przed świątynią Herkulesa.

I dziwna! Przechodzące tłumy zachowały się spokojnie, z niejakim nawet szacunkiem. Wczorajsza orgia zostawiła niesmak w duszy i pewnego rodzaju upokorzenie. Usuwano się orszakowi, który, spokojnie przeszedłszy Apijską drogę, pogrążył się w podziemiach. Wczorajsze ofiary spoczywały już w kryptach.

Dla Eponiny pozostała jedna, tuż przy samej podłodze wąskiego kurytarza. Poniesiono zwłoki do głównej pieczary i ustawiono je na środku na wprost ołtarza. Wówczas Klodyon wzruszonym głosem opowiedział swoje widzenie i powtórzył swoje słowa, zaprzysięgłszy to wszystko uroczystie. Trasson zaś, kronikarz, spisał zeń protokół i wciągnął do akt męczenników.

Poczem rozpoczęła się msza żałobna, lecz przerwał ją płacz dziecka, które tylko co weszło, prowadzone za rękę przez kobietę. Był to mały Festus. Pobiegł do zwłok i objął rączkami zimną szyję matki. Poczęto dziecko uspokajając.

— Nie obawiajcie się o mnie. Uścisnę ją tylko na drogę. Wszak nie nazawsze odeszła. Zobaczmy się kiedyś. Ona mówiła mi: Chociaż umrę, mój duch będzie

z tobą, Festusie, i był i jest ze mną ciągle. Dziś w nocy stanęła przy mem łóżku i powiedziała: »Kochaj swojego ojca, i naucz go modlić się do Chrystusa«. I ja to spełniać będę.

Szczebiot sześciolatniego dziecka wśród ciszy uroczystej rozlegał się po podziemiach i do łez wzruszał.

Patrzył w twarz matki i zdawało się, że ona się uśmiecha do chłopczyny, potem jak gdyby już uspokojony ukląkł przy zwłokach Eponiny i pogrążył się w cichej modlitwie.

Tak to życie ówczesne spletało się z pozagrobowym światem...

## XVI.

### L e k a r z .

Tegoż samego jeszcze dnia wieczorem, przyniesiono nieprzytomnego Genezjusza do domu Apolinarisa. Miał złamaną rękę i pełno ran wraz z sińcami na całym ciele. Starzec, lubo oburzony nań i gniewny na wieść o jego zamiarach zaślubin, rozbrojony został nieszczęściem. Wiedział nadto, że spełnia czyn godny pamięci Eponiny.

Jakże gorzko wyrzucał sobie Apolinaris, że jej nie ukrył gdzieś w willi którego ze swych przyjaciół w kampanii, i tym sposobem nie udaremnił porwania przez jednego z urzędników prefekta. To znowu gniewny był na siebie, że nie poszedł za Eponiną na plac Marsowy, utrzymując, że pod jego okiem wypadek powyższy nie miałby miejsca.

Płakał po niej, jak po stracie swej własnej córki. Wszystkie jej pamiątki były mu drogie. Festusa postanowił przyjąć za syna i wychowywać w wierze jego matki, pod okiem niewolnicy Felicji, którą Eponina nawróciła.



Ona to znalazła się z chłopcem w katakumbach. Powrócili już późnym wieczorem we troje, bo i stary Klodyon przybył z niemi. Apolinaris czekał na chłopca z niecierpliwością.

Pierwszym czynem Festusa, było pobiedz do łoża ojca. Histryon wrócił już do przytomności, ale cierpiał straszliwie. Zdawało mu się, że całe jego ciało jedną stanowi ranę. Lekarz nie odstępował go ani na chwilę, złamana ręka była już nastawioną, a rany zalepione plastrami.

Gdy zobaczył Festusa, podniósł się z łoża i wyciągnął doń ręce z krzykiem. Lekarz nakazał mu milczenie, a mały Festus z paluszkami na ustach zbliżył się doń łagodnie, przyklęknął przed łóżkiem, i całując jego zdrową rękę mówił głośno modlitwę, którą sobie ułożył przez drogę:

— Boże w niebiesiach! zasyłam gorące modły do Ciebie, wróć do zdrowia mego kochanego ojca. Matko moja, która jesteś tam między świętymi męczenniczkami, wstaw się za nim do Chrystusa. Niech mu będą odpuszczone wszystkie grzechy. Niech serce jego wypełni miłość chrześcijańska. Spraw to, o moja matko!

Choremu puściły się łzy rzęsiste z oczu, i zdało mu się, że wielkie brzemie ciężaru, gniotące mu piersi i barki, spływa na raz z temi łzami, a on czuje się lekkiem i swobodnym... Łkał ciągle, tuląc dziecię do piersi.

— O mój Festusie, mój synu ukochany, módl się, o módl się za mnie do twego Boga i twojej matki, bom ja bardzo nieszczęśliwy.

— A ty ze mną modlić się nie będziesz?

— Ja nie umiem, mój synu!

— Ja ciebie nauczę.

— Dobrze, dobrze dziecię moje, będziesz mnie uczył. Teraz poproś tu Apolinarisa.

— I dziadka Klodyona, bo i on przyszedł ze mną.

Genezusz zawahał się, wreszcie skinął mu głową. Chłopiec wyszedł.

Lekarz zbliżył się do chorego i popatrzył nań w dziwny sposób.

— Co znaczy Genezuszowi modlitwa tego chłopca, i twoje dla niej współczucie? Czyżbyś i ty należał do tej sekty chrześcijan, której tak nienawidziłeś dawniej? Jeżeli tak jest, racz mi to powiedzieć otwarcie, bo w takim razie ja cię leczyć nie będę. Wezwij innego lekarza.

Genezuszowi wystąpił zimny pot na czoło.

Być posądzonym o chrześcijaństwo przez człowieka tej wziętości co lekarz Maksyminijana, bo takim był Ventidijusz, było rzeczą okropną! Syknał też boleśnie, bo zdawało mu się, że wszystkie rany i ręka zapalały piekielnym ogniem.

Rzekł jak mógł spokojnie.

— Co ci się zdaje Ventidiuszu! Mamże ja być odpowiedzialnym za dziecię Eponiny? To wina jego matki, że go wychowała w swej wierze. Moją rzeczą będzie naprawić to zło, jakie mu wyrządziła. Ależ na to potrzeba czasu!

Nie mógł mówić więcej, bo ból mu nie pozwolił. Czuł on w tej chwili, że duch Eponiny, jeżeli był przy nim, musiał się odeń odwrócić ze zgrozą... Cierpiał strasznie. Rad był odprawić tego lekarza i nie widzieć go więcej, zwłaszcza teraz, gdy lada chwila mają wejść tak blizcy jego sercu.

Miałże ten człowiek być świadkiem jego skruchy wobec starego nauczyciela i jego ojca Klodyona? To niepodobna.

Duma i jakaś bojaźń wobec opinii publicznej zawrzały mu w duszy. Począł jęczeć boleśnie.

— Racz powiedzieć Ventidiuszu, że się z nikim widzieć nie chcę. Jestem bardzo cierpiący i pragnę zostać sam.

Lekarz spełnił zlecenie i powrócił.

— Przed godziną przysyłała tu Zenobia, dowiadując się o twojem zdrowiu.

Na wspomnienie hetery, Genezjusz wstrząsł się cały, i tą razą już szczerem wybuchnął oburzeniem.

— Nie wspominaj mi o niej, Ventidiuszu. Z tą kobietą nie wiąże mnie nic! nic! Chcę zapomnieć o niej.

— Źle czynisz, Genezjusz.

— Czy i to może będzie przeszkodą dla ciebie w udzieleniu mi pomocy? — spytał szydlerczo.

— A cóż mnie twoje interesa obchodzić mogą. Jednak mam dla ciebie życzliwość i sądziłem, że tak wielkiego szczęścia omijać się nie godzi.

— Dla mnie ono nie w takim związku.

— Jak ci się podoba!

— Nie obawiaj się, chociaż nie zaślubię Zenobii, zapłacę ci sowicie za pomoc twoją.

— Tego jestem pewny, Genezjusz. Prócz tego, ważny wzgląd mną powoduje, aby cię jak najprędzej uzdrowić. Cezar i Rzym oczekują twojej nowej sztuki. Nie wątpię, że ona ci przyniesie nieśmiertelną sławę.

Genezjusz miał przymknięte oczy i nie odzywał się już wcale do rozmownego eskulapa.

Uznał on też za stosowne wyjść. Zalecił tylko niewolnikowi mieć o chorym staranie i przywołać go czemprędzej w razie potrzeby. Gdy chory obliczył, że doktor już daleko, odezwał się do sługi.

— Poproś do mnie Apolinarisa.

Starzec zjawił się niebawem.

— Oh, Apolinarisie! przebac mi wszystko złe, jakie ci wyrządziłem. Przebac mi szal chwilowy, którego skutków obliczyć nie umiałem, zaślepiony. Dziś widzę jasno wszystko. Nieszczęście jest szkołą życia. Jam jeszcze nie przeszedł tej szkoły. Pragnę w niej uczyć się pod twoim kierunkiem, mój mistrzu i przyja-

cielu. Wszak mi przebacysz i ścieżki mojego życia będziesz prostował.

— Czy możesz wątpić?

— Dziękuję ci. A teraz spełń prośbę moją.

— Słucham.

— Uwolnij mnie od tego Ventidiusza, to nie lekarz, ale kat. Ja nie chcę go widzieć więcej. To nie sługa Eskulapa, ale Plutona. Ja nie wyzdrowieję, ale umrę od jego leków.

— Uspokój się, Genezjusz. Wszakże to najlepszy lekarz w Rzymie.

— Być może, ale nie dla mnie. On mi przypomina to, o czym chciałbym zapomnieć. On śmie kontrolować moje myśli i uczucia. Przynosi mi oświadczenia Zenobii i ubolewa, że zerwał z tą heterą. Nie chcę go widzieć więcej. Zresztą nie jestem już tak chory. Młodość przywróci mi siły. Ale pragnę waszej miękkiej dłoni i serdecznego ciepła, pragnę słów mądrości, któraby uleczyła rany mej duszy. Dajcie mi mojego małego Festusa, niech mi mówi o swej matce i o Bogu swoim. Wyobraź sobie Apolinarisie, że ten nędznik śmiał mnie karcic, gdy dziecko mówiło modlitwę, prosząc swojego Boga o zdrowie dla mnie. Oburzenie moje powiększyło całe piekło boleści.

Mówił rozgorączkowany i podniósł się na łożu tak, że starego zdjął trwoga.

— Uspokój się, uczynię wszystko, czego życysz. Wezmę innego lekarza, a Ventidiusza przeproszę i zapłacę mu hojnie.

— O tak, tak! Uczyni to Apolinarisie. Ale mnie innego lekarza nie trzeba. Wy dla mnie starczycie za leki wszelkie. Wspomnienie Eponiny wystarczy mi zupełnie. Oh, gdybyś ty ją widział Apolinarisie, w poszarpanych szatach broczącą krwią! Oh, czemuż nie miałem siły Herkulesa, aby rzucić się na to mrowie i zgnieść,

zmażdżyć. Upadłem pod ich ciosami, potem nie wiem już, co się ze mną i z nią stało. Zdawało mi się tylko, że słyszałem z jej ust imię Festusa... czy Chrystusa? Tak Festus... Chrystus!... te dwa brzmienia plątały mi się w mózgu jak i teraz... Oh! oh! Patrz!... patrz tam!... Czy widzisz ją!... Wszak to ona, Eponina. Przyszła tu, więc mi przebacza. Ty mi przebaczasz, boś ty dobra, boś ty chrześcijanka. Wasz Bóg tak chce! Patrz! patrz!

Starzec się zerwał jak ukropem oblany. Przywołać kazał Klodyona, aby posłał po lekarza. Genezjusz w parkroksymie gorączki straszliwej, patrzył wciąż w jeden punkt i rozmawiał z duchem Eponiny, aż wreszcie wyczerpany, padł bez zmysłów na łożo...

## XVII.

### Na scenie i za kulisami.

Cezar Kajus, Aureliusz, Valerius, Dyokletianus, z przydomkiem Jowius, odbywał wjazd tryumfalny do Rzymu. Był to ostatni tryumf w wiecznym mieście. Ostatni i najwspanialszy! Cezar despota, chciał nim pozostawić wieczystą pamięć i wrazić w ludy potęgę swojego majestatu, przepychem niewidzianym dotąd w tych murach. Boska jego postać, niewidzialna dla poziomego wzroku zwykłego śmiertelnika, miała błyszczeć wspomnieniem. To główny cel jego rządów.

Sponiewierany majestat wspiał się na wyżyny niebywałe, sprawiające zawrot. Dawna postać cezara, jeszcze w gruncie najwyższego dostojnika rzeczypospolitej, starającego się o popularność najlichszego plebeja, znikła bezpowrotnie. Okrył ją nimbus, od którego blasków ślepy poziome tłumy. Nikt już nie dostąpił zaszczytu mówienia z jego boską osobą. Na to są całe falangi urzędników i dworzan, przez których on mówić będzie.

Nerwa na swoim pałacu położył napis: »Pałac publiczny«. Dyoklecjan kazał go zwać »domem boga«. Trajan wszedł do Rzymu piechotą, Dyoklecjan zjawił się w obłokach. Wyrażać się o nim już nie wolno w liczbie pojedynczej. Nie *ty* cesarze, ale *wy*.

Cały też ten wjazd tryumfalny nie miał dawnego charakteru zwycięskiego wodza, któremu lud spleta wieńce i towarzyszy w pochodzie, stykając się z nim bezpośrednio. Nie! Było to raczej wtargnięcie jakiegoś potężnego bóstwa, przed którym na twarze padać trzeba z przymrużeniami od jego blasku oczyma.

Wśród niezliczonych tłumów wojsk różnej barwy, świecących żelazem, wśród konnych zastępów wodzów i książąt kapiących złotem, dostrzedz można było rydwan wysoki, ciągniony przez słonie i niewolników. Stopnie rydwanu pokryte purpurą, a na tym rydwanie gdzieś pod baldachinem błyszczącym od złota i drogich kamieni siedziała postać równie błyszcząca i świecąca w promieniach słońca. To — cesarz!

Twarzy jego nikt dojrzeć nie mógł, bo był wysoko — a zastępy żołdactwa otaczały rydwan w kilka szeregów. Wydawał się niedojrzany i niedostępny, niby jakie *Sancta-sanctorum*. Patrzano też w niego jak w tarczę słońca — nieśmiało i z bojaźnią.

Tłumy, tak zwykle skore do okrzyków, zachowały grobowe milczenie. Były zdumione i przerażone majestatem. Ażeby pochód mógł swobodnie przejść, rozszerzono niektóre ulice, burząc domy. Nie wolno było patrzeć z górnych okien domów, ani z tarasów, aby nie spotkać się oko w oko z jowiszowem spojrzeniem cezara. Po ziemi tylko pełzać pozwolono.

Starzy pytali siebie zdumieni: ażali są rzeczywiście Rzymianami w Rzymie? i czy to cesarz wjeżdża do ich miasta? Zdawało im się widzieć jakiegoś Xerksesa lub Darjusza.

Niesłychane i niewidziane dotąd zjawisko!

U stóp kapitolńskiego Jowisza orszak się zatrzymał. Czekał tu na Dyoklecjana diumvir Maksyminijan. Powitał on przybyłego krótkimi słowy.

Wówczas widziano, jak postać pod baldachinem podniosła się, skinęła ręką na podziękowanie, lecz wiadomo komu, czy Jowiszowi, czy Maksyminijanowi, i znów usiadła w nieruchomej postawie.

Orszak posunął ku Palatynowi. Zdumienie ogarnęło tłumy. Spodziewano się, że przed świątynią Jowisza cesarz zejdzie z wysokości, pokłoni się bóstwu i przywita się z kolegą w rządach. W owej to nareszcie chwili ujrzą go ciekawie. Przekonają się, że bóstwo to jest człowiekiem tak dobrym jak i każdy z tłumu; obiecywano sobie nawet ujrzeć jaką pocieszającą sytuację przy zsiadaniu z takiej wyżyny... Tymczasem oczekiwania te zostały zawiedzione. Cesarz Jowisz odegrał swoją rolę bez zarzutu.

Tłumy odprowadziły go nieruchomym i błyszczącym do murów Palatyńskich, i tu ukrył się wraz z całym aparatem scenicznym za kulisy.

Widowisko skończone. Wrażenie zeń potężne. Cała postać cesarza pozostała mytem, snem, złudzeniem. Zostawiła tylko po sobie poczucie siły, potęgi, majestatu. Takim pozostał dla Rzymian do końca życia...

Nikt nie pochwalił się, że go widział, lub z nim rozmawiał. Znający go dowódcą legii, przypominali sobie jak przez sen postać przysadzistą, barczystą, o okrągłej twarzy z wydatnymi szczękami i pałkowatym nosie, ale to wspomnienie rozwiało się wkrótce i zatarło wobec olśniewających blasków majestatu.

Ale my przyjrzyjmy się mu zblizka.

Kiedy rydwan zatrzymał się pod palatyńską górą, zapuszczono franki baldachinu, a osobę cesarza wyniesiono na rękach licznych dworzan i pokojowców, wsadzono do lektyki, gdzie nań oczekiwała żona Serena i córka Artemija. Syn ich Aureliusz towarzyszył im konno. Na dziedzińcu zwanym Roma-quadrata, zatrzymała się lektyka, i tu cesarz wraz z rodziną raczył wysiąść, dotykając stopy swemi italskiej ziemi. Powiódł okiem po wiernej swej straży Jowianów, uszykowanej w półkole, podał rękę małżonce, i wraz z synem i córką wszedł do pałacu.

Poprzedzał ich rządca cesarskiego gmachu, wskazując dla każdego przeznaczoną komnatę. Cesarz został sam ze swym wiernym Taurusem.

— Podaj mi zwierciadło — rzekł.

Miał koronę w kształcie spiczastych kolców, jaką na pieniądzach jego dziś widzieć można. Opaska jej wysadzana dyamentami, wielkości laskowego orzecha, siała blaski różnobarwnej tęczy.

Patrzył długo namarszczony w swoje oblicze. Miał brwi nieduże i rzadkie, a małe niebieskie oczy, w których sto szpilek zdawało się błyszczeć. Oczy takie widzą daleko i dokładnie. Mają one w sobie coś z nieruchomości oczów owadu. Takie oczy nie płaczą nigdy, a gdy się śmieją, nie budzą zaufania, ale zdają się ziębić dreszczem.

Twarz cesarza okrągła, pucołowata, nie wyrażała nic. Osypana rzadkim zarostem, z nosem krótkim, okrągłym jak oliwka, z ustami proporcjonalnymi, podobną była do twarzy zwyczajnego poczciwca; dopiero po bliższym wpatrzeniu się, tryskał z niej rozum i przebiegłość. Wydatne szczęki tak silne, że patrząc nań *en face*, zdawała się ta twarz kwadratową, zdradzała typ słowiański.

— Natura poskąpiła mi swoich darów, Taurusie — wyrzekł wreszcie, oddając zwierciadło słudze. — Nie mam twarzy Aleksandra ani Cezara.

— Masz rozum Minerwy, Kajusie.

— Moja twarz zadaje kłam temu, coś powiedział.

— Tak jak ty znów zadajesz jej kłam twojemi czyni.

— Zresztą ze wszystkiego korzyść osiągnąć można.

To mówiąc, wstał, złożył koronę, a Taurus począł go rozbierać.

Gdy opadła zeń ciężka purpurowa szata, tkana złotem i poczuł się w tunice białej, odzyskał sprężystość ruchów i szybko przechadzał się po komnacie.

Taurus układał szaty i klejnoty. Był to typ starożytnego podwórzowego brytana, z wielką głową na krótkim karku, porośłą kędzierzawym włosiem, z zaciśniętymi ustami i zwiśniętymi policzkami. W dużych czarnych oczach, przysłoniętych krzaczystymi brwiami, malowała się szczerokość i stanowczość, a cała ta głowa i postawa dawała wyraz surowej energii.

— Cóż powiesz, Taurusie, na te milczące tłumy? — spytał cesarz.

— Przeraziłeś je.

— Komedia wielkości dobrze zagrana.

— Wielkość raczej zniżyła się do komedii.

Cesarz przystanął.

— Więc niepodoba ci się nigdy mój system?

— Nie. Kajusie. Jestem starym Rzymianinem. Wiesz jak cię czczę i kocham głęboko. Pamiętam wielu twoich poprzedników. Oprócz Probusa żaden nie godzien rozwiązać ci rzemyska u sandała. Ty jeden jesteś zdolny dźwigać świat cały. Dźwigaj go więc jak przystało na Augusta, bądź ojcem i dobroczyńcą. Bądź Markiem Aureliuszem.

— O nie, mój stary nauczycielu, to na dziś za mało. Trzeba być — słońcem i bogiem.

— Wola twoja święta!

Pokojowiec oznajmił, że wieczerza przygotowana. W *triclinium* czekała nań rodzina. Pozdrowił ją krótko i siadł, a raczej legł do wieczerzy, jak gdyby chciał kożystać z czasu, którego mu nie wiele pozostawało.

Zaledwie też podano przekąski wszedł Plancjusz. Była to prawa ręka Dyoklecjana, wchodzić mu wolno było o każdej dnia porze bez oznajmienia, gdy wszyscy inni urzędnicy tylko przy uroczystym ceremoniale widzieć go mogli. Plancjusz przystanął i czekał na zapytanie. Cesarz jadł spokojnie marynowaną rybę.

Gdy skończył rzekł krótko:

— Mów.

— Otton schwytyany.

— Gdzie?

— W Ostyi.

— Zuchwały! Tak blisko...

Kobiety poblady i drżące oczekiwały lakonicznych słów cesarza.

Ten Otton był jednym z czternastu tyranów i przywłaszczycieli. Wszystkich prawie wygubił Dyoklecjan, został ostatni i ten już szkodzić nie mógł, chciał się tylko przekraść do Rzymu, bo tu miał żonę i syna... i za ich wpływem błagać cesarza o łaskę. Był on niegdyś przyjacielem cesarza, a nawet krewnym jego żony. W Ostyi schwytała go psiarnia Plancjusza.

Cesarz spokojnie i z apetytem smakosza przeżuwał jeszcze przekąskę.

Plancjusz stał niemy. Podano gołąbki. Cesarz wziął sobie kawałek piersi.

— Czy był kto z nim? — zapytał.

— Prócz starego niewolnika Tosca, nikogo.

Cesarz spożywał spokojnie i ukradkiem spoglądał na kobiety. Serena złożyła błagalnie ręce. Artemija poszła za jej przykładem, tylko Aureliusz zdawał się nie zważać na nic i jadł z apetytem.

— Nie lubicie gołąbków — rzekł cesarz, zwracając się do żony i córki. — Prawda, wszak to gołąbek jest u was symbolem jakiegoś bóstwa. Czy tak Sereno?

— Ducha świętego — odrzekła niewiasta.

— No, ale jeść go można mimo to — mówił cesarz z dobrodusznym uśmiechem.

— Oh można — rzekła Artemija swobodnie, czerpiąc otuchę z dobrego usposobienia ojca... i wzięła sobie część z półmiska i poczęła jeść.

— Biedne, niewinne ptaszki — rzekł cesarz. — Ludzie są źli i głupi. Żal im zbrodniarza, który zakłóca porządek, a pożerają stworzenia, które nikomu nie wyrządzają krzywdy, owszem są uciechą i rozkoszą dla oczu.

Spojrzał znacząco na Plancyusza i rzekł krótko:

— Precz z nim.

Żołdak się skłonił i zniknął.

### XVIII.

## K r e w n i.

Marek Gabiniusz przyjmował w swoim domu siostrę Serenę z córką Artemiją i synem Aureliuszem. Żona cesarza *incognito*, w osłoniętej lektyce, przybyła z dziećmi powitać braci i siostrzenicę. Od czasu jak Dyoklecjan obrał stałą siedzibę w Nikomedyi, upłynęło już lat kilka. Żegnała wówczas Zuzannę małą dziewczynką, dziś powitała dziewicę w całym rozkwicie. Nawzajem dwaj bracia, wraz z Zuzanną powitali zdumieni Artemiję i dorosłego młodziana w Aureliusz. Wszystkich łączyła wspólność wiary, prócz Aureliusza, który pozostał przy ojcowskiej.

Serena była gorliwą chrześcijanką, ale pozostała bez wpływu na męża, co jej wielokrotnie Kajus wyrzucał. Nie wszyscy przecież zrodzeni do apostołstwa. Takich małżeństw liczył wówczas Rzym na tysiące. Nie było prawie kobiety wysokiego rodu, któraby czy to skrycie, czy jawnie, nie sprzyjała chrześcijaństwu. Boskie słowa Chrystusa rozpłomieniały serca niewieście,

ale podczas gdy jedne garnęły pod sztandar krzyża coraz większe zastępy i umierały męczenniczkami, inne spełniały cicho swe posłannictwo i w małym tylko kółku otoczenia swego krzewiły wiarę, albo też ukrywały się z nią bojaźliwie.

Do tych ostatnich należała Serena. Potrafiła tylko w serce córki wszczepić nasiona wiary; syn pozostał dla niej obcym. Młodzieniec odziedziczył po ojcu wszystkie wady i zalety charakteru, w których go naturalnie ojciec umacniał. Wszakże to przyszły dziedzic jego potęg.

Był pierworodnym i zespałał w sobie świetnie typ, jaki z połączenia dwóch ras tak odmiennych dał się wytworzyć. Po matce odziedziczył piękną budowę łańskiejskiej rasy i ów płomienny, zapalny temperament dziadka, znakomitego wojownika; po ojcu chłodną rozwagę, cierpliwość i pewną skrytość charakteru. Wszystkie te połączone właściwości miały wytworzyć męża nie lada.

Pod okiem ojca, w wojnie perskiej świetnie się odznaczył, i otrzymał stopień centuryona, chociaż nie miał jeszcze lat ośmnastu. Cesarz kazał ćwiczyć syna w rzemiośle wojennem i uczyć go rządów. Filozofów i literatów zostawił na drugim planie. Aureliusz tracił pewną rubaszną dzikością żołnierską, przytem był nadzwyczaj dumnym i nieprzystępnym.

Na gorące tylko i usilne prośby matki i siostry, zgodził się towarzyszyć im w odwiedziny do wujów. On ich lekceważył. Nazywał pogardliwie czarnoksiężnikami, sekciarzami.

Po serdecznych powitaniach i zamianie słów kilku, Kajus opuścił towarzystwo, wymawiając się swemi obowiązkami. Markus przyjmował gości z całą pompą i godnością patrycyusza, należną tak dostojnemu gronu, w czem mu Zuzanna gorliwie pomagała.

Stary epikurejczyk i sybaryta potrafił tak zadysonować *prandium*, że wszystkie dania składały się

z płodów Italii, aby gościom przypomnieć dawne czasy. Było to śniadanie stylowe, mówiąc dzisiejszym terminem. Począwszy od wykwintnych mebli i naczyń w staroromańskim i etruskim stylu, aż do potraw i ich podania, widniał wszędzie gust i smak niepospolitego znawcy. Nie brakło nawet fletnisty, którego trzymał Markus, kupiwszy za drogie pieniądze w Grecyi.

Młodemu Aureliuszowi wykładał stary szkołę życia. Słuchał jej i potakiwał, ale oczami pożerał Zuzannę, która była najpiękniejszym kwiatem i stanowiła koronę właśnie tej stylowej uczy, bo pięknością i czystością swego typu, uosabiała niby Eneaszową Vestę. Aureliusz nie widział jeszcze takiej dziewicy. Na etykietalnym i surowym dworze ojca, a potem w obozach nie miał sposobności podpatrywania niewieścich wdzięków. Każde odezwanie się dziewicy, każdy jej ruch i spojrzenie, dobywały z piersi na pół dzikiego młodzieńca ciche westchnienia zachwytu.

Spostrzegł to stary Markus, rad spostrzeżeniu.

— Jak widzę, Aureliuszu — rzekł — to mało zapamiętałeś moją Zuzannę. Patrzysz na nią, jak gdyby obcy i zdziwiony.

— Jakże się nie mam dziwić, wuju? Zuzannę widziałem dzieckiem, bawiłem się z nią w ogrodzie wuja Kajusa, z chłopcami krewnego Ottona. Była tak drobną i małą, żem ją wziął na ręce i przeniósł do domu. Rozpłakała się wówczas, i oświadczyła mi, że nigdy już ze mną bawić się nie będzie.

— A ciebie, dumny Aureliuszu, to tak bardzo oburzyło, żeś się już więcej u nas nie pokazał — odpowiedziała Zuzanna.

— Tego nie pamiętam — odrzekł trochę zmieszany młodzieniec.

— O tak, byłeś zawsze dumnym i uraz nie lubiałeś przebaczać.

— Uraza to była tak mała, jak małym było wówczas moje pojęcie o obrazie.

— Być może Aureliuszu, jednakże ten rys twojego charakteru głęboko mi utkwiał w pamięci.

— Czy go poczytujesz za wadę?

— Ze swego stanowiska, jako chrześcijanka, nie znam takiego uczucia, bo my przebaczymy wszystkim i wszystko. Jednak pojmuję uczucie dumy dla wyższych od siebie... i wówczas jest ona rodzajem cnoty, ale wobec niższych staje się występkiem.

Aureliusz pokraśniał cały i rzekł półgłosem:

— Surową jesteś Zuzanno. Ale przekonam ciebie, żem od tego czasu stał się o wiele lepszym.

— Będę tem uszczęśliwiona.

I mówiąc to, pobiegła ku młodzieńcowi i z uczuciem braterskiej miłości podała mu rękę.

Przyjął ją nieśmiało Aureliusz, i cofnął rękę swoją szybko, bo jej dotknięcie przejęło go i wstrząsnęło. Pożalował tego wkrótce, bo opuścił starego wuja i pobiegł za Zuzanną, która oddaliła się szybko ku ciotce i Artemii.

Artemia była dziewczęciem o okrągłej, rumianej twarzy i jasnych włosach. Przypominała pochodzenie ojca, miała nawet jego niebieskie oczy, lecz w nich wyraz pełen słodczy odbijał pewnym odcieniem smutku. Na jasnym i niewinnym obliczu dziewczęcia, malowała się już chrześcijańska pokora i współczucie dla niedoli. Niewinne jej i czyste serce kochało Chrystusa i jego apostołów. Dni jej wypełniała modlitwa.

Zaledwie dziewice zamieniły z sobą słów parę, już się odgadły i oceniły wzajemnie. Artemia korzyła się przed umysłową wyżyną Zuzanny, a ta znów przytuliła do siebie ciepłe serduszko swej siostry.

— Bywaj tu częściej, Aureliuszu — rzekła Artemia do brata — a poznasz niejedno, co ci korzyść w życiu przyniesie. Zuzanna to zdroj mądrości i cnoty.

— I obraz boskiej piękności, dodaj Artemio — odrzekł z zapalem Aureliusz.

Ten wykrzyk milczącego i poważnego dotąd młodzieńca, zadziwił kobiety.

Matka spojrzała uważnie na syna i uśmiechnęła się z dobrocią.

— To głos nie kłamany, Zuzanno. Jeżeli surowego Aureliusza twój widok natchnął takim zapalem, możesz być dumną z siebie.

— I znowu duma cel naszej rozmowy, a jabym tak pragnęła o niej zapomnieć — rzekła Zuzanna.

I jak gdyby na poparcie swych słów, zbliżyła się do kobiety z małym chłopcem, która przytulona przy jednym z filarów w *peristilium*, oczekiwała skromnie, nie śmiejąc się doń przybliżyć.

— To ty, Zofio biedna! Jakże się miewa twój mały Paulus? Darujcie, że na chwilkę zajmę się tą nieszczęśliwą — i poprowadziła ją do swej komnaty.

Aureliusz zmarszczył brwi, jednakże powściągnął się natychmiast, nie chcąc wobec matki sarkastycznie wyrażać się o obyczajach chrześcijan. Patrzył tylko niecierpliwie, czy rychło podniesie się zasłona, po za którą znikła Zuzanna.

Tymczasem nadbiegł Markus, a za nim tuż służba z wetami i owocami.

— Gdzież Zuzanna? Pewnie która z żebraczek zdołała się aż tu wcisnąć.

— Możeszże ją zato łajać, Markusie? — rzekła z wyrzutem Serena.

— Ależ bo temu miary niema. Niechby dziś przynajmniej mój dom był wolny od tych natrętów.

— Czyż niedoła ma czekać na stosowną chwilę w twoim domu, mój wuju?

— Oh, jak widzę Artemio, potrafiła cię szybko zjednać dla swoich żebraków.

— O tak mój wuju, dorównać choć w części jej chrześcijańskim cnotom, będzie celem mojego życia.

— Ależ i ja nim jestem, moje dziecko, a mimo to, nie przestaję być starym Rzymianinem. Czyż to nie można pogodzić jedno z drugim? Nie trzeba zanadto szafować miłosierdziem, bo się wkońcu wyczerpie. Wszak prawda, Aureliusz?

— Zgodziłbym się chętnie na twoje zdanie wuju, ale jeżeli przez to mam popaść w niełaskę Zuzanny, to wolę stać po jej stronie, tłómacząc sobie jej dobroć tkliwością serca, która tyle jej wdzięku dodaje.

— Dobrym jesteś, chłopcze!

Zuzanna powróciła ucieszona i promieniejąca jak jutrzienka. Zdawało się, że w tej krótkiej chwili dokonała czegoś takiego, co jej serce przepełniło radością. Chwila ta może starczyła za dzień cały, przebyty bez najmniejszej korzyści. Ze zdwojoną troskliwością zajęła się teraz gośćmi, którym było znów tak dobrze, że ani się spostrzegli, gdy słońce zniżyło się ku zachodowi, i trzeba było pomyśleć o powrocie. Matka i córka wracały przygnębione myślą, że dotąd nie były chrześcijankami w czynach. Syn zaś poniósł w sercu cios od kupidynowej strzały.

## XIX.

### Jowisz pracuje.

Na Palatynie w wielkiej sali bibliotecznej siedzi przy stole dwóch ludzi, zajętych żywą rozmową. Jeden z nich, wyższy i okazalszy, zdaje się słuchać chciwie i uważnie, co mówi jego towarzysz. Rzuci niekiedy słowo zdziwienia lub zaprzeczenia, ilustrując je żywym gestem, niekiedy zerwie się z siedzenia; podczas gdy drugi mniejszy, mówi spokojnie, ale stanowczo.



— Precz z przeszłością! Niema już dawnego Rzymu. Gdybym mógł, poodwracałbym wszystkie kamienie na drugą stronę, aby nie dawały świadectw czasu przeszłego, a ty mi przywracać chcesz dawne obyczaje.

— Wierzaj mi, nie można ich deptać bezkarnie, bo wówczas...

— Zdepczę je, przerwał mniejszy towarzysz z mocą, jakem już zdeptał tyle. Niech w blasku naszych koron ten motłoch czerpie otuchę do nowego życia. Przez nas i dla nas on tylko istnieje. Niech zbliżenie się do naszej osoby będzie najwyższą nagrodą, do jakiej tylko człowiek dostąpić może. Niech odtąd każdy taki będzie uszlachetniony, niech mu zazdroszczą wszyscy i uczczą w nim naszą najwyższą łaskę. Nie wolno do nas zbliżać się nikomu inaczej jak — na kolanach. Nie wolno przemówić bezpośrednio. Nie wolno śmiałego spojrzenia rzucić. Dlatego na przyszłość nie waź się przedsiębrać żadnych publicznych obrzędów, w którychby osoba twoja zmaleć mogła. Żadnych igrzysk ani przemówień do ludu. Wszyscy nasi poprzednicy to — niewolnicy motłochu — my będziemy władzami. Lucyusz wręczy ci cały plan urzędnictwa dworu i ceremoniału, jaki przepisałem. Zastosuj się doń co do litery.

— Znam go! Czy nie będzie on niewolą większą jeszcze?

— Niewola dla tych, którzy czołgać się będą przed nami. Lecz dosyć! To się już stało i dysputować więcej o tem nie będziemy. Wezwałem cię tu głównie dlatego, aby obwieścić ci rzecz, która znów zdziwieniem świat cały przejmie. Nazwą ją dziką i bezpodstawną, jak nazwali pierwszą, kiedym się z tobą władzą podzielili. Jednak w niej tylko widzę przyszłą potęgę imperium.

— Chcesz ogłosić jeszcze jednego cezara? — spytał Maksyminijan, zrywając się i patrząc bystro w oczy Dyoklecjanowi.

— Dwóch jeszcze.

— Czemu nie sześciu albo dziesięciu? Na Herkulesa! nie chcę znajdować się w rządzie twoich malowanych cesarów.

— Tyś był nim dotąd — odrzekł spokojnie Dyoklecjan — boś się zdradzał ze swoją niemocą, ale nim nie będziesz, jak nie będziemy wszyscy czterech, gdy moje plany w czyn wprowadzić zechcesz. A że tak będzie, o tem nie wątpię. Posłuchaj mnie! Maksyminianie. Jesteś dobrym żołnierzem, ale miernym statystą. Będziesz też strzegł wiernie twych granic, podczas gdy drudzy za ciebie rządzić będą. Jednak i te granice są za wielkie, ażebyś podołał utrzymać ich całość, bo gdy się wybierzesz na poskromienie Franków i Brytanów, to w Italii, Afryce i na wyspach bunt się podniesie. Zostaniesz więc przy Italii i Afryce, drugi weźmie Galię, Hiszpanię, Maurytanię i Brytanię.

— Ja mam stracić Galię i Hiszpanię? nigdy! — przerwał wściekle olbrzym i uderzył pięścią w marmurowy stół tak, że rozpekł na dwoje.

— Bądź łaskaw wysłuchać mnie cierpliwie, potem popuścisz wodze twojemu gniewowi... Mówiłem więc, że drugi weźmie Hiszpanię, Galię i Brytanię. Trzeci zaś otrzyma Trację i prowincje Dunajskie — a ja zostanę przy wschodzie.

— Przedziwnie, i któż są ci dwaj cesarowie?

— Dotąd nasi wierni słudzy i przyjaciele.

— Nie wątpię — odrzekł ironicznie.

— A w przyszłości nasi powinowaci, związani węzłami krwi.

— Wybornie.

— Są to Galeryusz i Konstancyusz Chlorus.

— Galer cezarem?! — zaśmiał się ironicznie na całe gardło Maksyminijan. — Galer płatnerz, gbur nieokrzesany. Niezawodnie chcesz mieć w nim zarazem ro-

botnika. Chcesz, by na kowadle klepał zbroje, ostrzył miecze.

— Przypomnij sobie, czem ty byłeś Maksyminianie? Czyż nie zaszczytniej zawdzięczać wszystko samemu sobie? Galer tak dobry żołnierz jak i ty. A Konstancyuszowi cóż zarzucić możesz?

— Ależ nic, nic. To wielka głowa! Galer! Konstancyusz! Wielcy cesarowie, tylko ja jestem mały i nieznaczący, dlatego usunę się z tak potężnego grona.

Dyoklecyan zamilkł, patrząc zamyślony przed siebie, podczas gdy Maksyminijan przechadzał się wzburzony.

Wreszcie zniecierpliwiony przystanął przed Dyoklecyanem i rzekł krótko:

— Żegnam cię.

— Bądź zdrow Waleryanie, a namyślaj się prędko, bo jutro chcę ogłosić tetrarchię.

— Jużem się namyślił.

I zabierał się do odejścia.

— Ale czy wynalazłeś męża dla twojej Teodory?

— Wynalazłem.

— Szkoda, bo chciałem ją mieć żoną jednego z przyszłych cesarów.

Maksyminijan zawrócił się.

— Za Galera wydać byś ją pragnął?

— Nie. Galerius poślubi moją córkę Artemię, twoją zaś Teodorę chciałem dać Konstancyuszowi.

— A cóż zrobi z Heleną?

— Rozwiedzie się. Ale niema o czem mówić, skoro już przeznaczyłeś dla niej męża.

— Przeznaczyłem, ale nie dałem jeszcze.

— Więc zgadzasz się na połączenie Teodory z Konstancyuszem?

— Zgadzam się i teraz dopiero rozumiem twój plan wspianiały. Przebacz mi! Ale czemuż mi tego odrazu nie wyłożył.

— Bo nie mogę jednocześnie wyklądać i trzymać na wodzy twego gorącego temperamentu. Czekałem aż ochłoniesz.

— Jesteś wielkim, Kajusie. Pójdę zwiastować Teodorze twoją wolę.

Dyoklecyan popatrzał z pogardą za odchodzącym.

— Zlepek krwi i błota, rzucił przez zęby i zabrał się do pracy.

A praca ta była nie lada. Cezar - Jowisz krajał na części świat i wyznaczał urzędników dla każdej prowincyi. Po dziś dzień mapa sporządzona przez niego wzbudza podziw, i po dziś dzień zdumiewać się można nad jego świetną organizacją. Uchyliła się zlekka kotara i wszedł Taurus.

— Człowiek któregoś wezwał, Kajusie, czeka na twoje usługi.

— Wymień mi go Taurusie — rzekł cesar — nie odwracając oczu od pracy.

— Apolinaris.

— Wprowadź.

Stary histryon wszedł poważnie do sali i rzekł dźwięcznym głosem:

— Pozdrawiam cię, cesarze.

— Witaj mi, Apolinarisie. Mój sługa powiedział ci warunek, pod jakim się tu znajdujesz?

— Tak. Mam zachować o tem wszystkim milczenie. Co mi rozkażesz cesarze.

— Jesteś mistrzem wielkim w twojej sztuce. Pamiętam grę twoją, pamiętam siłę gestu, którą zawsze podziwiałem u ciebie. Czy ty możesz tego nauczyć?

— Mogę.

— Ale tu nie będziesz miał do czynienia z młodzieńcem. Przyjdzie ci uczyć człowieka dojrzałego, przyzwyczajonego do pewnych już ruchów, które zdradzają wiek jego i właściwości jego charakteru. Czy będziesz

umiał je ująć w karby, a przytem uszlachetnić wszystkie te poruszenia?

— To będzie zależeć od pojętności i dobrej woli mego ucznia.

— Mam nadzieję, że tych obydwóch przymiotów mu nie zabraknie, a na dowód możesz w tej chwili rozpocząć twoją pierwszą lekcję.

— Ty masz być moim uczniem, cesarze?

— To cię dziwi?

— Nie, to mnie raduje, bo widzę, że wysoko pojmujesz swoje posłannictwo.

— Odgadłeś.

I tu zbliżył się do starego historyona, kładąc mu rękę na piersi.

— Takiego ruchu nie rób nigdy cesarze, bo jest brzydki, spiczasty. Położywszy mi rękę na piersi, musiałeś ją zgiać i pokazać mi płaską dłoń swoją z rozszerzonymi palcami. Byłoby właściwiej, gdybyś był położył ją na mojem ramieniu. Ruch byłby okrągły a dłoń ułożyłaby się kształtniej.

— Będę pamiętał.

I tu począł szczytać krótkie swoje wąsy, co było jego zwyczajem w chwili namysłu.

— Tego ruchu zupełnie zaniechać musisz. Znam go już dawno i raził mnie zawsze gminnością. Trajan miał zwyczaj w takich razach wyciągać przed siebie prawą rękę, lubo nie zbyt wysoko ani za nisko, i nie sztywnie ale okrągło, i dotykać z kolei wszystkimi palcami wielkiego palca. Nadawało to jego namysłowi wielkiej powagi. Tak, bardzo dobrze. Racz przejść parę kroków. Dziękuję. Długa powłoczysta szata przystoi ci, cesarze. Niech tylko końce stóp dają się widzieć. Twoje krótkie ręce niech się zawsze chowają w fałdach. Racz wyciągnąć twoje ramię na całą długość. Tak. Żeby je przedłużyć i nadać więcej powagi, raczysz się obrócić do

mówiącego profilem, przez co i twarz zyska na wyrazie. W ten sposób...

I tu zrobił gest, którego mu i sam Aleksander pozazdrościł.

— Dobrze, stary mistrzu, pojmuję cię i dziękuję.

— Czy nie chciałbyś się pozbyć twego cudzoziemskiego akcentu, cesarze?

— Nie, mój Apolinarisie, już jestem za stary na to, a potem zabrałoby to mi wiele czasu i nie przyniosło korzyści, bo ja nigdy przemawiać publicznie nie będę.

— Tak sądzisz, cesarze?

— Będą mówić za mnie moi słudzy.

— Czyż jestże to, to samo?

Szkoda, że Dyoklecyan nie znał jeszcze przysłowia Tayleranda, byłby je pewnie Apolinarisowi przytoczył, powiedział mu tylko.

— To... więcej.

Stary historyon pamiętał już tylko czasy upadku rzymskiej wymowy, ale znał ją z tradycyi żywej swego ojca i dziada, zdziwiły go więc nie mało słowa Dyoklecjana i daremnie się silił, aby je zrozumieć.

Tymczasem cesar powtórzył jeszcze przed historyonem wszystkie wskazane ruchy, z czego mistrz był bardzo zadowolony. Położył dłoń na jego ramieniu wedle reguły, odprawił do następnej lekcji, i zajął się gorliwie krajaniem świata na części.

## XX.

### Mały Festus.

Stary Apolinaris znał się na ludziach, badał nieraz ich ukryte sprężyny i wyprowadzał trafne wnioski.

Zastanowił go głęboko cesar-reformator o gminnych ruchach, zdradzających jego pochodzenie, i o gmin-

niejszym jeszcze akcencie, a mimo to znający tak doskonale swoje niedostatki i przenikający głęboko rządzenia sztukę. Jakże nędznym mu się wydał kolega jego Maksyminijan, lubiący właśnie popisywać się z tem wszystkim, czego mu brakowało. Wieleż to razy śmiał się z jego nędznej wymowy i gestów tragarza.

Pochlebiało to niezmiernie histryonowi, że taki człowiek oddał mu się w naukę. Był dumnym jak syn i spadkobierca cywilizacyi, swoją przewagą nad barbarzyńcą. Postanowił też sobie z całą gorliwością pracować nad ukształceniem tego niefortunnego ciała, które przecie takiego ducha kryje.

Ułożył sobie cały plan nauki, i ożywiony niezmiernie tem tak nowem dla niego zajęciem, ani się spostrzegł, gdy się znalazł u drzwi swojego domu.

Tu się zatrzymał, bo ujrzał w ulicy jakiś ruch niezwykły.

Wszyscy zdawali się pędzić w jedną stronę ku Lukullusowym ogrodom.

— Co się takiego stało? — spytał opasłego rzeźnika, który zdawszy parę wołów na opiekę wyrostka, obłany potem, dążył wraz z innymi.

— Co się stało? A gdzieżeś był, że nie wiesz? Zenobia umarła.

— Zenobia? — powtórzył Apolinaris.

— Zenobia! Zenobia! Może i o niej nie słyszałeś nigdy. I taki człowiek śmie mnie zatrzymywać.

— Zenobia umarła — szeptał Apolinaris, spoglądając wciąż po tłumach spieszących do jej pałacu.

Śmierć ma ten dobroczynny przywilej, że łagodzi i zaciera zdrożności ludzkie. Dziwnem Opatrzności zrządzeniem, spada ona na człowieka złego i przewrotnego już wtenczas, gdy grzeszyć nie może, jak gdyby mu przed wiekiustą drogą zostawiła pewien czas na rozpamiętywanie, a ludziom pozwoliła zapomnieć o jego czy-

nach. Ale gdy przychodzi nagle, w chwili, gdy ludzie oburzeni miotają przekleństwa, wydaje się ona im nie-naturalną, jak gdyby parodią śmierci. Mściwa Nemesis pozwala sobie czasem na takie figle.

Takie myśli dzielił Rzym cały, gdy się o śmierci Zenobii dowiedział. Uznał ją — nienaturalną.

— Jakto, ta hetera przewrotna, okrutna, złośliwa, co wczoraj jeszcze wyzuła z własności i wolności trzech swoich dłużników, i naigrawała się jękami ich żon i dzieci, a potem kazała ukrzyżować niewolnika, że jej stłukł szklany kubek? Wszakże jeszcze dziś rano widziano ją w jej lektyce przelatującą miasto. To nie-podobna!

Każdy spieszył do jej domu, aby się na własne oczy przekonać.

— Cóż się stanie z jej, tak wielkim, majątkiem? Komu go zapisała.

— Nikomu. Cezar wszystko zabierze.

— Otruli ją.

— Cyt! powiadają, że przy śniadaniu wypita za-trute wino.

— Zares bywał u niej codziennym gościem.

— Zares? Zawszem podejrywał tego libijczyka.

Apolinaris słuchał tych rozmów prowadzonych pół-głosem z ust swoich znajomych, nareszcie machnął obojętnie rękami, jak gdyby strzepywał z siebie te naleciałości wszystkie, które go zatrzymały u progu domostwa. Wszedł doń wreszcie, aby się oddać spoczynkowi, ale i tu czekała go niespodzianka. Znać już dzień dzisiejszy był na nie przeznaczony.

W atrium spotkał się ze sługą, który mu oświadczył, że dostojny gość nań oczekuje. Był to Zares.

— Przysłany jestem od cezara do ciebie, Apolinarisie.

— Wszak ich mamy obecnie dwóch.

— Jam sługą Maksyminjana, i on mnie do ciebie przysłał.

— Racz mi objawić jego wolę.

— Życzeniem cezara jest, abyś jutro na pogrzebie Zenobii wygłosił mowę pochwalną.

— Ja? Czyżem ja jej krewny albo spadkobierca?

— Liczyła cię zawsze do swoich najlepszych przyjaciół i klientów.

— Takich przyjaciół i klientów miała Zenobia tyśiące w Rzymie.

— Ale żaden nie włada tak wybornie sercami ludzi, jak ty Apolinarisie. Ty swoją wymową szczytną powinieś obudzić współczucie dla niej.

Starzec patrzył w bezczelną, ciemną twarz afrykańczyka, i miał ochotę w nią pluć, powstrzymał się jednak, rzekł tylko stłumionym od gniewu głosem.

— Racz oświadczyć Zaresie, boskiemu cesarowi, że zadość jego rozkazowi uczynić nie mogę. Jestem już stary i chorowity. Głosu mi na codzienną potrzebę nie staje, a nie dopieroż na mowę, którą tysiące uszu ma słuchać.

— Zważ Apolinarisie, że odmowa twoja go rozgniewa.

— To nie odmowa, ale prośba o zwolnienie od obowiązku przechodzącego moje siły.

— To twoje ostatnie słowo?

— Najostateczniejsze.

I gestem wskazał mu drzwi.

— Gorzko żałować tego będziesz — rzekł libijczyk, błyskając wściekle białkami swoich oczu i wychodząc z komnaty.

— Przepadnijcie! — rzucił za nim starzec półszepem i padł na krzesło przygnębiony.

— Mordercy ladacznicy chcą, żebym uprawnił ich zbrodnię w oczach tłumu. Taka zniewaga miała mnie

spotkać przy końcu mego życia. Oh wy histryoni na scenie świata! Czemużecie, o bogowie, nie dali mi talentu Juwenala, a choćby Lucyana, zostawiłbym po sobie pamiątkę. Gińcie moje myśli wraz ze mną. Dostyc też mam już tego zgniłego świata.

Smutne myśli starca przerwało wejście Genezjusza, prowadzącego za rękę małego Festusa.

Histryon był bardzo blady i osłabiony, opierał się na lasce bambusowej. W bladej jego twarzy świeciły ciemne oczy jakimś wewnętrznym ogniem.

— Nie mogliśmy doczekać dziś ciebie, Apolinarisie. Czy ci się nie przytrafiło co złego — spytał Genezjusz?

— Nic. Zwyczajna komedia ludzka. Ale dlaczegoś się podniósł i przeszedłeś taką dużą przestrzeń. Zaszko dzisz sobie.

— Nic mi nie będzie. Jednak musiało cię coś dotknąć, mistrzu. Wyglądasz znękany. Mój Festus jest jasnowidzący. To dziecko prawdziwie posiada dziwną siłę przeczucia. Opowiedz Festusie co się przytrafiło Apolinarisowi.

— Był zły człowiek, który chciał zmusić Apolinarisa, do jakiegoś występu — odrzekł Festus, zapatrzony w jakąś próżnię przed siebie. — Apolinaris mu odmówił i wyrzucił go z domu, a on mu za to przysięgł zemstę. Oh, to bardzo zły człowiek. On dotrzyma, co przyrzekł. Dziadku Apolinarisie, strzeż się tego jadowego gadu.

Starzec osłupiał.

— Gdzież on widział tego człowieka?

— On go nie widział — odparł Genezjusz — wszakżeśmy cały dzień siedzieli w naszej izbie, tam na drugim końcu twojej insuli, obok pokoju Eponiny.

— Ależ to niesłychane — mówił zdumiony Apolinaris. — I tyś widział tego człowieka Festusie? Gdzieś go widział?

— Tu! — rzekło dziecko, pokazując na głowę?

— Opisz mi go, Festusie.

Chłopiec znowu wpatrzył się w próżnię, źrenice mu zaszyły mgłą, począł mówić powoli:

— Ten człowiek jest ciemny jak szatan, który kuśił Chrystusa. Jest z nim drugi, większy od niego, równie zły jak tamten. Mówią teraz o tobie dziadku Apolinarisie.

— Co mówią?

— Aby... z tobą... tak... postąpić... jak z Zenobią.

To mówiąc, dziecko jak gdyby wyczerpane, padło w objęcia starca, który patrzył weń jak w nadziemskie zjawisko, rozwarłszy ramiona.

— Co to jest, Genezjuszu? Co to jest? Jakaż siła nadprzyrodzona działa w tem dziecku?

— To duch! duch potężny Apolinarisie, przed którym w prochu korzyć się trzeba. Lecz co znaczy tu wymówione przez niego imię Zenobii?

— Opowiem ci. Niech wprzód przyjdzie do równowagi moja głowa. Patrz! to dziecię, zdaje się uspięone głęboko.

— Tak jak gdyby go to wyczerpało, zasnął. Opowiadał mi, że wszystko co widzi, widzi przez matkę swoją, że ona mu zsyła te sny i widzenia.

— Oh niepojęte, wielkie dzieło Boga, stwórcy, szeptął skruszony starzec. Słuchaj! Gdym wrócił do domu, spostrzegłem na ulicach dziwny ruch jakiś. Ludzie biegli zaciekawieni ku ogrodom Lukullusa.

— Gdzie mieszka Zenobia?

— Właśnie. Pytam co się stało? Zenobia umarła.

— Umarła?

— Wszyscy odrazu uznali tę śmierć jako nienaturalną. Szeptano skrycie, że ją otruił Zares, aby zagarnąć dla Maksyminijana jej majątek.

— Zares! tak, tak, to on! Widziałem nieraz ich skryte szept z Rufusem.

— Słuchajże. Ta pogłoska obila mi się o uszy, jak zwykle takie pogłoski. Nareszcie, znudzony tem wszystkim, wchodzę do domu i tu zastaję... Zaresa. Przyszedł mi oznajmić wolę cezara, abym miał mowę pogrzebową na cześć hetery. Oburzony, wskazałem mu drzwi. Wyszedł wściekły.

— To wszystko widział Festus.

— Tak, ależ on widział i to, czego myśmy nie widzieli, i słyszał to, co potwierdza pogłoski ludu.

— Mają tak z tobą postąpić jak z Zenobią?

— Struć mnie i zagrabić mój majątek. O ty niebiańskie dziecię, wskazałeś mi drogę, którą już dawno iść był powinien.

— Co chcesz uczynić Apolinarisie?

— Naprzód poniosę to ukochane chłopię do jego łóżeczka, a potem ci powiem.

Gdy się znaleźli razem w gabinecie mistrza, Apolinaris rozpoczął:

— Słuchaj. Jestem stary i mógłbym to nędzne życie skończyć tak, jak skończyło tylu innych, lepszych odemnie, otworzyć sobie żyły i koniec. Mógłbym także udać się pod opiekę Dyoklecjana, który mnie zaszczyca swoją łaską, ale pytanie, czyby koledze chciał się w tem sprzeciwiać, i czy mnieby nie poświęcił, aby go nie rozgniewać. Odrzucam więc te dwie alternatywy, i biorę trzecią. Ten świat chrześcijański pragnę poznać. Pragnę upaść przed tym Bogiem wielkim i niepojętym. Tobie oddaję moje mienie, a sam idę się zagłębić w ich arenaria, i tam pożyć jeszcze dla światła i prawdy.

— Drogi mój mistrzu! Żleś jednak wybrał przyszłego dziedzica twoich posiadłości, ja nim być nie mogę, bo sam nie wiem, jaki koniec mnie czeka.

— Co mówisz?... ty?...

— Powiadam ci, że nie wiem mój mistrzu. A na teraz więcej powiedzieć nie mogę.

I tu oczy jego błysnęły gorączkowym światłem.

— Dobrze więc. Sprzedam to wszystko i rozdám biednym.

— I dobrze uczynisz... ale otóż i mój ojciec nadchodzi jak gdyby wołany.

Klodyon zatrzymał się u wejścia.

— Przybył wam nowy brat w Chrystusie — rzekł histryon.

— Apolinaris! Jakżem ja cię czekał z upragnieniem. Starcy rzucili się w objęcia.

Genezjusz pozostał w krześle, wpatrzony w dal jakąś wielką, nieskończoną.

## XXI.

### Tetrarchowie.

Jednocześnie z otwarciem nowych termów, dowiedział się Rzym, że ma czterech imperatorów.

Wiadomość ta jak w ulu zakręciła w mrowisku ludzkim. Miała ona donioślejsze znaczenie, niżby z pozorów zdawać się mogło. Przybywały cesarstwu dwa nowe dwory, a stąd i zapotrzebowanie nowych ludzi, dworzan, urzędników, pokojowców, niewolników i wszelkiej służby w myśl głównego twórcy, którego system słuźstwa miał odrodzić zgrzybiałe imperium.

Galer urządził dwór w Tracji, Konstancyusz zaś w Galii. Powstały zabiegi, ambicje. Każdy chciał się wygrzewać w promieniu nowego słońca. Dwóch mało znanych dotąd wodzów Dyoklecyana, przybyłych z nim do Rzymu w orszaku tryumfalnym, wszechmocną jego wolą zostało cezarami.

Jeszcze dobrze nie przypatrzono się pierwszemu, Maksyminjanowi, a tu jeszcze dwóch nowych przybywa światu. Bitemi traktami i gościńcami pędzili gońce na

wszystkie strony, aby ponieść tę wieść konsulom, prefektom i wszelkiego rodzaju urzędnikom państwa.

Nowość ta, może nie takiej siły, ale równej w skutkach doniosłości, podobną była do napoleońskich przewrotów. Na karkach barbarzyńskich ludów, zdala od centralistycznego Rzymu, siedzieli teraz cesarowie, działający w imię całości i niepodzielności jednego imperium. Związani ze sobą ściśle, dążący do jednego celu, podniesienia władzy cesarskiej.

Przypatrzmy im się. Gości ich u siebie Maksyminjan. Oto w jednej z sal laterańskiego pałacu, przechadza się ich trzech, oczekując na czwartego, najpotężniejszego — Jowisza. Poprzedniego dnia zgromadzili się na Palatynie, i tu odbyli inauguracyą, dziś zapowiedział im Dyoklecyan naradę w Lateranie u Maksyminijana.

Jowisz każe czekać na siebie. Zapoznamy się tymczasem z dwoma nowicyuszami. Kajus Galeriusz, zwany pogardliwie Galerem, były płatnerz, szczytający się jednak swoim dawnym rzemiosłem, bo zachował przydomek: Armentaryus. Jest to żołdak, gburowaty, przewyższający o wiele swego kolegę Maksyminijana. Słynie on z wielkiej odwagi. Dla swoich wojennych przymiotów ma niesłychany mir w wojsku, i temu to zawdzięcza koronę. Barczysty, średniego wzrostu, z głową nie dużą, ale z pewnym rodzajem zwierzęcości w ustach, o nosie spiczastym, lisim. Wielki wróg chrześcijan.

Drugi jego kolega stanowi przeciwieństwo, nie tylko w zestawieniu z nim, ale z wszystkimi trzema. Konstancyusz, Flawiusz, Eutropiusz, Waleriusz Chlorus, to prawdziwy typ łacińskiej rasy w szlachetnym jej i dodatniem znaczeniu. Z rysów przypomina Antoninów, dynastją charakterów uczciwych, którą się Rzym szczycił. Dzielny wódz, biegły rządca, uczciwy człowiek. Ma za żonę chrześcijankę Helenę, i sam skrycie hołduje nowej wierze. Mówi nie wiele, ale rozważnie i stanowczo. Po-

rusza się ciężko i leniwie, jest dobrej tuszy; mimo to potrafi błysnąć potęgą energii.

Przysłuchuje się rozmowie kolegów, i niekiedy pogardliwy uśmiech przemyka się po jego twarzy. Oto gburowaty Galer sili się na pochlebstwa dla swego kolegi Maksyminijana.

— Na Herkulesa, twego protoplastę, Maksyminianie, począłeś sobie mądrze i roztropnie. Znajdziesz we mnie gorliwego naśladowcę. Wiedzieć dokładnie, ilu mamy tych zdrajców, i trafić do ich nory, aby zdusić, gdy przyjdzie pora — to wspaniałe.

— Czekam też na tę porę. Jeszczem tej kwestyi Kajusowi nie przedłożył.

— Ależ to sprawa pałaca i dziś już przedłożyć mu ją należy. Jakie twoje zdanie Flawiuszu?

Chlorus popatrzał na mówiącego, potem odrzekł z flegmą.

— Mojem zdaniem, czeka nas ważniejsza praca.

— Cóż może być ważniejszego? Dopóki nie zdławimy wroga w domu, nie możemy spokojnie myśleć o tem, co po za domem nam grozi — rzucił gwałtownie Galer.

— Czyż oni są wrogami?

— Wrogami cesarstwa i społecznego porządku — rzekł Maksyminijan.

— Ludzie prości a prawi, brzydzący się krwi rozlewem i szanujący władzę, jakież dać mogą powód do zaburzeń porządku? — spytał Chlorus.

— Czarodziejskimi sztukami lud tumania — odparł Maksyminijan — bezczeszczą nasze bóstwa. Wreszcie swą pogardą dla dostatków, obniżają wszelką powagę. Wkońcu, jak może myśleć zgodnie z prawem człowiek, który wyznaje inną wiarę niż prawodawca?

— Mięszasz razem dwie rzeczy sprzeczne z sobą, Maksyminianie! Religia jest kwestyą sumienia, prawo

kwestyą porządku państwowego. Można wierzyć w co się komu podoba, a mimo to być dobrym obywatelem. Wszakże ty sam, Maksyminianie, przekładasz syryjskie nad italskie bóstwa. Galeriusz zaś jest pod tym względem zaciętym Rzymianinem. Co do mnie zaś, nie wierzę w żadne.

— Bronisz ich dla twojej żony, która jest chrześcijanką — rzekł Galer.

— Być może, bom przez żonę moją poznał niektóre przykazania ich proroka, a między innymi i takie: Oddaj to co jest boskiego Bogu, a co cesarskiego cesarzowi. A oni święcie spełniają te przykazania. Możemy więc pozostawać w spokoju.

Dalszą rozmowę cesarów przerwało wejście urzędnika pałacowego, który oznajmił przybycie największego.

Jowisz wszedł chmurny.

Powitał chłodno swych pomocników, szerokim gestem wskazał im miejsca przy stole i sam siadł, patrząc z kolei na wszystkich. Dłuższy czas zatrzymał swe spojrzenie na Maksyminianie, ale tak stanowcze i uparte, że ten zadrżał i spuścił swój wzrok w ziemię.

Jowisz po chwili rzekł:

— Największem nieszczęściem i największą hańbą dla władców po wszystkie czasy, byli ich pokątni doradcy i zausznicy. Połowa czynów haniebnych, występnych, spełnionych za ich podszeptem obciąża karty historii i plami wiekuistym wstydem tych wszystkich, co byli tyle słabi, że ulegli ich niskim namowom. Nie ganię czynów śmiałych, doraźnych, spełnionych jawnie, w imię bezpieczeństwa i porządku, choćby one były najokrutniejszymi, ale gardzę i potępiam wszelkie skrytobójstwa w jakimkolwiek celu spełnione, bo one się równają czynom każdego rzezimieszka, ukrytego za krzakiem na gościńcu. Takie czyny uprawniają wkońcu



wszelkie spiski i zamachy, bo władca, który nie lęka się najemnego bandyty użyć do swoich niskich celów, tem samem ośmiela podobnych bandytów do targnięcia się na jego życie.

Tu spojrział groźnie po trzech swoich towarzyszach, z których dwóch poglądało po sobie pytająco, trzeci zaś pozostał w postawie zakłopotanej, nadrabiając czelnością.

— Mówię to dla przestrogi — kończył Dyoklecjan. — Historia ma być mistrzynią życia, plecie ten głupi Sallustyusz, a jednakże niczego dotąd nie nauczyła, bo człowiek to tylko uznaje za prawdę, co sam doświadczeniem zmierzył. Pamiętajcie więc o mojej przestrodze. Czyny nasze mają być jawne i jasne, jak to słońce, w którego blasku świecić będziemy. A teraz do spraw bieżących.

Tu się zwrócił do Chlorusa.

— Do ciebie, Flawiuszu, zwracam się najpierw, jako do najmłodszego z nas wszystkich. Oto listy Quintilliana. W Brytanii lada chwila nastąpi wybuch. Przewrotny Alektus gromadzi coraz więcej stronników. Ten Alektus, obsypany przezemnie dobrodziejstwem, marzy o wydarciu mi Brytanii.

Chlorus przeglądał w milczeniu listy, które mu podał Dyoklecjan.

— Ten Quintillian widocznie poznałomiony z biegiem rzeczy, daje informacje bardzo szczegółowe.

— Człowiek wierny i sprawny — polecam ci go.

— Nie zapomnę.

Jowisz zwrócił się do Galera.

— To dla ciebie, Kajusie. Nad Dunajem dotąd spokojnie, ale jest to cisza złowroga. Gepidowie z Wizygotami podali sobie ręce. Trzeba ich pokłócić wprzódy. Daję ci człowieka, który zna ich mowę i obyczaje. Tu masz informację jak postępować trzeba, drugą taką ma Aureliusz Borreanus. Człowiek zdolny, polegaj na nim.

— Niech ich pokłóci jak najprędzej, abym mógł spaść na ich barki, ryknął Galer.

— Tobie Waleryuszu — rzekł Jowisz, obracając się do Maksyminijana z odcieniem ironii w głosie — pozostaje czuwać nad Julianem, który, jak mi donoszą, zebrał w Numidyi wojsko i pokusi się o wtargnięcie do Sycylii, a potem gotów i dalej powędrować, jeżeli zajęty *silnie sprawami wewnętrznymi*, dodał z przyciskiem, nie pospieszysz go przywitać na granicy Afryki.

Maksyminijan milczał.

— Sobie zostawiłem Persów i Achileusza — mówił dalej Dyoklecjan. — Powiecie, że to lwia część wspólnej pracy, ale w nagrodę moich trudów, zdaje się, że mi się słusznie należy.

Jednogłośnie przyznanie wszystkich trzech Augustów, było odpowiedzią na te słowa.

— Zanim nie zbierzemy wojsk i nie urządzimy należycie naszych dworów i całej machiny rządzącej — mówił dalej Dyoklecjan — nie wyruszemy z Rzymu. Potrwa to z miesiąc, tymczasem bawić się będziemy. Czekają nas miłe zajęcia. Wszakże to hymen świecić będzie tyłu parom, bo oprócz ciebie, Flawiuszu — rzekł zwrócony do Chlorusa — i ciebie, Kajusie — do Galera — wyprawimy weselną ucztę mojemu synowi Aureliuszowi, którego amor na samym wstępie do Rzymu zranił w serce. Wyprawiam posłów do ojca dziewczicy.

— Któż ona? — spytał Maksyminijan.

— Córka Marka Gabiniusza.

— Chrześcijanka!

— I cóż stąd?

— Na Herkulesa! widać, żeś już dawno nie był w Rzymie.

— Dawno nie byłem, to prawda, ależ znam chrześcijan dobrze. W mojej Nikomedyi ich więcej niż w całym twoim Rzymie.

— Być może, ale tutaj ich główna jaskinia. Tu przebywa ich arcykapłan, który jest bratem twego Gabiniusza.

— Kajus, to człowiek uczciwy. Czy masz co przeciw niemu?

— Nienawidzę ich wszystkich i radbym wygubić.

— Tak, wierzaj mi Kajusie — dorzucił Galer — niebezpieczni to ludzie.

— W czym widzicie niebezpieczeństwo?

— W ich odrębności, wierze, która jest stekiem niegodziwości i bezprawia. Zobaczysz sztukę na teatrze, gdzie ich wystawia Genezjusz. Zobaczysz potem drugą, która się już przygotowuje na twoje przyjęcie w teatrze Marcellusa.

— Ha, zobaczę. Nie zwykłem sądzić o tem, czego nie poznam z gruntu. Jednakże, jeżeli myślisz, że ze sztuki histryona Genezjusza mam powziąć sąd o ludziach...

— Sztuki te są zwierciadłem ich życia i obyczajów, a te obyczaje sięją zgorszenie. Tworzą oni sektę, która urąga wszelkim urządzeniom państwowym, oni są rządem w rządzie.

— Zdziwiasz mnie Maksyminianie — rzekł Dyo-klecyan patrząc nań podejrzliwie. — A ty co mówisz, Flawiuszu?

— Zaczekam, aż ich poznasz dokładnie Kajusie — a wtenczas wypowiem ci me zdanie.

— Znam ich już lat tyle i nic zdrożnego nie widziałem. Ha, całe życie uczyć się trzeba!

Wtem dano znać głowom świata, że uczta na nich czeka w towarzystwie żon i córek.

Zawieszono sprawę państwa.

## XXII.

## Dom czarnoksiężników.

W ogrodzie Marka Gabiniusza, pod rozłożystymi platanami, które głęboki cień rozsuwają dokoła, stoją dwie jasne postacie dziewic. Oplotły się ramionami, tuląc wzajem do siebie. Jest to grupa godna Praksytelesa.

Jedna z nich, wyższa, o kształtach pięknej Dyany, z wyrazem, jakiego znów w posągach greckich daremnie szukalibyśmy, bo z wyrazem niezmiernej tkliwości i miłości chrześcijańskiej, pociesza przyjaciółkę, która, skulona na jej piersiach, płacze.

— Życie nasze, Artemijo, powinno być ofiarą. Nie płacz, dziecko drogie, nie złorzecz, bo może ciebie właśnie Opatrzność wybrała, abyś takiego męża nawróciła Chrystusowi.

— Ja, Zuzanno? Czym ja zdolna spełnić tak wielkie zadanie? Ja drzę i kruszę się na widok tej dzikiej i okrutnej postaci, pełnej pogańskich, ciemnych wierzeń. To wróg, wróg największy wiary naszej. Słyszałam jak wygłaszał o niej zdania, dreszcz budzące. I ja mam być żoną takiego człowieka? Oh, Zuzanno! walczyć i cierpieć jam nie zdolna, ja tylko umrzeć mogę. Gdyby nie bojaźń wiekuistych katuszy, rzuciłabym się w przepaść z najwyższej wieży, albo w nurtach Tybru grób znalazła.

— Biedne dziecko, takżeś małoduszna? I tyś niezdolna wzbudzić w sobie zwyczajnych cnót chrześcijańskich, któremi najprostszą, najbiedniejszą z nas szczyci się? Ty, córka i żona cezara, stojąca na takiej wyżynie, niezdolna dorównać w poświęceniu, w ofierze najniebezpieczniejszej z niewolnic? A skąd wiesz, że tam w tej mrocznej duszy twój męża, niema zakątka dla miłości i dla światła? Skąd wiesz, że ten dziki poganin, nie zbudzi się pod miękką dłonią poświęcenia i tkliwości nie-

wieściej, i nie zapragnie być dobrym? Skąd wiesz, że nie nadejdzie taka chwila, w której będziesz mogła rzucić ziarno Zbawiciela i zgotujesz, jeden z największych tryumfów dla naszej wiary?

— Oh, gdybym miała twoją siłę, Zuzanno!

— Ta siła płynie z miłości i zaparcia się. Tę siłę odnaleźć w sobie musisz, biedne dziecko i odnajdziesz ją. Biada wątpiącym w miłosierdzie Zbawiciela. Tyżbyś była tylko nieużytecznym chwastem w winnicy pańskiej? Nie, ty będziesz życiodajnym drzewem, z ciebie zrodzi się owoc na chwałę wiernych w Chrystusie. Oh Artemio! droga moja sestro! bądź mężną, bądź wytrwałą. Błogosławię cię na tę drogę poświęcenia i ofiary, błogosławię całą miłością, jaką mam dla ciebie. Przez krew świętą Zbawiciela i męczenników naszych, której tyle wypłynęło i jeszcze płynąć będzie, błogosławię cię, Artemio!

Dziewica przejęta świętym dreszczem zapału, co z piersi siostry się dobywał, wzruszona i drżąca zsunęła się pokornie do kolan kapłanki i całowała jej stopy, podczas gdy Zuzanna z wyciągniętymi dłońmi nad jej głową jaśniała potęgą niezemskiej piękności, podobna raczej do legendowej postaci jednej ze starożytnych sybil.

Taką ją widziało trzech ludzi, którzy od chwil kilku stali opodal niewidzialni, nie śmiejąc się zbliżyć i przerwać tej wzniosłej sceny.

Byli to: ojciec, stryj Zuzanny Kajus i nieznany mąż w stroju patrycyusza.

Markus pierwszy przerwał, zbliżając się do córki.

— Oto, Zuzanno, przezacny Klaudyusz Pomponatus, nasz powinowaty, staje on tu jako wysłannik Dyoklecjana i prosi o twą rękę dla Aureliusza.

— Tak Zuzanno, mnie to przypadł ten wielki zaszczyt, aby cię prosić o szczęście dla cesarowego syna.

Zuzanna patrzyła zdumiona i bez ruchu. Klaudyusz przybliżył się do niej i wziął ją za rękę.

— Pozwól, boska piękności, że złożę pocałunek na twojem czole.

Zuzanna go odsunęła.

— Nigdy usta bezbożne nie dotkną mego czoła — rzekła. — I pociście przywieźli tego człowieka? Ojcze! Stryju! Nie wiecież, żem poślubiona Chrystusowi? Nie wiecież, że niczyją żoną być nie mogę?

— Dziewczyno, szalejesz! — rzekł Markus — cesarz chce się skojarzyć z nami ściślejszymi węzły, a ty śmiesz odrzucać jego prośbę?

— Cezar morderca, który nie dawniej jak przed paru dniami kazał zamordować krewnego naszego Ottona! I do mnie, do chrześcijanki wyprawia poselstwo, abym moją rękę związała z dłońmi zboczonymi krwią niewinnych ofiar?

— Tak mu nakazywało bezpieczeństwo jego władzy — odpowiedział Klaudyusz.

— Mój władca każe kochać i przebaczać. Oh ojcie! nigdyż czysta prawda z słów Zbawiciela nie przeniknie do głębi twojej duszy? Czyż nie przestaniesz nigdy być chrześcijaninem z imienia tylko? Zaszczytów pragniesz i honorów, kiedy naszym posłannictwem ubóstwo? Zrzuc że raz te szaty pychy, co czynią serce twe twardzem, i tłumią miłość dla prawdy. Okuj ducha swego zbroją, któraby doń nie dopuszczała tyle ziemskiego błota. Czegóż się lękasz? Czegóż pragniesz od świata przy końcu ziemskiej pielgrzymki? Czyś zapomniął, że tam nas oczekuje żywot wiekuisty u tronu Zbawiciela, w gronie świętych aniołów. Życie! ależ ono tylko małą chwilką dla wędrowców jak my! Krótkim bólem, po którym długa wieczność w anielskiej panuje szczęśliwości. Przejdźmyż je godnie, abyśmy tam stanęli czysti. Oh ojcie! Z czem ty przyjdiesz do Zbawiciela, gdy cię powoła, a powołać może lada sekundę? Gdzie karta twoich czynów, coby zmały liczne grzechy? Idź Klaudyuszu i oświadczyć

jemu panu, że Zuzanna odrzuca rękę jego syna, gotowa ponieść życie, gdy sięgnie po nie jego władza.

Markus stał ze spuszczoną głową, nie śmiejąc przemówić słowa. Kajus z oczyma pełnymi łez, zwrócił się do Klaudyusza, który, również wzruszony, nie mogąc sobie dostatecznie zdać sprawy, patrzył z zachwytem w twarz Zuzanny i słuchał bacznie jej porywającej mowy.

— Słyszałeś, Klaudyuszu — rzekł Kajus. — I ja ci innej odpowiedzi dać nie mogę.

— Poniosę ją i niech z nią czyni co zechce. Ależ Zuzanno, nie odejdę bez przychylnego słowa. Odepchnęłaś mnie, gdy z pocałunkiem ojcowskim zbliżył się do ciebie, i słusznie, usta moje bezbożne całowały dotąd stopy naszych bóstw ciemnych i głupich, czy skłoniś mi twojego pięknego czoła, gdy stanę się podobnym tobie chrześcijaninem?

— O tak! i przycisnę cię do serca mego jak ojca, jak brata.

— A więc Kajusie, przyjm mnie do twojej drużyny. I niech ta czysta, ta święta dziewica będzie przewodniczką mojej żony, Prepedygni, i dwóch moich chłopiąt, Aleksandra i Kucyusza. Majątkiem moim podzielę się z biednymi. Oh Zuzanno! jeżeli życie nasze, jak powiadasz, jest tylko krótką wędrówką do światła i prawdy wiecznej, toć trzeba korzystać z każdej chwili, aby na nie zarobić! No, stary Markusie, przez usta twojej Zuzanny mówi Bóg wielki i potężny, którego ja, ciemny niedowiarek, przeczuwam za ledwie, ale się przed nim korzę. Czy mi poskąpisz dłoni, gdy w tak nowym charakterze przed tobą staję?

Starzec stał wciąż upokorzony, przybity i zawstydzony. Podbiegła ku niemu Zuzanna i z płaczem rzuciła mu się w objęcia.

— Oh, przebac mi, najdroższy, kochany ojcze! rzeczę naszą błędzić i grzeszyć, aleć nam dana łaska Boga,

że każdej chwili okupić je możemy. Patrz najdroższy ojcze! z tego ponurego poranku, jakie nam jasne błysło południe!

— Oh Zuzanno! O Kajusie — bąkał starzec — ja już do śmierci zostanę tak zepsutem dzieckiem. Przebaczcie mi.

Milcząca dotąd Artemia zbliżyła się do wuja Marka. Ona w jego zachowaniu się dostrzegła odbicie swego własnego stanu duszy. I choć cierpiała nad tem, że Zuzanna wzgardziła bratem, potępić jej za to nie mogła. I ona by uczyniła tak samo. I ona by się poświęciła cała służbie Chrystusa. Gdy jednak los skazał ją na ofiarę, poczuła się dumną w jej spełnieniu i przyrzekła gorliwie pracować nad nawróceniem swego przysłego męża.

Chrześcijanizm dziwne wytwarzał stosunki.

Na pozór zdaje się, że podkopywał rodzinę. Ileż to dramatów krwawych wytworzyły te kolizye! Dość przejrzyć martyrologium. Słowa Chrystusa: opuścisz braci, siostry, matkę, ojca, żonę, syny dla imienia mojego; oburzały faryzeuszów i wszystkie płytkie umysły, ale one były cementem dla wiary, bo właśnie dzięki tej miłości rodzinnej, gdy jedno z jej członków stawało się chrześcijaninem, stawała się i cała rodzina. Nie przychodziło to bez walki i starć, ale z nich właśnie rosła siła. Artemija umocniona na duszy, obiecywała sobie, że nie tylko męża, ale ojca swego i brata, nawróci Chrystusowi, czego nie mogła dokonać matka. Nie przeczuwała, że przyjdzie burza straszna, która zawichrzy światem chrześcijańskim, aby mu tem wspanialszy zgotować tryumf, a ona właśnie będzie jednym z tych kamieni, co stanowić będą fundament tego tryumfu. Uszczęśliwione całe to szlachetne grono dusz wybranych, miał poprowadzić Kajus do świątyni, gdy im zastąpiło drogę dwóch ludzi. Byli to Klodyon i Apolinaris. Wszyscy, prócz

Zuzanny i Artemii znali dobrze starego histryona i szanowali w nim prawość charakteru, ale wiedzieli o jego przywiązaniu do starego kultu i pogardzie, z jaką występował nieraz przeciwko chrześcijaństwu, zdziwili się więc mocno, gdy zobaczyli go z Klodyonem.

— Pozdrawiam was, Gabiniuszu. Raccie mi powiedzieć, która z tych dziewcząt jest Zuzanną? Ale na cóż się pytam? Czyż nie powinienem poznać odrazu po blasku, który bije z tego czoła, że ty nią jesteś? Jam to Apolinaris, z którym ci się nie udało sprzedaż niewolnicy. Nie podobały mi się wówczas twoje pieniądze, Zuzanno, ale twym czynem skrzesałaś iskrę w mem sercu, która rozgorzała płomieniem. I przychodzę do was, ja, stary, by razem z wami służyć prawdzie i uczcić Boga waszego. Czy mnie przyjmiecie w poczet sług swoich?

— Wiedziałam, że przyjdiesz do nas, Apolinarisie, i czekałam cię dawno — rzekła Zuzanna.

— Kto ci o tem powiedział, Zuzanno?

— Ona.

— Moja biedna Eponina!

— Nie biedna, dobry starcze, ale orędowniczka nasza. Ona tam modli się za nas w tej chwili przed tronem Boga, i ona to zgotowała dla nas ten dzień radostny, do tej uczty brak nam jeszcze kogoś, którego przybycie zapowiedziała. Czy nadejdzie on kiedykolwiek, Klodyonie?

— Bóg to wie! — odrzekł Klodyon. — Dzieje się coś z tym człowiekiem, czegom ja pojąć nie zdolny. Zamknięty z małym Festusem, rozmawia o jego matce i uczy się u dziecka, komentując z nim ewangelię. Możliwy się cieszyć z tego, gdybym właśnie nie widział, że wykończył już swoją sztukę i oddał ją do grania. Mają się jej przypatrywać czterej cesarowie.

— Nie obawiajcie się — rzekł Apolinaris. — Znam Genezjusza, siła tam uporu w raz obranej drodze wielka,

ale dusza w nim prawa i wcześniej czy później zapragnie się oczyścić u tego źródła, do którego ja podążył już u schyłku lat moich.

— Witam cię całym sercem, Apolinarisie — przemówił Kajus. — Będąc młodzieńcem, zachwyciałem się w twoich ustach Sofoklesem, Euripidesem i Seneką, zawdzięczam ci wiele chwil pięknych; teraz na mnie kolej zapoznać cię ze słowami najpotężniejszego, które są życiem i światłem i dobrem. Bądź pozdrowiony!

— Bądź pozdrowiony — rzekł z kolei Markus.

— I ja ściskam dłoń twoją Apolinarisie — mówił Klaudyusz. — I mnie dobry demon prowadził do tego domu czarnoksiężników, jak go tłum nazywa, z którego wychodzę innym.

Była też to najszcześniejsza chwila dla tego domu. Drugiej takiej już nie zaznały jego mury.

### XXIII.

### W a l k a.

Genezjusz był w stanie prawdziwego lunatyzmu. Zdało się, jakoby świat zewnętrzny dlań nie istniał, zajmował się nim o tyle tylko, o ile jego skromne potrzeby wymagały. Jakaś myśl wielka, idea szeroka objęła jego ducha niepodzielnie. Możliwy powiedzieć, że przyszedł nań okres wmyślenia się.

Czas tej choroby i rekonwalescencji przebywał w pracy ducha. Widziano go całymi godzinami leżącego spokojnie, lecz w twarzy odgadnąć było łatwo jakąś walkę wewnętrzną. A ta twarz histryona była tak wyrazistą i czułą na najmniejszy objaw wewnętrznego stanu duszy! Innym znów razem zrywał się i chodził długo po izbie, podpierając się laską. Potem zasiadał do czytania książek, których mu Antoniusz dostarczał.

Naprzemiań bywał smutny, lub zadowolony. Słyszano jak wygłaszał długie monologi, bo rozmowa z sobą samym, to jedna z właściwości histryonów. Przybiegał wtedy mały Festus, który gdzieś niedaleko się zabawiał, a zjawiał się, jak gdyby przeczuwał, że obecność jego staje się ojcu potrzebną. Wówczas histryon zbudzony powracał do rzeczywistości i zajmował się dzieckiem z całą miłością i pieczołowitością matki.

Chwile takie były dlań ulgą w owych bolesnych szamotaniach ducha. Obraz dziecięcia przypominał mu żywo matkę, krzywdy, jakie jej wyrządzał, okropny zgon. Wówczas płakał, płakał rzewnymi łzami, tuląc dziecko do piersi.

Cóż bo to było za dziecię! Matka, przewidując swój wczesny zgon, złożyła w niem cały zasób duszy swojej, a przynajmniej większą jej połowę. Dziecię to dojrzało wcześniej kosztem swego fizycznego ustroju, i dźwigało w swoim wątlęciu ciężar rozwiniętego młodzieńca.

Jego nadmierna czułość wprawiała ludzi w podziw. Na stronach tej młodej duszy, jak gdyby na jakimś cudownym instrumencie dźwięczały uczucia i myśli, które skądś, niby z nieba brały początek. Chłopczyzna bywał natchniony i wygłaszał jakiś wzniosły hymn do Ojca wszechmocnego, potem padał wyczerpany, ale nie na długo.

Niepojętem przecuciem czy jasnowidzeniem odgadawał wszystko. Dusza zdawała się zeń wychodzić i krążyć gdzieś, prowadzona niewidzialną siłą. Niewytłumaczony, niezbadany węzeł łączył go ze zmarłą matką. Duch jej zdawał się ustawicznie czuwać nad dzieckiem i kierować jego krokami. Prowadził z nią rozmowy o każdej porze dnia i nocy.

Wielkie, ciemne oczy dziecka, przy bladej twarzy, patrzyły na rzeczy, niedostępne oczom zwykłego śmiertelnika. Wzrokiem duszy widział je zakryte i nie-

widzialne. Nauka dziś daremnie wytłumaczyć się stara owe nadprzyrodzone rzeczy, których widownią były pierwsze wieki chrześcijaństwa. Z pod jej skalpela wykajają się cuda i pozostaną niezbadane do końca.

Jest to epoka panowania ducha na ziemi. W tych słowach da się powiedzieć wszystko. Obchodził on swój tryumf, jakiego już mieć nie będzie w erze naszej cywilizacji. Uwierzyć weń trzeba, jak wierzyli pierwsi chrześcijanie, a wtedy pojmiemy jego objawy.

Festus przemawiał do Genezjusza, jakby nie przemówił żaden kapłan chrześcijański. Słowa dziecka były tak cudowne i gorące, że zdawały się mieć życiodajną siłę. Świadomy swego obowiązku, który nań włożyła matka, rozwijał przed zdumionym ojcem całą potęgę słów Zbawiciela. W kilku słowach nieraz, malował obrazy nowego życia, a te obrazy w ustach dziecka, miały urok nieopisany jakiejś anielskiej szczęśliwości. Z każdego akcentu, z każdego tonu płynęła miłość, obejmująca światy. Pojmował ją, pojmował histryon, i staczał z sobą walki tytaniczne, podobny w tem do owych pustelników Tebaidy, których wabiły pokusy szatańskiej rozkoszy życia. Bo i cóż to on rzucić musiał? Swoją sztukę, swoją sławę, swoich bogów tak szczytnych piękną cielesną formą, ten świat zmysłów, rozkoszy, użycia! Rzucić to wszystko dla?... Tu się zatrzymywał, zdawało mu się, że stanął wobec przybytku Boga, którego zdawał się uczuwać w swych piersiach, a którego słowami wypowiedzieć się nie da, ale który darzy światłem, prawdą, dobrem bez granic, i gdy z tej wyżyny zwrócił spojrzenie na świat stary, wówczas wydał się mu on... kościotrupem.

I szalał w wściekłym nań oburzeniu i wraz z Festusem modlił się do Boga chrześcijan. Ale modlitwa nie płynęła z serca, przykute ono było stalowymi łańcuchami do ziemi. Nie umiało się ono stopić w przebacze-

niu, w litości, w rezygnacyi. Szarpała nim duma, nienawiść, szyderstwo.

I znów się zrywał histryon, i topił to wszystko w pracy. W jakiej? nad swoją sztuką.

W takim stanie ducha, jakże ją mógł utworzyć? Oto, wykreślał to, co napisał wczoraj i tworzył dalej sceny, ludzi i rzeczy niepodobne do prawdy.

A termin się zbliżał, a sztuka miała być oddana do wystawienia. Wyznaczono ją na 15. lipca, w dzień świąt Kastora i Polluksa, czyli na tak zwane Dioskurie.

Filomachos codziennie przysyłał dowiadywać się o zdrowie histryona i o postępie sztuki. Miałże jej zaniechać? nie dotrzymać tego co przyrzekł? Narazić się czerem cesarom i ludowi rzymskiemu? To niepodobna.

Nadszedł nareszcie dzień, w którym Genezjusz poczuł się na siłach, i jak gdyby odzyskał spokój ducha. Siedział zamknięty, nie dopuszczając nikogo. Na prośbę jego, Julia, żona Vopiscusa, zabrała do siebie dziecię. Festus pożegnawszy się z nim, rzucił mu na progu:

— Pamiętaj o Bogu i o mojej matce.

Apolinaris patrzył na tego człowieka zdziwiony, nie umiejąc sobie zdać sprawy. Widział jego szarpania się i walki. Widział, jak wychodził z nich zwycięsko, a przecież wracał do raz powziętego postanowienia, aby zadać kłam temu, przed czem niedawno schylał głowę. Nie wiedział, jak ma nazwać ten ciekawy rys charakteru.

Nie była to siła woli, ale raczej upór, upór człowieka, którego umysł, raz wszedłszy na błędną ścieżkę, nie chce z niej zejść, chociaż go ostrzegają, że ona się kończy przepaścią.

My jednakże nazwiemy to inaczej. Jest to siła talentu, którego nic nie zmoże i nie złamie, i który bądź co bądź wypłynąć musi.

Genezjusz jest ostatnim przedstawicielem komedyi starożytnego świata. Jak Arystofanes ją otwiera, tak on

ją zamyka... a chociaż ani jeden wyraz z niej nie został, to przecież to, co wiemy wystarcza, aby go do jej zaliczyć dziejów.

Nareszcie, po paru dniach pracy w zamknięciu, wykończył sztukę i odesłał ją teatrowi, zastrzegłszy sobie, że grać w niej będzie chorego starca Porfiryusza (tak się nazywała jedna z osób w jego komedyi). Wielki ciężar spadł z serca histryona.

Jeszcze tego samego dnia posłał po dziecko, aby się cały oddać radości.

A był to ów dzień pamiętny, kiedy stary Apolinaris dowiedział się o śmierci Zenobii i spotkał w swym domu Zaresa.

Chłopczyzna wrócił niespokojny i smutny. Popatrzył na ojca i spytał:

— Czyś dużo zgrzeszył przez ten czas, ojcze?

— Jeżeli zgrzeszył, odpokutuję. A ty coś porabiał, Festusie?

— Tęskniłem za tobą i za Apolinarisem.

— Ty kochasz Apolinarisa?

— Kocham, bo jest dobry jak chrześcijanin.

— Chciałbyś, aby nim został?

— On nim zostanie.

— Kiedy?

— Za dni parę.

— Skąd wiesz o tem?

— Powiedziała mi matka. Ale przedtem czeka go wielki smutek.

— Czy mu co grozi?

— Grożą mu ludzie potężni!

— Czy i to wiesz od matki?

— Tak — ale cicho! wchodzi teraz do domu. Rozmawia z człowiekiem złym. Oh, on mu grozi! To zły, okrutny człowiek. Pójdźmy ojcze, pójdźmy do niego prędko. I Genezjusz zdumiony, osłupiały, dał się popro-

wadzić przez dziecko, aby być świadkiem sceny, którąśmy powyżej opisali.

Wstrząsnęła ona głęboko jego duszą. Ten Bóg wielki i potężny objawił mu się tak jawnie, tak dotykalnie prawie... Ta miłość, która i z poza grobu czuwa nad ukochanymi, przejęła go tak wielką skruchą, poczuł się tak małym, tak lichym, nędznym stworzeniem, że wszystkie siły zaczęły w nim topić się, jak owe lody pod żarem słońca, i klęknął przed łóżem chłopczyny i wyciągnął ręce i wznosił oczy ku niebu, nie mając w ustach jednego słowa, bo na żadne zdobyć się nie mógł w tej chwili.

I oto zdawało mu się, że cień Eponiny zawisł nad łóżem dziecka i dotknął ręką jego głowy.

— Jezusie Chrystusie, wyszeptał mimowoli.

Noc była już głęboka, srebrny księżyc wpadł przez okna i rzucił swój jasny snop światła. Cień zniknął, ale Festus otworzył oczy, wyciągnął rączki, objął niemi szyć Genezjusza i trzymał głowę jego długo i mocno.

Nazajutrz, choć słaby i chwiejący, pobiegł do teatru Marcellusa. Zażądał zwrotu sztuki. Wyśmiano go i kazano mu się położyć do łóżka.

Poszedł nad Tyber, siadł u brzegu, zatopiwszy wzrok w niknących falach, i tam to, może duch Eponiny błędzący nad rzeką go natchnął, bo ułożył plan, który tak świetnie miał wykonać.

#### XXIV.

#### Przyszły cesarz.

— Jesteś głupi, chłopcze! Nie umiałeś sobie zjednać dziewczyny i przyzwałeś w pomoc moją powagę. Teraz ona skompromitowana przez ciebie. Idźże i staraj się nakłonić ją do swoich chęci. Jaką ku temu obierzesz

drogę, to mi obojętne, byleś ją miał, inaczej powiem, żeś niedołąga i wstydzisz się będąc za siebie.

Taką to reprimendę otrzymał Aureliusz od swego ojca. Skłonił głowę w milczeniu, oblany rumieńcem i wyszedł szybko, pałający i wzburzony.

Obelga, którą mu ojciec rzucił, piekła go rozpalonym żelazem. On niedołągą, co w oczach ojca i jego generałów stawał mężnie do rozprawy z nieprzyjacielem; tu wobec jednej kobiety, stawał się głupcem, żakiem. On, syn najpotężniejszego człowieka w świecie, został odrzucony! Wściekły, przebiegł komnaty i dziedzińce Palatynu. Kazał sobie podać konia, i w towarzystwie jednego z dworzaków, pobiegł na ulicę Mamuri.

Przez drogę obiecywał sobie, że sam widok jego twarzy, upokorzy dziewicę i jej wujów, i jeżeli nie dla jego osobistych przymiotów, a potem i wielkiego stanowiska w świecie, to przed obawą jego gniewu, zmiekną w uporze. Jadąc tak, roztrącał przechodniów, strącał nawet jakąś kobietę, która nie dość szybko usunęła mu się z drogi. Biedaczka broczyła krwią. Podjęli ją ludzie i rzucili za nim przekleństwem. On je słyszał i wściekłość jego zaostrzyła się więcej.

Stał wreszcie przed domem Marka Gabiniusza, rzucił cugle dworzakowi i zakolał gwałtownie we drzwi. Stary sługa zdumiony, otworzył mu je szybko... i już miał zapytanie na ustach, ale poznawszy młodzieńca, nie przemówił ani słówka, i dał mu biedz swobodnie, lecz sam poszedł uwiadomić swojego pana.

Aureliusz pobiegł prosto do pracowni, gdzie zwykle przebywała Zuzanna.

Zastał ją w gronie kobiet zajętych pracą. Szyły odzież dla biednych.

Na ich widok cofnął się nieco do progu.

— Czy raczysz mi Zuzanno udzielić chwili rozmowy? — spytał szorstko.



— Mów Aureliusz — odrzekła Zuzanna spokojnie...

— Jakto? tu wobec twoich niewolnic?

— To nie są niewolnice, to moje przyjaciółki.

— W każdym razie, to, co ci mam powiedzieć, dotyczy nas obojga tylko, i nie życzylibym sobie mieć w nikim świadka.

— Odejdźcie, siostry!

Kobiety oddaliły się powoli, patrząc uważnie na twarz młodzieńca, którego widok nie był wcale ujmujący.

— Słucham cię, Aureliuszu!

— Dlaczego odrzuciłaś moją prośbę?

— Bo ja nie będę żoną niczyją.

— Ale moją być musisz.

— Czyś się zastanowił nad tem coś powiedział?

— Tak, zastanowiłem się. Żywą, czy martwą, ale cię wezmę.

— A więc weźmiesz mnie trupem, bo żoną twoją nie będę... nigdy.

— Oh wiem, znam wasze czarodziejskie sztuki, któremi samą nawet śmierć oszukać potraficie, ale przysięgam na Jowisza, że one mnie nie ustraszą.

— Więc bądź mordercą, ja jestem gotowa. Na co czekasz? czego się wahaś? Nie zawołam nikogo na pomoc, nie będę się broniła! Spróbój, czy nasze czarodziejskie sztuki ostrzejsze od twego miecza.

Na widok tego majestatycznego spokoju Aureliusz ochłonął.

Uczuł w jednej chwili, jak głupiem, jak nędznie było zachowanie się jego, ale był zbyt dumny, żeby się do tego przyznać.

— Szalona! ty odtrącasz mnie, przyszłego władcę świata? Czyż na moje skinienie nie rzuci się każda do stóp moich? Wszakże ja myślałem, że ten wielki zaszczyt przyjmiecie z poddaniem i błogosławić mnie za to będziecie.

— My nie pragniemy ziemskich bogactw i zaszczytów; dla nas zaszczytem jest żyć zacnie i umrzeć dla wiary świętej.

— Wasza wiara jest wiarą głupców i żebraków. Świat po wszystkie czasy kornie chylił głowę przed potęgą i blaskiem, i tak będzie do końca.

— Dumny i zuchwały młodzieńcze, gdy pożyjesz, to się przekonasz, że istnieją większe potęgi. W miłości stanął świat i w miłości tylko jego trwanie, a ty blaskiem złota, albo mieczem chcesz zdobyć serce! I tyś synem mej ciotki? Oh biedna ona! W jakiejże to chwili, strasznej niemocy ducha, karmiły cię jej piersi. Ale wszechmocny czasem zsyła takie krzyże ku przestrodze śmiertelników. Dzieckiem będąc, już raziliś mnie dumą swoją i twardością serca; nie przeczuwałam wówczas, że dziś, jako młodzieniec, zatrujesz mi goryczą życia. Płaczę nad zgubioną duszą twoją.

Aureliusz patrzył w cudnie piękną twarz dziewczicy i pożerał ją wzrokiem. Jej łzy rozbroiły w nim gniew, ale podbudziły namiętność.

Zbliżył się ku niej i chciał ująć jej rękę.

Ona ją cofnęła szybko.

— Nie dotykaj się mnie, drogi nasze się rozcho-dzą. Jesteśmy obcy dla siebie.

— Czysta Westalko, ależ przebacz mi, postąpiłem szorstko, to prawda, alem ja nie świadom obyczajów niewieścich. Wychowałem się w obozach. Naprzód zbyt nieśmiały wobec ciebie, potem stałem się za gwałtownym. Nauczże mnie miary! Widzisz, że cię kocham, i gotów jestem do wszelkich ustępstw. Podaj mi rękę Zuzanno. Jesteś tak piękną, że drugiej podobnej Rzym niema. Tyś stworzoną na żonę przyszłego cezara. Mój ojciec zostawił mi wszelką swobodę, i wziąć cię muszę. No, Zuzanno, zaniechaj tego gniewu. Zobaczysz, jak będziemy szczęśliwi we dwoje, w Nikomedyi zbudował oj-

ciec pałac daleko piękniejszy niż ma Rzym, będziesz tam panią, a ja twoim sługą.

Mówiąc to, przybliżał się do dziewicy i wyciągał ręce, chcąc ją pochwycić w swoje objęcia. Zuzanna cała wzburzona, cofała się przed jego napaścią, i tak oparła się o mur ściany.

Wyprostowała się wreszcie i stanęła jak posąg, utkwivszy wzrok w napastnika. Pod siłą tego wzroku Aureliusz cofnął się. Był to wzrok nadludzki. Spojrzenie takie pętało zawsze lwy i pantery w cyrku.

W tem spojrzeniu wyczytał syn cezara swój wyrok. Odwrócił się szybko. Rzucił na progu złorzeczenie wraz z groźbą i wybiegł prędko z insuli Gabinusza. Zuzanna padła na kolana w gorącej modlitwie.

— Co to się stało, Zuzanno? — rzekł, wchodząc Markus. — Widziano Aureliusza jak wybiegł szalonym prawie. Czy on cię znieważył, dziecko moje?

— Czyż jego zniewaga dotknąć mnie może? Mój drogi ojcze, zniewagi od takich ludzi, to więcej jak zaszczyty ziemskie. Dziękowałam Bogu, że mi udzielił siły do zwalczania szatana.

— On się mścić będzie nad nami.

— Cóż ich zemsta nam przynieść może?

— Ich zemsta, to zagłada!

— Czy ona z tej ręki padnie, czy z innej. Czyż nie powinniśmy być na nią przygotowani? Zagłada, mówisz? To nowe życie, które nas czeka tam! Wszak doń przygotowani jesteśmy.

— Nie mów tak, Zuzanno. Obowiązkiem każdego człowieka jest bronić zagrożonego życia, to prawo przyrodzone.

— Naszą bronią krzyż Zbawiciela, ten nas skutecznie broni przed wszelkimi ciosy. Jakaż bronią chciałbyś się uzbroić, o ojcze? Gdzież siła, któraby się oparła ich natarciu?

— W przebiegłości, w ostrożności, w przewidywaniu i unikaniu niebezpieczeństwa. Nasz dom już niepewny. Ukryć się nam potrzeba.

— A cóż powiedzą o nas ci, którzy się skryć nie mogą? Padną, wystawieni na całą srogość wroga i będą przeklinać nasze odstępstwo. Wszak myśmy ich przewodnicy, my wodzowie tej drużyny Chrystusa. Ona nam zaufała. Ona patrzy na życie nasze i buduje się jego przykładem. Ucieczka okryłaby nas wieczną hańbą, i pozwoliła tryumfować naszym wrogom.

— Oh, dlaczegoś ty odrzuciła ten związek? Wszak masz przykład na ciotce swojej, która nie wahała się zostać żoną Dyoklecjana, choć nie wierzył w Chrystusa. Jest zawsze dla niej dobrym mężem i ojcem jej dzieci.

— Z których jedno poprzysięgło nam zgubę! Wiedzisz ojcze, jakie to dzieci płodzą podobne związki. Ale nie chcę tu obwiniać nikogo. Odrzuciłam, bom się ofiarowała Bogu i miłosierdziu. Nie obawiaj się, jego zemsta ugodzi we mnie tylko, a mój zgon będzie ziarnem posiewu!

— Co mówisz? Mnie to raczej umrzeć przed tobą. Pójdę do cezara, pójdę do siostry. Będę się starał wytłumaczyć, załagodzić to wszystko. Tego nie będzie. Mielizby mordować swych krewnych?

— Jeżeli ci to ulgę sprawi — idź!

Wtem gwałtowne kołatanie we drzwi dało się słyszeć po całym domu.

Starzec zadrzał.

— Czyżby już — wyszeptał przestraszony.

— Młody cesar trątuje ludzi po ulicach — odezwał się głos wchodzącego dyakona.

Za nim ukazało się kilku sług, niosących na noszach zranioną kobietę wraz z dzieckiem.

Była to ta sama niewiasta, którą widział Aureliusz za pierwszą swoją bytnością w domu Markusa, spotkał

ją na zakręcie ulicy, kiedy spieszyła do Zuzanny, i namięlnie skierował na nią koniem.

Jadąc tu, potracił pierwszą przypadkowo, wracając, chciał rozstratować drugą z rozmysłem.

Były to pierwsze objawy okrucieństwa, jakimi miał zasłynać w przyszłości syn Dyoklecjana. Ten powrót z domu Gabiniusza zbudził całe piekło nienawiści w duszy złego chłopaka. Odtąd wszystko, co się nazywa chrześcijańskim, co jakkolwiek ma z nim związek, będzie kopane, darte, niszczone, męczone, dopóki samo złe się nie zmęczy i nie powie: dosyć:

— Co za dzikie okrucieństwo! — jęczała słabym głosem kobieta. Koń się wzdrygnął, a on gwałtem na mnie wpędził. Miałam jeszcze tyle czasu, żem mego Paulusa wypuściła z rąk, a dziecina bezwiednie przytuliła się do muru.

-- Przemennie, biedna Zofio, dotknęło cię nieszczęście. Jam to powinna być stratowaną jego koniem — rzekła Zuzanna.

Małoduszny Markus łamał ręce z rozpacz, wieszcząc srogie klęski, jakie teraz na dom jego spadną. W każdym szmerze, w każdym głośniejszem odezwaniu się na ulicy, słyszał zbrojne zastępy. Uśmiech politowania budził w obecnych; dopiero przybycie Kajusa potrafiło go nieco uspokoić i dać mu zapanować nad sobą.

Biskup wiedział o odwiedzinach Aureliusza przez starego sługę, i domyślał się ich skutku, ale nie przewidział nigdy tyle zła w młodym chłopcu.

— Cóż pocniemy, Kajusie? — szepnął Markus, chwytając go za kraj szaty.

— Będziemy cierpieć, modlić się i pracować!

## XXV.

## Na progu nowego życia.

Innego Genezjusza miał teraz oglądać Rzym cały na swoich ulicach. Znana całemu miastu postać histryona o owej postawie butnej i wspaniałej, z twarzą mieniącą się odblaskiem uczuć, co na niej grały, z okiem tryskającym życiem, zmieniła się do niepoznania.

Wprawdzie był to ten sam Genezjusz, ale o ileż wyszlachetniony i spokojny! Butna głowa pochyliła się nieco pod ciężarem myśli. Oblicze miało wyraz spokojnej jakiejś melancholii, a oczy patrzyły ze smutkiem i dobrocią. Czasem przesunął się po niej uśmiech politowania i jakby wzgardy, ale gasnął niedługo i zlewał się w wyraz dobroci i rezygnacji. Niegdyś on wyzywał te tłumy, snujące mu się przed oczyma, patrzył im w twarze bystro, dziś ich zda się lekceważył, nie zważał na nic, wydały mu się niby rojem komarów. Kto go nie znał, brał go za filozofa, albo człowieka z pod osłej głowy.

Na tysiączne powitania, życzenia, zapytania, odpowiadał krótko i zbywająco, przez co dawał powód do utyskiwań nad stanem swego zdrowia. A przecież czuł się zdrowym i silnym! Niekiedy tylko, gdy się zamyślił głęboko, opanowało go nerwowe drżenie, czego dawniej nie doświadczał.

Przeszedł nareszcie ten Rzym nie zadowolony, ale znudzony raczej widokiem. Nie odnalazł w nim nic, coby go żywiej zajęło. Wszystko takie jak było, tylko lichsze, głupsze, nędzniejsze. I pytał: gdzie się odbyła ta zmiana? Czy w rzeczach, czy w duszy jego?

Jedynem dlań dziś miejscem, do którego dążył z upragnieniem, był dom Vopiscusa, gdzie mógł znaleźć Antoniusza i jego matkę.

Przypomniał sobie chwilę, kiedy to wszedł do tego domu po powrocie z katakumb i ujrzał w nim przewrót, który o mało go zmysłów nie pozbawił. Jakże się śmiał gorzko z swojej dziecinnej naiwności! I znów pytał siebie, czy to on był tym człowiekiem tak niedawno jeszcze? Cóż to za przewrót w jego życiu, w jego myślach, pojęciach i czynach, w słowie, w całym jestestwie?

Zanim zastukał kołatką do drzwi domu, rzucił okiem na mały posążek Merkurego, który tam stał w framudze, cel modłów wszystkich kupców i klientów odwiedzających dom budowniczego. Widok ten obudził w Genezjuszu wszystkie wspomnienia. Całe dzieciństwo i młodość przesunęły mu się przez głowę w jednej chwili.

Gdy był małym, widział zaledwie stopy posążka. Później, w miarę lat, postać się jego wydłużała, a pewnego dnia doszedł mu już pasa. I zmierzył tę długość swoją, ryjąc gwoździem znak na marmurze. Oto jest ten znak. Przykryty wprawdzie brudem i kurzem, ale dla oczu jego i wspomnień widoczny. Był młodzieńcem szesnastoletnim, chodził w pretekscie i występował w chórach w teatrze Marcellusa, marząc o roli, którą mu wówczas obiecano. Jakże był dumny i szczęśliwy! Od staro ojca uciekał, bo miał zawsze twarz smutną i prawił mu nudne rzeczy.

Uśmiechnął się wzgardliwie i spojrział w twarz bałwanka. Ta twarz przypomniła mu Filomacha.

— Szalbierz — mruknął histryon. — Szalbierz jak ten bóg przewrotny i złośliwy, i już podniósł pięść, aby nią uderzyć w marmurową głowę, ale się powstrzymał i zakołatał do drzwi.

Długo kołatał i długo czekał, stojąc pode drzwiami i przysłuchując się jakiemuś objawowi życia w tym domu. Nie postyszał nic, zdaje się, że wymarło wszystko. Przechodnie patrzyli i dziwili się temu uporowi Genezjusza, który walił we drzwi pustego domu.

— Kogo szukasz? — spytał jeden.

— Budowniczego Vopiscusa.

— Już go tu niema.

— Gdzież jest?

— Zdaleka widać przybywasz, kiedy nie wiesz, co się stało.

— Przybywam z bardzo blizka, ale byłem złożony chorobą i wieści z miasta mnie nie dochodziły.

Nieznajomy spojrział badawczo w twarz Genezjusza. Potem, jak gdyby zapewniwszy się o szczerości słów jego, rzekł stłumionym głosem:

— Vopiscus skazany na wygnanie. Domy i majątki jego zabrane.

— To niepodobna! I kiedyż się to stało?

— Od dni paru. Wczoraj wyszła stąd ostatnia garstka niewolników uprowadzona z rozkazu cezara Maksyminjana do kopalni.

— A gdzież żona i syn jego?

Nieznajomy znów spojrział na twarz Genezjusza. Po tem chwilowem wahaniu uczynił znak, podnosząc rękę do czoła, jak to czynili chrześcijanie, gdy się rozpoznawali w tłumie.

Genezjusz nie odpowiedział mu równym znakiem, ale zrozumiał zamiar.

— Możesz mówić śmiało. Nie jestem wprawdzie ten, za kogo mnie bierzesz, ale przysięgam ci na Chrystusa, którego znam i czczę, że cię nie zdradzę.

— Wierzę ci. Na ulicy Mammuri, tuż przy salaryjskiej bramie, stoją obok siebie domy Gabiniusów...

— Już wiem resztę. Dziękuję ci bracie.

Nieznajomy zatrzymał podaną sobie rękę.

— Czyś ty nie histryon Genezjusz?

— Rzekłeś.

— Przypomniałeś mi twojego ojca, którego czczę i błogosławię. Twoja twarz natchnęła mnie szczerością,

choć nie umiałem sobie zdać sprawy dlaczego. Mówią, żeś ty szlachetny i uczciwy, choć jesteś wrogiem wiary naszej.

— To było niegdyś — rzekł, odwracając się Genezjusz. — Bogu cię polecam!

— I ja ciebie.

Nieznajomy się oddalił.

Genezjusz stał wciąż u drzwi domu Vopiscusa jak przykuty. Po chwili roześmiał się gorzko.

— Jeszcze się dziwię! — rzekł. — Jeszcze patrzę osłupiały na to mrowisko ludzkie, które się zjada wzajemnie. Jak gdyby to były rzeczy nowe i nieznane. Ależ Vopiscus! Ten mocarz! ten cynik, co drwił z całej potęgi! Potęgi? Gdzież ona? Wszystko zniknie, wszystko przeminie. Tylko to... to tam... nie przeminie. Pójdźmy na ulicę Mammuri.

Z przyjazdem Dyoklecjana, z jego rozległym planem musiały runąć wszystkie dotychczasowe zamysły Maksyminijana. Miał on budować i przyozdabiać Rzym, aż tu naraz dowiedział się, że ten Rzym skazany na zapomnienie, że on jest tylko czasową jego stolicą, że ma być ona przeniesioną do Medyolanu.

Otwarcie nowych termów przyjął Dyoklecjan obojętnie. Wyrzucał Maksyminijanowi zbytek i trwonienie skarbu. Budowniczy wypadł z łaski. Zares oskarżył go o kradzież. Posypały się niezliczone denuncjacje i oskarżenia. Krzyknięto na *termule, cloacule, templumule*. Olbrzymi majątek podrażnił apetyt Herkulesa. I Vopiscus zrabowany i wygnany!

Do nienasyconego worka cezara, gdzie już leżały poplamione błotem skarby Zenobii, przybywały znowu niezbyt czyste budowniczego. Złączyła je wzajemna siła przyciągania.

Genezjusz po raz pierwszy miał przestąpić próg chrześcijańskiej świątyni. Po za tym progiem kończyło

się doczesne życie. Zdawało się histryonowi, że jeśli go przestąpi, stracony będzie dla świata na wieki.

Wszak dom ten pochłonał Eponinę, Apolinarisa, Antoniusza, Julię, Vopiscusa i tylu, tylu innych!

Ten dom, to świat nowy. Trzeba zerwać ze starym bezpowrotnie! I znów w całej potędze błysnęły mu przed wzrokiem duszy wszystkie ułudy przyszłego życia. Chwytał się oburącz za głowę. A wreszcie, po co on tu idzie? Czy wolno mu zbliżyć się do tej świątyni z takim rozdarciem w duszy? Czy zerwał z przeszłością? Wszak jeszcze nie dokonał tego, co zamierzył. W tym domu nazywają go zdrajcą, kłamcą, bezczelnym.

Bo i czyż nim nie jest? Histryon! histryon podły, bezecny, w każdym calu, w każdej cząsteczce swego *ja*? Upada czołem przed wzniosłością tej wiary, a jednocześnie kala ją i wyśmiewa. Nie, on tam nie pójdzie nieczystym i zbrukany w masce histryona. Trzeba ją zrzucić. A zrzucić ją kiedy? kiedy?

Tak walcząc ze sobą, oparł się o mur domu i nie spostrzegł, jak wychodzący zeń człowiek zbliżył się doń, kładąc mu rękę na ramieniu.

Genezjusz wzdrygnął się, potem rzucił się w objęcia starcowi.

— O, mój ojcie, niebo cię tu zesłało!

— Co ci jest synu? Czemu nie wejdiesz do tego domu? On otwarty dla ciebie tak, jak i serca nasze.

— Oh wiem, wiem, tyś święty, tyś najlepszy z ojców. Wejść tam, ale jeszcze nie teraz, nie teraz. Usłyszycie o mnie wkrótce. Teraz cię proszę, drogi ojcie... Co bądź się ze mną stanie, ty nie zapomnisz o Festusie?

— Możesz wątpić?

— Nie, nie, nie wątpię. Bądź zdrow ojcie, zobaczymy się niedługo.

— Zaczekaj, dziecię moje. Wypowiedz co tam na duszy twojej leży. Tyś jakby słaby i w gorączce.

— Nie, ojcze, to przejdzie. Zmęczony jestem próbami... a potem to zwykłe moje walki, które staczam ze złym demonem. Ale ta była już ostatnią, przysięgam.

I wyrwał się prawie z objęcia starca, który patrzył za nim długo... długo... długo... dopóki mu łzy nie zamęciły wzroku.

Było to ostatnie ich spotkanie.

## XXVI.

### Scena na scenie.

Zbliżamy się do końca naszej powieści.

Niektórzy historycy już odegrali w niej swoje role. Inni je odgrywać będą dalej w ramach wielkiej sceny historyi.

Pozostaje nam ostatni, który odegra jeszcze swoją, a której końcowa scena wieńczyć będzie nasze dzieło, i za którą zasłuży na wasze gorące oklaski.

Nadszedł dzień przedstawienia jego komedyi w teatrze Marcellusa. Nosiła ona tytuł: *Spadkobiercy*. Treść jej, tchnąca ówczesną prostotą i zwięzłością, da się opowiedzieć w kilku słowach:

Stary bogacz Porfiryusz ma licznych krewnych, dla których za długo żyje. Podlega on wprawdzie dość często niemocy starości, wychodzi jednakże z niej zawsze zwycięsko ku utrapieniu spadkobierców. Pewnego jednak dnia zapadł zdaje się na dobre. Jeden z krewnych, prawnik Demachos namawia wszystkich swoich kuzynów, ażeby się zgodzili na wprowadzenie doń kapłana chrześcijańskiego, który go skłoni do przyjęcia chrztu. Utrzymuje, że ta operacja pozbawi go życia, bo ile widział podobnych wypadków, zawsze kończyły się śmiercią, a ponieważ prawo nie pozwala w stanie choroby na sporządzenie testamentu, wrzeczy gdyby mu przyszła

ochota oddać majątek chrześcijanom, przeto krewni na pewno zagrabią jego mienie.

Jak postanowili, tak uczynili. Kapłan wraz z dyakonami przybywają do starca, pytając, czy pragnie chrztu?

— Jeżeli mi to ma pomódz na moją podagrę, to czemu nie — odpowiada.

Ceremonia odbyta, ale starzec skutkiem właśnie mocy owych czarów, jakie mu zadać mieli przy chrzcie kapłani, odzyskuje siłę i zapowiada ucztę. Oburzenie ogólne pomiędzy krewnymi.

Jak dotąd widzimy, treść jej zupełnie niewinna, a uwłaczająca chrześcijaństwu o tyle zgodnie z panującym w pogaństwie przesądem, że ich posądzają o czary.

Dopiero dalsze akty miały być gorszącą satyrą, bo w nich odsłania autor nieczne zabiegi i frymarki chrześcijan, za pomocą których starzec rozdziela między nich swój majątek, a sam zostaje nosiwodą.

Tych tedy dalszych aktów nie miała nigdy publika rzymska zobaczyć. Ale nie uprzedzajmy wypadków.

Jak się domyśla czytelnik z treści sztuki, to ostrze satyry, w miarę gdy duszą historyona targały wątpliwości i błyski światła poczęły do niej wnikać, musiało być przytępione, zostało ono jednak dość ostre, aby kaleczyć niewinnych.

Dlatego Genezjusz w owej nocy, spędzonej przy łóżeczku Festusa, chciał ją cofnąć i zniszczyć. Gdy odrzuciono jego żądanie, błysnęła mu myśl, którą jak wykona, przekonamy się niebawem.

\* \* \*

Dwadzieścia tysięcy widzów zasiada na kamiennych krzesłach w teatrze Marcellusa.

Oddziały siedzeń oznaczone są przez posągi wielkich ludzi i zwą je oddziałem: Seneki, Cyclerona, Lukana, Cezara, Pompejusa i t. d. Dlatego każde krzesło

ma swój numer wypisany na bilecie, za którym wpuszczano do teatru.

Pomimo, że miejsca są bezpłatne, jednakże bez biletu wejść nie można. Ponad tłumami rozpięto purpurowy namiot, przez który lipcowe słońce krwawo farbuje i ludzi i kamienie. Cały amfiteatr zdaje się we krwi broczyć. Upalną, duszącą atmosferę, która się ponad ludźmi unosi, odświeża woda pachnąca, strumieniami między siedzenia sprowadzona zapomocą maszyny.

Łoża dla cesarów zbudowana przy scenie po prawej od widzów, z lewej od strony grających. Osłaniają ją przezroczyste franki, z poza których wszystko widzieć można, nie będąc widzianym.

Wszystkie miejsca wreszcie zajęto.

Ta hydra o tylu tysiącach głów porusza się ciągle niby fale, gwarzy, mówi, krzyczy.

Dziś natura południowca, to ciągły wylew wrzących w nim uczuć, które się odbijają w krzyku, śpiewie, geście, a cóż dopiero było wówczas! Wrzały kłótnie i bójkę. Publiczność podzielona na stronnictwa. Jedni oklaskiwali tego samego histryona, którego inni obrzucali obelgami i przekleństwami. Wówczas zjawiał się jakiś medyator i godził zwaśnione strony, wyliczając błędy i zalety tego, o którego szła walka.

Ale byli także nieprzejednani, to jest: zapłaceni, i z temi trzeba było stoczyć bój formalny, aby ich wyprzeć z teatru.

Dziś bohaterem dnia jest Genezjusz. Histryon i autor zajął uwagę powszechną. Tak dawno nie widziany, po ciężkiej chorobie! Czeką go przyjęcie owacyjne.

Odslonięta scena przedstawia ulicę. Na środku stoi ołtarz poświęcony Dyoskurom, bo to dziś dzień ich święta. Zapuszczono nad sceną franki. Był to znak, że niedługo rozpocznie się widowisko. Cesarowie weszli do łoża. W orkiestrze odezwała się krótka muzyka. Poczem

uderzono w trąby. Rozsunęły się franki. I widowisko rozpoczęte...

Wejdzmy za kulisy. Panuje tu nastrój poważny. Niema już Rufusa. Genezjusz oddał swoją sztukę pod warunkiem, że w niej błazen nie będzie brał udziału. Wreszcie Rufus od śmierci swojej pani pełni teraz służbę przy Zaresie. Czasem jest wzywany do stołu cesarza, i grubymi żarty zabawia jego niezbyt wykwintny umysł.

Genezjusz jest obecnie dla trzody histryonów dawno nie widzianym a upragnionym gościem. Tyle się przez ten czas zmieniło w jego życiu.

Druzilla z nastrojoną miną współczucia i ubolewania dopytuje o jego zdrowie, stara się go pocieszać, lecz on odwraca się od niej, biorąc pod rękę Korbulona.

— Zmiłuj się, jeżeliś kiedy był moim przyjacielem, to spełnij największą łaskę, o jaką cię proszę.

— Rozkazuje, Genezjuszu.

— Uwolnij mnie od tej kobiety. Ten fałsz, który bije z jej oczu, to święte dla mnie imię, które słyszę w jej ustach, napawają mnie niewysłowionem cierpieniem. Uczyni to dla mnie...

— Ależ chętnie! Będę jej opowiadał o tryumfach Rufusa, to ją rozczuli do łez. Nie może się pocieszyć po jego stracie.

— Ja potrzebuję spokoju i skupienia ducha.

— O tak, tak, masz wielką rolę dzisiaj!

— Oh tak, wielką! Słuchaj Korbulonie, wiesz jak cię zawsze szacowałem. Umiałem cię wyróżnić z pomiędzy nich i ofiarowałem ci przyjaźń moją.

— Tak jak i ja swoją tobie. Czyś się na mnie zawiódł kiedykolwiek?

— Nigdy. Otóż po tem, co się tu stanie, pójdziesz do domu Apolinarisa i zobaczysz mojego małego synka, dowiesz się o jego zdrowiu, a potem przyjdiesz i powiesz mi to gdziekolwiek będę wówczas, rozumiesz?

— Rozumiem. Ale przerażasz mnie, Genezjuszu. Cóż się ma stać? Z twojej twarzy, z twego wzroku czytam coś niezwykłego.

— O, nie obawiaj się mój przyjacielu. Spełń o co cię proszę i zostaw mnie.

— Chętnie...

Jesteśmy w tej samej sali, w której rozmawiał po raz ostatni z Eponiną. Groźny posąg Melpomeny stoi w tem samym miejscu, i zdaje się badawczo patrzeć w twarz histryona. Przystanął przed nią i długo i gorąco przemawiał:

— Za chwilę porzucę służbę u twojego ołtarza, aby służyć innemu Bogu. Czy i ja padnę krwawą hekatombą, jak padła ona? Ja ci złorzeczyć nie będę, łaskawe dla mnie bóstwo! Udarowałaś mnie sowicie, bo i Apollową lirę wywalczyłaś dla mnie u boga piękna. A podniosłem ją wysoko, służąc boskiej twojej siostrzycy Talii. Wszystko, co śmiertelnik mieć może z twojej łaski, tyś mi dała. A ja i ciebie i siostrę porzucić muszę. Tam, dokąd ja idę, niema dla was ołtarzy. To kraina maluczkich i nieszczęśliwych. Wszak i ty masz współczucie dla niedoli? Ale ty wielkich tylko czyny przekazujesz potomności, roje maluczkich depczesz z pogardą. A jednakże w ich piersiach bohaterskie uderzają serca! Serca większe jak u twoich poetów. Czy przyjdzie, przyjdzie kiedy ten czas, że ty, o piękna i surowa, schylisz się ku nim, a potem, przywdziawszy chrześcijańską szatę, opiewać będziesz ich czyny? Przyjdzie? Wszak prawda, że przyjdzie? O tak, przyjdzie, i w tej nadziei błogosławię cię, dobroczynne dla mnie bóstwo i żegnam na wieki. — I Genezjusz zbliżył się do stóp posągu i złożył na nich pocałunek. Potem popatrzył nań po raz ostatni i wybiegł na scenę.

Wezwano do rozpoczęcia drugiego aktu. Za chwilę Genezjusz wszedł na scenę.

Oklask czterdziestu tysięcy rąk i krzyk dwudziestu tysięcy piersi, opisać się nie da. Musiał to być huragan, któregooby nie zniosły nasze słabe uszy.

Po krótkiej scenie, jaką ma Porfiryusz z prawnikiem Demachosem, wprowadzają na scenę księdza chrześcijańskiego.

— Czy chcesz przyjąć chrzest? — pyta się kapłan Porfiryusza.

Długa pauza.

Poczem Porfiryusz, wbrew swojej roli, powstaje z krzesła, wychodzi na przód sceny i mówi podniesionym głosem.

— O tak! pragnę, pragnę chrztu wszystkimi siłami mojego serca i mojej duszy!

Między histryonami trwoga i zamieszanie.

Publiczność jeszcze nie wie co się stało. Zaciekawiona tylko i niespokojna.

— Słuchajcie mnie cesarowie! Słuchaj mnie ludu rzymski! Pragnę być chrześcijaninem, i jestem już nim po duchu. Prawda, że nienawidziłem chrześcijan i złorzeczyłem wszystkim. Dla tej nienawiści wyrzekłem się ojca i krewnych. Ta nienawiść sprawiła, że podglądałem tajemnice ich wiary, i piórem, maczanem w żółci, wyśmiewałem ich w komedyi. Aż przyszedł czas, że poznałem ich szlachetne serca, i w tych sercach odnalazłem ich Boga, wielkiego, potężnego, sprawiedliwego, którego potęgą niezbadana i nie objęta niczem. Wierzę, wierzę, wierzę w Boga, i w Syna Jego Chrystusa i w Ducha św. Precz więc ze sztuką, pełną fałszu i jadu! Niema jej dla was, dla świata. Wyrzekam się jej i niszczę...

I tu porwał podpowiadaczowi manuskrypt, i darł go w drobne szczątki. Białe płatki, niby motyle fruwały, gnane przeciągiem powietrza, wiejącym od sceny i padały między tłumy, które, osłupiałe zrazu i mrużące, poczęły wybuchać.



Wtem nastąpiło piekło, jeżeli w piekle mógł się odegrać podobny chaos.

Zdawało się, że nie tylko ludzie, ale wszystkie kamienie w teatrze krzyczą, przeklinają, grożą!

Histryoni zaraz przy pierwszych słowach Genezjusza pouciekali ze sceny.

Tłumy, z jednym rykiem wściekłym parły do orkiestry, i wspinając się jedni przez drugich, chciały dotrzeć do sceny.

Genezjusz stał blady i spokojny, ale w oczach jego, wzniesionych w górę, widzieć można było wyraz niebiańskiego zachwytu. On widział całe chóry aniołów i męczenników, jak wyciągały ku niemu ręce.

Była jedna chwila tylko i, tej użył Dyoklecjan.

Dał znak Plancyuszowi, który ze swoją strażą Jowianów zjawił się na scenie, i ci otoczyli historyona.

Powstały okrzyki.

— Wydajcie go nam, niech go rozszarpiemy!

— Wydajcie! Wydajcie.

— Nie puszczaj! Wydrzeć!

— Precz ze strażą!

— Wydrzimy go!

Jowianie nastawili swoje długie halabardy.

Wtedy to z rozkazu cesarza Dyoklecjana wystąpił na scenę Edyl.

Uciszyło się.

— Boski cesarz Dyoklecjan przyrzeka ludowi zadostyczynienie.

Wtedy powstał głuchy szmer, niby szum spotęgowanej fali morskiej, i womitoria zaczęły wyrzucać z teatru ludzkie mrowie.

Za chwil niewiele gmach pozostał pusty i milczący...

Tak więc skończyła ostatnia komedia starożytnego świata...

## XXVII.

## Dwaj historyoni.

Korbulon, wierny zobowiązaniom, jakie zaciągnął względem Genezjusza, zaraz po katastrofie pospieszył do domu Apolinarisa.

Był on niegdyś niewolnikiem starego historyona, uwolniony jednocześnie z Eponiną, zamieszkiwał stary budynek przy bramie tyburtyńskiej i dozorował ogrodu, jaki tam posiadał Apolinaris.

Stary Klodyon, który czuwał przy małym Festusie, i modlił się wraz z nim za Genezjuszem, zerwał się na widok spieszącego i pomieszanego Korbulona.

— Co się stało? mów!

— Pozwól, niech ochłonę. Czegoś takiego świat nie widział i chyba nie zobaczy nigdy... Twój syn...

— Zabity? nie żyje? Mów nieszczęśliwy.

— Ach, lepiejby mu było, gdyby był już zabity.

— Więc żyje?

— Żyje zamknięty w więzieniu mamertyńskim. Wyznał publicznie swoją wiarę i zniszczył sztukę. Oh gdybyś wiedział, co się działo?...

Ale Klodyon go już nie słuchał, trząsł się cały wzruszeniem wielkim. Porwał małego Festusa na ręce, który również był uradowany i wybiegł z domu.

Korbulon patrzył na nich, jak na ludzi obłąkanych.

— Dokąd biegniesz? — wołał do starca. — Co mam powiedzieć twojemu synowi, który oczekuje wiadomości o dziecku?

Starzec się zatrzymał.

— Powiedz, że stary ojciec go błogosławi, czczy i uwielbia. Powiedz mu, że to drugi dzień piękny w moim życiu... Niech święci aniołowie strzegą jego ukochanej głowy. Teraz spieszę z dzieckiem na ulicę Mammurii

do domu Marka Gabiniusza. Jeżeliś poczciwy człowiek, przynieś tam wiadomość o moim synu.

I pobiegł szybko jak dwudziestoletni młodzian.

Korbulon patrzył wciąż i podziwiał tę radość, która wątlęmu starcowi zdawała się dodawać sił olbrzyma... i szeptał z cicha.

— Dziwni to ludzie... ale szlachetni. Czyż wszystko co dobre i sprawiedliwe musi przejść tam, do tej sekty? Jakaż siła ich tam prowadzi? Ha, zobaczę przecie.

Była godzina zwana *dol*, już przed zachodem słońca. Miasto w tej stronie było puste, bo wszystek tłum wyłał się na pole marsowe, gdzie obchodzono święto Dioskurów modlitwami do gwiazd.

Korbulon zapukał do bramy więzienia.

— Czego tu chcesz? — zapytał głos stróża.

— Chcę widzieć Genezjusza.

— A czemeś ty dla niego?

— Przyjacielem.

— Wejdz.

Zdziwiła Korbulona ta dziwna życzliwość, którą dojrzał w stróżu dla więźnia.

Otworzono mu małą celkę. Skąpy blask światła rzucał do niej otwór w górze. Genezjusz leżał na pęku słomy, gdy ujrzał Korbulona, zerwał się doń szybko.

— Co porabia moje dziecko?

— Jest zdrowe i bezpieczne. Zabrał je twój ojciec na ulicę Mammuri.

— Oh, to dobrze! Dzięki ci.

— Kazał ci ponieść swoje błogosławieństwo, i prosił, abym mu zaniósł wieść o tobie.

— Jam szczęśliwy i spokojny. Powiedz im, że przyjmę wszystko, co mi zeszle wola mojego Boga. Ale pragnę chrztu i błagam ich, aby mi go udzielili.

— Ja cię ochrzczę Genezjusz, w Imię Boga Ojca, Syna i Ducha świętego — odrzekł stróż więzienny.

— Ty?

— Ja, bracie. Słyszałem od jowiańskich żołnierzy, którzy cię tu przyprowadzili, żeś zgotował taki tryumf Chrystusowi. Oh bądź uczczony i błogosławiony, Genezjusz.

Obydwaj histryoni patrzyli nań zdumieni.

— Dziwicie się, widząc chrześcijanina stróżem marmertyńskiego więzienia; dziwicie się raczej nieskończonemu miłosierdziu Przedwiecznego, które o najnędrniejszym nie zapomina robaku. Tu, w tej samej celi, przyjąłem chrzest z rąk męczennika Józefa, a dziś Opatrzność daje mi go spełnić na tobie, Genezjusz. Chwała Panu na wysokościach.

Genezjusz podał dłoń z rozrzewnieniem starcowi, a Korbulon zażądał natychmiastowego wyjścia.

Gdy się za nim zamknęły wrota więzienia, chciał biedz na ulicę Mammuri, lecz się zatrzymał w drodze i powrócił do domu.

Noc była jasna z rozsianymi po niebie srebrzystymi gwiazdami. Uszu Korbulona dochodziły dalekie echa śpiewów na Marsowem polu na cześć Dioskurów... i stanął mu w myśli cały ten obraz rozbestwionego tłumu, który tak często widział, a który po sobie zostawiał w duszy zawsze próżnię i niesmak jakiś, i teraz dopiero ją porównywał dwa światy.

Wszedł do domu i legł na łożu, lecz sen nie skleił jego powiek.

Słońce weszło i świat chrześcijański obchodził jeden z najpiękniejszych tryumfów.

Genezjusz, zamknięty w murach marmertyńskiego więzienia, był przedmiotem ich czci.

Stawiono go przed Dyoklecyanem.

Cezar patrzył nań długo i ciekawie, mierząc go od stóp do głów, jak się patrzy na okaz jakiś osobliwy i niezwykły.

Nareszcie z pewnem zniecierpliwieniem zapytał go szorstko:

— Dlaczegoś to uczynił?

— Tak mi nakazywała siła wyższa, której ulegam od czasu, kiedym poznał, czem jest chrześcijaństwo.

— Głupcze! Siła wyższa! I ty jesteś histryonem, człowiekiem, który włada sercami tysięcy, a nie potrafi zapanować nad swoim?

— Oh, cesarze, gdybyś znał to moje serce, wiedziałbyś, że dałem najwyższy dowód mej władzy nad niem, bo zdeptałem to, co ono umiowało tak bardzo, aby zejść do tłumu tych, którymi świat dziś gardzi, a którzy są przecież najszlachetniejszą, najwznośniejszą jego częścią...

— Nędzniku! na jedno moje skinienie ci wszyscy, których tak podniosłeś wysoko, padną i śladu po nich nie zostanie.

— I cóż z tego? — odparł spokojnie Genezjusz. — Zabijesz, cesarze, wszystkich, ale nie zabijesz ducha Bożego, który tem silniej się wzmoże... i porwie świat ten stary i jednym wieńcem miłości go obejmie. Oh, cesarze, gdybyś ty pojął moc Ducha bożego na ziemi! Gdybyś wiedział, jak tajemniczymi sieci wiąże serca ludzkie! Gdybyś zbadał te prawdy, które wygłosił Chrystus, a które ja zdobywałem po cząsteczce, zanim dojrzałem ich pełnię. Oh, cesarze, upadłbyś przed nimi i korzył się jak ja, jak wszyscy, jak korzyć się będzie świat cały!

— Te rzekome prawdy ja znam oddawna, bo mam żonę chrześcijankę i gardzę niemi, bo one są wyrazem motłochu. Nie miłość, ale siła jest spójnią wszystkiego. Nie przebaczenie i litość, ale groza kary utrzyma ludzkość w korbach. Nędzny, obłąkany histryonie, pogardziłeś bogami, którzy cię udarowali talentem i wzniesli ponad tłumy. Stałeś się mocarzem w twoim zakresie i rzuciłeś twoje berko pod nogi żebraków. Jeżeli cię tak obłąkała ta miłość dla nich, czemuś jej nie ukrył przed

światem, zamiast ją wyznać jawnie. Mogłeś skrycie być chrześcijaninem i jednocześnie służyć sztuce. Nie odgadłeś tej prawdy, która jest i będzie do końca świata wielką siłą w rękach ludzi, trzymających ster jakiegokolwiek władzy, a tą jest: Nie daj nikomu zaglądać wgłąb swej duszy, niech myśli twoje będą inne jak czyny, reszta jest — zwierzętami.

Histryon uśmiechnął się z politowaniem.

Cezar-histryon mówił dalej.

— Wiem, jesteś młody i śmieje ci się sława bohatera. Dowiodłeś wielkiej odwagi, rzucając tłumom wyzwanie. Przyznaję, że nawet byłeś piękny w tej chwili, boś ty uczeń Apolinarisa. Słuchaj, ja cenię ludzi talentu i gotów jestem przebaczyć ci. Kochaj sobie swoich chrześcijan, są to barany głupie wraz z swoim Chrystusem; ale dla świata musisz dać zadosyćuczynienie i wyrzec się bluźnierstw, któreś wygłosił wczoraj. Potem zadam ci lekką pokutę i wrócisz na swoje stanowisko.

— Nigdy, cesarze! Jakże ty nisko cenisz ludzi! Czy sądzisz, że dusza histryona niezdolna spełnić czynu bohaterskiego? Więc, według ciebie, niema prawdy na świecie, za którą ludzie życie kładą? Jest tylko fałsz, obłuda, komedia? Uderza cię jej potęga swoją pięknoscią, a przecież przekładasz nad nią lisią obłudę i podłe płaszczenie się gadu. Daruj, myślałem zawsze, żeś wielkim, a tyś właśnie lichym histryonem na scenie świata.

Dyoklecjan zerwał się z krzesła i wściekłym ruchem tygrysa poskoczył ku Genezjuszowi, wnosząc pięści w górę.

— Oh tak! takim cię widzieć pragnąłem — rzekł spokojnie Genezjusz. — Masz minę gladyatora.

— Precz! — ryknął cesar wściekły.

Tegoż dnia jeszcze dowiedział się Rzym, że Dyoklecjan podpisał dekret prześladowania chrześcijan.

Przyniósł tę wieść Antoniusz, syn Vopiscusa na ulicę Mammuri.

Przyjęto ją tam jako rzecz, której oczekiwano dawno, a która pod naciskiem Maksyminijana i Galera przyjść musiała. Nie umniejszyła ona radości, jakiej się oddawano z wyznania Genezjusza.

Grono znanych nam postaci było zebrane w świątyni, gdzie Kajus odprawiał dziękczynne nabożeństwo.

Wprowadzono tam Korbulona. Pierwszą osobą, którą histryon spostrzegł, był Apolinaris, klęczący i zaptopiony w modlitwie.

— Mistrzu? — rzekł doń nieśmiało.

Starzec nań popatrzył zdziwiony.

— I tyś tu Korbulonie?... Myślałem zawsze, że tu zawitasz kiedy.

— Ja przychodzę...

— Modlić się? Klęknij mój synu.

— Oh chętnie mistrzu i modlić się będę wraz z tobą. Ale teraz przynoszę wieści dla was o Genezjuszu.

— Zaczekaj mój synu. Msza święta dobiega końca, opowiesz mi.

Twarz Korbulona wyrażała niemy zachwyt.

Kajus błogosławił znakiem krzyża, który powtórzyli wszyscy... i dziwna! ręka Korbulona nakreśliła znak krzyża i powtórzył z innymi: W Imię Ojca, Syna i Ducha Świętego.

— Teraz słucham cię — rzekł Apolinaris.

— Genezjusz ma być ścięty w więzieniu mamertryńskim przed zachodem słońca.

— Kto ci to powiedział?

— Przybiegła do mnie Druzilla, której to oznajmił Rufus. I takie stworzenia na coś przydać się mogą.

\* \* \*

Słońce rzucało krwawy blask zachodu. Przed bramą mamertryńskiego więzienia stała gromadka ludzi.

Wtem jeden z nich zapukał do drzwi.

Ten sam stróż im otworzył.

— Czego żądacie?

— Zwłok Genezjusza.

— Będziecie je mieli za chwilę.

Z pomiędzy owej gromadki wysunął się człowiek podeszły w latach.

Był bardzo blady i wzruszony.

Gdy brama się otwarła i ujrzał ciało niesione przez dwóch postugaczów więziennych, zbliżył się do trupa, objął jego głowę i padł na miejscu. Serce mu pękło.

Był to Klodyon.

## XXVIII.

## E P I L O G.

Czytelnik chciałby wiedzieć, co się stało z resztą osób naszej powieści?

Jest ona bez końca, tak jak bez końca jest ten wielki grobowiec męczenników, co śpią w podziemiach starego Rzymu. Napróżno go zgłębiają badacze, prowadzi on ich dalej i dalej... i zostaje zawsze niezmierny.. niezbadany.

Wielką księgę ich męczeństw rozpoczyna Zuzanna, zamordowana z rozkazu Aureliusza przez jego sługę Macedoniusza. Dalej idą Kajus, Sebastyan i wielu innych.

Cezar-histryon dawał światu krwawe widowisko i pracował usilnie dla zbudowania trwałego tronu innemu władcy.



SZKICE TEATRALNE

113

## TRÓJKA.

Będąc jednego razu we Lwowie, odwiedziłem kolegę B-skiego. Był to stary kawaler, już wówczas emeryt, nieporównany gawędziarz, żyjąca kronika czasów i ludzi. Domator, zamiłowany w wielu zbiorach, a miał ich niemało, bo począwszy od jakiegoś hełmu któregoś z Bolesławów, jak mówił, a skończywszy na burce jakoby Mohorta. Wszystko to było ułożone, powieszane, okurzone starannie i ukłasyfikowane wedle dat z karteczkami. Historyę tych wszystkich rupieci słyszałem od niego już kilkakrotnie, więc obojętnie rzuciłem na nie okiem, gdy uderzyła mnie rzecz nowa, nie mająca nic wspólnego z jego zbiorami. Był to wypchany pies.

— To bardzo ładny pies — mówię, obejrzawszy go dookoła.

— Bah, gdybyś jeszcze wiedział jaka piękna dusza w nim była.

— Co mówisz, dusza?

— No, czy tam serce, czy instynkt, jak wam się podoba, a ja powiadam że dusza.

— Cóż to za gatunek?

— Wyżeł.

— Nie podobny do wyźłów.

— To jest wyżeł tak zwany boloński ze skrzyżowania ze szpicem. Pocziwy, kochany pies. A jakie on miał oczy!

— Cóż to znów za historia?

B-ski się uśmiechnął pogardliwie.

— Historia, historia! Są historye, o których się nie śniło naszym filozofom.

— Zapewne. (Lubił często szpikować Szekspirem). No, no, gadaj stary.

— Znałeś Jana Z?...

— Bardzo mało. Przypominam go sobie już przy końcu jęgo życia. To był szuler podobno?

— Thi, szuler, szuler. Ja z nim połowę życia spędziłem, i wiem dużo.

— Ja o tym psie chciałbym coś wiedzieć, którego dusza...

— Siadaj! Masz tu tytoń, papierki. A możeś już zapomniał kręcić, bo wy tam papierosy...

— Owszem, skręcę sobie z przyjemnością.

— Ten Z... pochodził z wysokiej szlachty wołyńskiej. Wstąpił do teatru z miłości do pięknej panny K... Ojciec go wyklął i wydziedziczył. Matka, bracia, siostry znać go nie chcieli i słyszeć o nim. Co to w owych czasach aktor!... Jedyne przywiązanie stworzeniem, które wywiózł z rodzinnego domu był ot... ten pies. Zwał go Astrem. Poznaliśmy się w trupie Gaweckiego. Przeklinał i nienawidził zawód, który go tyle kosztował, a porzucić go nie mógł. Dziwnem jednak przeciwieństwem ludzkich przeznaczeń, miał talent. Każda rola przychodziła mu łatwo. Nie pracował i nie męczył się jak drudzy, ale przeczytawszy sztukę, a potem swoją rolę razy kilka, tak potrafił się w nią wcielić, że dawał prawie skończoną postać. Mówię prawie, boć do końca zawsze będzie daleko, jednak zestawivszy go z otoczeniem, wyróżniał się z pomiędzy nich, jak koń rasowy między hetkami. Gdy skończył rolę, darł ją (Aster dogryzał w drobne kawałki), potem rozbierając się spluwał z pasją i szedł na karty.

W owych czasach, gdy zjeżdżał teatr do miasta, trzęsło się całe z uciechy, że będzie miało partnerów. Bywały trupy złożone z samych graczy. Kobiety złożyły i przeklinały komedyantów, mężczyźni byli zachwyceni. Co to ich obchodziło, co oni grali i jak grali na scenie, główna rzecz, jak grali w karty. A grali *arté*. Obłupali nieraz miasteczko z pieniędzy tak, że się i rok cały wylizać nie mogło. Mistrzem nieporównanym był i tu nasz Jaś. Gdy zasiadł do zielonego stolika, otaczała go zawsze galerya gawronów. Dawał im koncert. Aster patrzył panu w karty, kładł łapę na ramieniu, czekając na kares, którym go po każdej puli obdzielał. Wściekali się i złorzeczyli, przysięgając, że nigdy z nim grać nie będą, a on spokojnie zgarniał pieniądze i nad ranem wracał do domu. Wygrane wsuwał cichutko Zuzi pod poduszkę i kładł się spać zadowolony, że przyjemny ranek przepędzi.

— Dużo tam tego? — Budząc się, pytała Zuzia.

— No nie źle. Pocałuj mnie.

— Co te pasye z ludźmi nie wyprawiają — mawiano.

Jaś był typem pięknego mężczyzny. Czoło wyniosłe, myślące, oczy głębokiego szafiru. Na całej twarzy rozlana męska energia i spokój, jaki daje siła. Zdawało się, że taki pan stworzony do rządzenia ludźmi, a oto jedna podwika za łeb go trzyma.

Dla tej Zuzi tłukł się po najędzniejszych dziurach, bo w porządnem towarzystwie, gdzie miano dobre aktorki, nie dopuszczano jej do ról. Pielgrzymowali więc z miejsca na miejsce. Zuzia podobną była do wszystkich tego rodzaju Zuż. Miała w sobie coś z kotki, bo łasiła się i drapała zarazem. Miała ładny nosek, którego nozdrza się rozszerzały, ładne usta, ładne zębki. Gdy nadokuczała kochankowi tak, że go przyprowadzała do wściekłości, rzucała mu się na szyję, dusząc w uściskach. Aster wówczas mruzczał niewiadomo dlaczego.

Z tych uścisków trzeba było iść na scenę. Po przedstawieniu, już czekała na niego cała paczka, chcąc się odegrać. Znow im zabrał kilkadziesiąt rubli, ale na progu oświadczył, że z takimi kulfonami grać dłużej nie myśli, bo to wstyd. Bierze pieniądze dyabli wiedzą zaco.

— Szczęśliwy w grze — mawiano — ale zato...

Zuzia przyprawiała mu rogi.

Coraz z innym cięła sobie romansik, tak się jednak dyskretnie urządzała, że Jaś nie złapał jej nigdy. Raz się wprawdzie przytrafiło, że wchodząc w nocy spostrzegł, jak ktoś buchnął do ogrodu przez okno posłyszawszy go w sieni, Aster poskoczył, ale wrócił w krótko jakby zawstydzony, przynosząc w pysku tylko kawałek szmaty, była to poła od surduta. Sprawca umknął. Pies patrzył na pana jakby mówił: Bądź spokojny, znajdziemy go. Jaś wziął szmatę i schował starannie do kieszeni. Zuzia spała jak zabita.

Nazajutrz poszedł na próbę z swoim nieodstępnym towarzyszem, bo trzeba ci wiedzieć, że pies nigdy go nie odstępował. Siedział sobie najspokojniej za kulisami i nie spuszczał pana z oka, co spowodowało raz bardzo zabawne intermezzo, bo gdy w scenie, w której współgrający poskoczył do Jana i wziął go za bary jak kazała akcja, Aster wściekły rzucił się i poturbował nastpnika, tak, że musiano spuścić kurtynę. Dostał zato od pana admonicyę i odtąd zachowywał się, jak na rozumnego psa przystoi. A rozumnym był Aster. Wszak grał rolę psa z Montargis w melodramie, wyuczony przez swego pana. Tego ranka był bardzo niespokojny, naszczukiwał, tropił, zdawał się kogoś szukać, a gdy wszedł Korski, czarny charakter trupy, rzucił się nań. Wówczas Jaś wy dobył z kieszeni kawał udartej poły, owinął nią głowę Korskiego, kopnął go nogą i wyrzucił ze sceny. Patrzyliśmy zdumieni, nie wiedząc przyczyny tej całej awantury.

— To mój przyjaciel — powiada najspokojniej — dzieliłem się z nim kawałkiem chleba, a on łotr sięgnął po moje szczęście. Albo on, albo ja w tej budzie.

Korskiego wydalono, bo Jaś stanowił czoło trupy, i jakoś pomału zapomnieliśmy o tem, tylko Aster odtąd zostawał zawsze przy pani.

Naraz pies zachorował. Nic nie chciał jeść, stał się smutny. Jego śliczne oczy straciły blask, Jaś wezwał weterynarza. Ten go obejrzał, pokiwał głową i zabrał z sobą do domu.

Po paru dniach pies uzdrowiony zupełnie wrócił, ale Zuzia uciekła.

Jaś nie zastawszy jej w domu, naprzód gorzko zapłakał, potem nabił parę pistoletów i krzyknął na psa:

— Szukaj pani Aster, szukaj pani.

Pies pobiegł i stanął przed pocztą.

— Aha, pojechali, dziękuję ci.

Wziął extrapocztę i pobiegł za niemi.

Dognał ich o dwie mile, w żydowskiej karczmie przy wieczery.

Młodzian, syn adwokata B... zbladł i zadygotał cały. Panna Zuzanna siedziała spokojnie, uśmiechając się, snąc nie pierwszą była dla niej taka scena.

— Podjadłeś asan, to dobrze. Pójdiesz do Bozi nie głodny. Wybieraj!

— Co?

— No, przecie nie zastrzelę cię jak zająca, bom szlachcic. Stawaj!

— Pani Zuzanno — przebaknął...

— Namówiła cię do ucieczki. Chciała z ciebie zażartować, a tyś taki fryc, żeś się złapał. No dostaniesz zato nauczkę.

— Ale ja nie umiem..

— Nie umiesz strzelać, a cudze żony wykradać potrafisz.



— Ja nie wykradłem... pani Zuzanna sama...

— To ona ciebie wykradła?

— No, nie błaznuj, nie błaznuj — rzekła Zuzia za-  
dąsana. — Dosyć tej komedyi. Chciałam się przejechać  
trochę do Radomia i nakupić sprawunków na mój be-  
nefis, a pan Czesław mi towarzyszył, przecież ciebie od  
kart nikt nie ruszy. Czy miałam sama jechać?

— Ty, do Radomia, ładacznico, po sprawunki! Ale  
dosyć tego. Temu kanalii dam takie *memento*, że mu się  
pradziadek przyśni, a z tobą pogadamy.

— Siadaj!

Porwała go gwałtem i posadziła przy sobie.

— Czemuż pan nic nie mówisz i siedzisz jak mało-  
wany — rzekła odwracając się do młodziana.

— Czyż ja tu mogę przyjść do słowa wobec furji  
pana Z.

— Słucham cię piękny adonisie.

— Ja w istocie znając gwałtowność pańską, chcia-  
łem go uwiadomić...

Do karczmy wszedł żyd.

— Nu, czas jechać, bo jutro przed nocą niedosta-  
niem się do Warszawy, pakunków dużo.

— Do Warszawy — wrzasnął wściekły Jaś — pa-  
kunków dużo. To taka przejażdżka do Radomia?

— Uciekaj! — szepnęła Zuzia młodzieńcowi.

Nie dał sobie dwa razy powtórzyć, siadł na extra  
pocztę aktora i zniknął w cieniach nocy.

Pan Jan siadł przybity.

— I ja w tego potwora wierzyłem. Jam dla niej  
budował przyszłość.

— Jakąż to przyszłość zgotować mi chciałeś? Wię-  
dnę przy tobie. Chcę się pokazać na wielkim świecie.  
Pan Czesław obiecał, że mi wyrobi debiut w Warszawie.

— Pan, jej debiut?... Gdzież się podział ten łajdak?

— Siadaj i pomówmy rozsądnie.

— Uciekł! uciekł moją bryczką. Hej żydzie!

Ale zamiast żyda, weszło do karczmy dwóch szla-  
chciców, ośięgich zawadyackich minach.

— Pan Jan, i piękna pani Zuzanna, tu na popasie?  
Gdzież jedziecie? A to spotkanie!

— To nam niebo zgotowało taki bankiet, na tę  
drogę szelmowską, którą się tłuczem od sześciu godzin.  
Hej Marciu! przynieś wino! A ty żydzie dawaj co masz  
najlepszego. Ale cóżeś taki skwaszony? Przeskrobał coś  
pani. No, no, zaraz my to was pogodzimy.

Przy uczcie zapomniano o przykrej scenie. Zja-  
wiły się karty, bez których wówczas nie puszczano się  
w drogę. Pani Zuzanna poszła spać. Grano do południa,  
potem do wieczora z różnem szczęściem, jednak rezultat  
był taki, że pan Jan nietylko całą gotowiznę, ale konie  
i powozik zabrał szlachcom, pojechali dalej żydowską  
budą, a aktor ich powozem wraz z swoją połowicą wró-  
cili do Kielc.

Takich to scen bywał bohaterem nasz Jaś.

Ten los niegodziwy, który mu Zuzię na kark wpa-  
kował, wynagradzał go mamoną.

Zajechali czwórka z wielkim szumem przed teatr.

Zagotowało się w mieście.

— To rozbójnik! — zakrzyczały kobiety -- rozbija  
ludzi na publicznych gościach.

— Nie, to dzielny człowiek — odpowiadali męż-  
czyźni — dobrze że tych szlagonów tak wytrzepał.

Za sprzedany ekwipaż wyjechał Jaś z Zuzią do  
Warszawy.

Ani myślał o karierze artystycznej, uległ tylko na-  
leganiom kobiety.

I oto stała się rzecz nadzwyczajna. Jaś otrzymał  
debiuty, grał w trzech odrębnych rolach i podobał się  
nadzwyczajnie. — Zuzia na próbie okazała się kulfonem,  
więc jej odmówiono występu.

Dyrekcya ofiarowała mu *engagement*.

Jeden z braci oświadczył, że gdyby porzucił Zuzię i zechciał pracować na warszawskiej scenie, powróci do łask ojcowskich.

Wszystko to Jaś odrzucił, bo Zuzia chciała być artystką. Nie powiodło się jej w Warszawie, to powiedzie gdzieindziej.

Powlokła go z sobą jak ofiarę.

Jednakże Jaś odnalazł w sobie artystę. Przekonał się, że ma talent. Począł kochać sztukę, i poprzysiął sobie, że dla niej żyć i pracować będzie.

Pracował gorliwie. Zato bieda zagłądała do niego oknem i drzwiami.

Do teatru nie chciano chodzić. Aster znosił w koszyku bułki od przekupki, a gdy i na nie pieniędzy mu nie dano, póty wartował, dopóki mu baba pieczywa nie włożyła, a gdy zniecierpliwiona odpędziła psa, on jej chleb chwycił i przybiegł z nim do pana.

Znano tę trójkę wszędzie i mawiano:

— Pies mu się udał, ale co pani, to nie bardzo.

Nareszcie Aster stał się głośnym.

Do miasteczka przyjechał cyrk, ale i on ogólnej apatyi rozbudzić nie mógł. Naraz między tresowanymi psami poznano Astra. Jakim sposobem się tam znalazł, to było dla wszystkich tajemnicą, dość, że publiczność poznawszy w arenie cyrkowej swego ulubieńca, powitała go grzmotem oklasków. Aster wykonywał wszystko to, co jego koledzy, tylko zręczniejszy i z większą precyzją.

— Aster! Aster! — nawoływaniu nie było końca.

Pies się kłaniał, potem jednym susem skoczył, obaczywszy swego pana.

Do cyrku waliły tłumy aby podziwiać Astra, stał się atrakcją.

Bez niego nie było przedstawienia.

Nastaly czasy, że Aster żywił ich dwoje.

Pani Zuzanna wymogła na Jasiu, że przedsiębiorca płacił za każde przedstawienie.

— Żyją za psie pieniądze — krzyczano w całym mieście.

I znów fortuna obróciła swoje koło.

Lwów, słysząc o tryumfach Jasia w Warszawie, przyjął go na bardzo korzystnych warunkach i zaangażował dlań Zuzię.

Stary dyrektor Nowakowski, po kilku występach, przeznaczył mu zupełnie inne *emploi*. Kazał grać role charakterystyczno-komiczne. Po paru miesiącach okrzyknięto, że jest drugim Żółkowskim.

Pracował i kształcił w sobie artystę z ogromnym zapamiętaniem. Kart zdaje się zapomniał prawie. Gdy go ciągniono, wymawiał się brakiem czasu.

Zuzi z początku dawano role, ale jak jedną i drugą zepsuła, musiała poprzestać na subretkach i służących. A ona chciała błyszczeć, chciała zadawać szyku, jak w Kielcach i Opocznie. Jaś chodził w wytartych sukniach, byle ona miała się w co ubrać.

— Tego za mało, ty musisz grać, żebym ja żyć mogła.

— Kobieto! nie przyprowadzaj mnie do wściekłości. Nie pchaj w błoto. Jestem artystą nie szulerem.

— Jaki ty tam artysta. Znam tuzin lepszych od ciebie. Tyś artysta przy zielonym stoliku.

Grozila ucieczką, wyliczała mu cały tuzin wielbieli. Hrabia X. szalał za nią. Baron Z. chce ją powieźć do Paryża. Mały Gogo rzuca jej pod nogi majątek.

— Patrz, co ja ci poświęcam!... i zaco? Stanowiska żadnego przy tobie na scenie zdobyć nie mogę, bo nie mam żadnego poparcia, żadnej protekcji, więcej dbasz o twego psa, niż o mnie.

Tu zwykle towarzyszyło kopnięcie, które biedny Aster znosił z pokorą.

Kilku wielbicieli dało dlań sutą kolację w Hotelu Georgea. Po wieczerzy, przy kieliszkach, cóż można innego zrobić, jak zasiąść do kart.

Tężyzna ówczesna grała na śmierć i życie.

Jaś podniecony zasiadł do stolika, ale jego olimpijski spokój, którym tłukł swoich partnerów, gdzieś przepadł. Był roztargniony. Przegrał wszystko. To go wprawiło w wściekłość. Grać! grać! choćby o duszę.

— Postaw swojego Astra.

— Nigdy!

— Ej, co tam Astra, stawiaj Zuzię — rzekł podпиты jeden z złotych młodzieńców.

— Czyście poszaleli?

— On ma rację, niedawno temu Lord Wuttingham przegrał swoją metresę. To się zdarza.

— Idźcie do wszystkich dyabłów.

— No, co ci to szkodzi. Odegrasz się i nas ogolisz do nitki.

— Dosyc tych żartów.

— Ale na honor, to nie żarty. No panowie, na wiele ją otaksujemy?

— Poddeptana już dyabło, ale można ją liczyć jakieś tysiąc guldenów.

— Przestańcie — krzyczał Jaś — bo was pozabijam.

— Tysiąc guldenów? Ona ma zęby wprawione.

— Nie wszystkie, nie wszystkie. Dwa, czy trzy.

Rozbierano mu ją, taksowano.

— Niech będzie tysiąc pięćset.

— Za drogo.

— Wiecie! Niech będzie tysiąc dwieście.

— Basta! Tysiąc dwieście. Przybito.

— Siadaj! Ładna sumka, odegrasz się.

W głowie mu waliło jak młotem. Wreszcie doprowadzony do ostatniej passyi, pałający zemstą dla tych profanów, którzy mu jego Zuzię bezcześcili.

— Ach ograbić ich, ograbić! i rzucić Zuzi pod nogi wszystkie ich pieniądze.

Zasiadł do gry, szczęście zrazu mu się uśmiechnęło, ale nie na długo. Począł podwajać, potrajać stawki, przepadło. — Przegrał Zuzię.

Gdy wytrzeźwiał, obaczył, jak ohydny spełnił postępek. Trzeba było latać po mieście, aby lichwiarza złapać, który na dwudziesty procent, z poręczeniem dyrektcy, pożyczył mu tysiąc dwieście guldenów.

Rzucił je w twarz partnerowi, z czego wywiązał się pojedynek. Jaś świsnął przeciwnikowi kulą ponad uchem i komedia skończona.

Gdy po powrocie do domu zobaczył Zuzię, wydała mu się wstrętną. Popatrzał na swego wiernego przyjaciela. Stanęła mu w pamięci jej zbrodnia. Zabrał pod pachę role i pomimo płaczów, obelg, gróźb, spazmów wyszedł, aby już do niej więcej nie wrócić.

Ta hulaszczka noc stanowiła epokę.

Kart do rąk już nie wziął nigdy, a oddał się cały sztuce, której został najgorliwszym sługą.

Niestety, przyszło to już zapóźno. Pożarły go suchoty w najpiękniejszym rozkwicie jego talentu i dziwna rzecz... ludzie znali go tylko jako zapamiętałego gracza, który nawet żonę przegrał w karty, o jego zasługach scenicznych przemilczano.

Za pogrzebem szedłem ja i Aster. Publiczność przypatrywała się obojętnie, mijając ten wymowny orszak. Koledzy woleli siedzieć w knajpie.

Nazajutrz przyszedł do mnie grabarz z Łyczakowa.

— Panie! rzecz dziwna — powiada — ten psisko zdechł na grobie swego pana.

— To w porządku — odrzekłem — i zająłem się Asterem.



## MECENASI.

Czy my jeszcze potrzebujemy mecenasów? Zdaje się, że sztuki nasze zdobyły sobie grunt pewny, i że pięknie namalowany obraz, wspaniała rzeźba lub utwór muzyczny, znajdują odbyć jeżeli nie u nas, to na wielkim rynku świata, że teatr dobrze prowadzony, znajdzie zawsze i wszędzie publiczność gotową go wysłuchać... Tak, ale to tylko zdaje się, bo rzeczywistość niestety inaczej mówi. Dobry obraz musi długo czekać i tułać się po wystawach, zanim go wreszcie kupi... mecenas, aby o nim mówiono, że podpira krajową sztukę, rzeźby nie kupi nikt, bo jej niema gdzie postawić, zwykła wymówka mecenasów, a utwór muzyczny, jeżeli rzeczywistym nacechowany talentem, oceni jedynie zagranica i tam za niego zapłaci, bo tu się dlań mecenas nie znajdzie. Teatr zaś... teatr wszędzie musi kołatać do łaski mecenasów, żeby rozebrali łoże w abonamencie, bo z resztą miejsc jakoś sobie poradzi.

Tak się dzieje dziś, a cóż dopiero lat temu czterdzieści. Gdzie nie było mecenasów, nie było poco teatrówi zjeżdżać do miasta. W każdym jednak bogdaj najmniejszym, znalazł się na szczęście taki pan wpływowy, który kazał publiczności zapełniać teatr.

Kazał zapełniać? Tak jest. Jakich on tam hasań użył, w imię czego ich zobowiązał, w to nie wchodzę, dosyć, że teatr musiał być pełen, a rzeczą dyrektora

było, ażeby tę publiczność, która przysła pod presyą, zachęcić tak, aby zasmakowała w tym teatrze i przysła dobrowolnie.

Tacy ludzie byli dla teatru prawdziwą opatrnością. Dyrektor nim zjechał z swoją trupą, obszedł przedewszystkiem mecenasów. Składali się oni prawie zawsze z adwokatów, czasem z właścicieli miejskich i przemysłowców, czasem z pobliskich panów szlachty, ale przeważnie ze sług Tamidy. Jak tacy rzekli: Przyjeżdżaj pan, postaramy się, to już pan dyrektor miał być zapewniony.

Zacni, szlachetni, bezinteresowni opiekunowie sceny! Nie podziękowano wam nawet za wasze starania i trudy, a często zapłacono niewdzięcznością! Mógłbym tu wyliczyć całe ich zastępy we wszystkich miastach. Urosłaby lista olbrzymia, ale nie byłiby mi zato wdzięczni z pewnością, bo jak dyskretnie i bez rozgłosu spełniali dobro, tak też i wieści o nim słuchać nie radzi. Nie mogę jednak pominąć milczeniem tych, którzy już zeszli z tego padołu, a za życia tak się dobrze zasłużyli tej scenie. Byli to: w Stanisławowie, adwokat Emino-wicz i panowie Romaszka, w Czerniowcach adwokaci: Kamil i Słabkowski, w Kielcach Stumpf, w Lublinie Dr Ulanowski. Troszczyli się oni o jej byt, jak o swój własny.

Z nich wszystkich jednak największe dla niej ponosił ofiary pan Z., o którym opowiem.

Był to bogaty kupiec i przemysłowiec, przytem właściciel kilku majątków ziemskich. Postać bardzo poważana i wpływowa w mieście i okolicy. Człowiek niezmiernie czynny, pracowity, praktyczny, a przytem kawalek filantropa. Teatr lubił o tyle, o ile był dźwignią umoralnienia mas. Nie rozumiał i nie chciał zrozumieć sztuki dla sztuki. Zadaniem teatru kształcić i umoralniać, powiadał, o ile je spełnia, trzeba go wspomagać, gdy mu się sprzeniewierza, gdy idąc za prądami chwili, działa

na zmysły i poziome instynkta budzi, nie wart istnienia, niech przepada.

On pierwszy założył tanią kuchnię dla biedaków. Utrzymywał doktorów, płacił apteki, posyłał biedne dzieci do szkoły, dawał zapomogi robotnikom i fabrykantom. Był inicjatorem całego handlowego i przemysłowego ruchu.

Gdy dyrektor przyjeżdżał z trupą, zgłaszał się do pana Z. i przedstawiał mu repertuar. On go zatwierdzał, wykreślał co mu się nie podobało i dziwić się trzeba, że przy tylu zajęciach znał doskonale literaturę i wiedział o całym teatralnym ruchu.

— No, panowie, trzeba ograniczyć grę w karty — mawiał do swoich znajomych lub klientów. — Przyjechał teatr bardzo dobry, jak na nasze miasteczko. Raczcież doń chodzić z żonami i córkami.

A do pań się odzywał:

— Waszej opiece polecam teatr, starajcie się odrywać mężów od tego brzydkiego nałogu, gdzie tracą czas, zdrowie i pieniądze. Całuję wasze rączki i gotów jestem dla was do wszelkich poświęceń z mojej strony.

Nie zrobić czegoś, o co pan Z. prosił, było to narażać się opinii całego miasta i okolicy, chociaż więc zżymano się i klęto po cichu, do teatru chodzono, bo nużby kogo brakowało... obrabiałyby go złośliwe języki tak, że musiałby się pod ziemię chować.

Pan Z. zjawiał się w swojej łoży przy scenie i słuchał uważnie sztuki do końca, a patrzył na wszystkich i na wszystko.

Podczas antraktu przywoływał czasem którego z aktorów.

— Pan jesteś źle ubrany. Rola którą grasz, wymaga ładnej garderoby. Nie czujesz się swobodnym. Publiczność się podśmiewa, zamiast słuchać uważnie. Ile pan masz gaży?

— Siedmdziesiąt reńskich.

— Ile płacisz za mieszkanie?

— Piętnaście.

— Ile za stół?

— Dwadzieścia pięć.

— Razem czterdzieści. Zostaje ci trzydzieści na śniadanie i kolacye, a kolacye lubicie dobre, na ubranie, na papierosy... a gdzie inne rzeczy. To za mało. I cóż pan robisz gdy ci nie wystarcza?

— Pożyczam.

— Na wieczne nieoddanie, czyli wyrażając się językiem waszym »naciągasz pan«. Nie gniewaj się, nazywam rzeczy po imieniu.

Gdy w ten sposób objechał wszystkich, brał się do dyrektora.

— Pragnę wam wszystkim być pomocą, należy mi się otwartość z pańskiej strony. W interesach trzeba być czystym. Pokaż mi pan swój bilans.

Po przejrzeniu okazało się naturalnie, że dyrektor musiał dopłacać co miesiąc z jakie trzysta reńskich.

— Z czego to pan dokładasz?

— Pożyczam.

— A oddajesz?

— Jak mogę łątam. Weksle ciągle odnawiam.

— Ile masz wszystkich długów?

— Do sześciu tysięcy.

— Przyszlij pan wszystkim do mnie. Zapłacę pańskie długi, a aktorom podwyższysz pan gażę w tym stosunku. Proszę.

I tu ku wielkiemu zdziwieniu dyrektora wydobyl arkusz, gdzie wszystkie gaże od najwyższej do najniższej były spisane.

— Ależ szanowny panie, to ruina.

— Dlaczego?

— Ja nie jestem w stanie płacić takich gaż.

— Owszem, obliczyłem wszystkie spektakle. Po opłaceniu gaży i rat amortyzacyjnych długu pozostaje panu czystego dochodu pięćset reńskich miesięcznie. Czy to mało?

— Ależ ja nie marzyłem o czemś podobnem. Czy jednak wszystkie przedstawienia mi dopiszą?

— To już moja rzecz. Żegnam pana.

Jakiż rozruch w teatrze.

— A cóż to za złoty mecenas!

— To mi człowiek!

— Mój Boże, jak on wejrzał w każdy szczegół, nawet mnie biedaka nie pominął.

To mówi chór męski.

— Phi, to wystarczy na rękawiczki.

— I to pytanie.

— Cóż taki kupiec zna się na potrzebach kobiecych.

— Taka gaża! niech sobie inne biorą. Ja wyjeżdżam do Przemysła.

— Jeżeli oni myślą, że tu zostanę.

A to chór dam.

Zgodzono się na jedno. Że wypada iść podziękować panu Z.

Ale pan Z. nikogo nie przyjął i zapowiedział, że z teatru nikogo, prócz dyrektora przyjmować nie będzie.

Nazajutrz panie A. B. C. podały się do dymisyi.

Wpada zrozpaczony dyrektor.

— Panie! dobroczyńco nasz. Co robić?

— Daj im pan dymisyę.

— A któż grać będzie?

— Te, które zostają.

— Ja nie złożę z niemi ani jednego przedstawienia.

— To się pokaże. Proszę mi przedłożyć sztuki i personal.

I pan Z. wraz z dyrektorem teatru układali nowy repertuar.

I cóż się pokazało?

Że teatr tylko do połowy zapełniono, bo powstało w mieście stronnictwo detronizowanych artystek, składające się z młodzieży i wszelkiego gatunku lowelasów, które dało sobie słowo, aby do teatru nie chodzić, dopóki pań A. B. C. nie przeproszą i nie podwyższą im gaży.

— Taki to ja mam z niemi krzyż pański — skarżył się dyrektor przed mecenasem.

— Tak. Największą plagą teatru są kobiety.

— Ale też są najpiękniejszą jego ozdobą.

— Mniej ozdób panie, mniej szychu, a więcej charakterów tu potrzeba.

— Skąd ich wziąć?

— Staraj się pan. Ja dopłacać będę, dopóki pan ich nie wynajdziesz.

Mecenas płacił, ale panie A. B. C. nie próżnowały. Znalazły pana, bo u nas zaraz znajdzie się taki, co na złość zrobi drugiemu, który się wystarał o pozwolenie i dawał przedstawienia w sali balowej z detronizowanymi aktorkami, przybrawszy kilku przekupionych aktorów. Miało więc miasto dwa teatry. Teatr pana Z., gdzie dawano poważny repertuar i teatr z secesyą, gdzie widzieć można było lekkie i tłuste farsy, wykluczone z repertuaru pana Z. Tu było pełno i wesoło, tam smutno i pusto.

Pan Z. jednak nie był człowiekiem, któregooby takie przeciwności mogły zniechęcić, szło tu wreszcie o dobrą sprawę, a dla takiej warto coś poświęcić. Jego praktyczny zmysł wynalazł sposób, który musiał zabić konkurencyę.

Sprowadził artystki ze Lwowa i Krakowa, naprzód na gościnne występy za drogie pieniądze, a potem je angażował. Secesya w łeb wzięła. Ten figiel kosztował naszego mecenasą okrągłe 50 tysięcy guldenów.

— Nauczyłem się wiele rzeczy — mówił. — Naprzód, jeżeli kiedykolwiek w świecie przyjdzie do reformy teatru, a zreformować go kiedyś muszą, jeżeli niema popaść w zdziczenie, trzeba będzie zacząć od kobiet. Aktorki nie mogą być kapłankami szychu i blagi, ale kapłankami sztuki. Będą ludzie wyznaczać konkursy, i nie ta, co ma najwięcej talentu, ale ta, co się odznacza charakterem, weźmie najwyższą nagrodę. Talenta są rzadkie i widzimy, że bez nich teatr doskonale istnieje może, a uczciwych i sumiennych pracowników nigdy w nim nie zbraknie.

— Panie dobrodzieju — odpowiadał mu skromnie nasz dyrektor. — Ludzie są ludźmi i do końca świata będą takimi jak dzisiaj. Mogą się zmienić obyczaje, ustawy, prawa, ale serce człowieka zostanie po wsze wieki tem czem jest... sercem. Będą nim wiecznie szarpać namiętności. Aktorzy to są właśnie ludzie, którzy te namiętności oddają na scenie i im który ma większy talent, tem je oddaje wierniej i potężniej. A czy można je oddać, nie doświadczając samemu ich wzruszeń? Nie można. Wypadnie więc z tego, że oni żyją podwójnem życiem, na scenie i na świecie. A kto żyje podwójnie, ten daje podwójną sumę wzruszeń i namiętności, czyli wyrażając się językiem pozytywnym, są to ludzie niepo czytalni, nie odpowiadający za czyny swoje. Powiesz mi szanowny mecenasie, że na to jest rozum, aby je trzymać na wodzy, ale rozum, tak jak i talent, to rzadkie dary Boże. Najczęściej idą one ze sobą w parze i wtedy dają kwiat piękny, który jest ozdobą i zaszczytem każdej sceny. Gdyby nie było talentów, nie byłoby i teatru. One to entuzjazmują tłumy i wszczepiają w dusze ludzkie zamiłowanie do sztuki. Ta druga nasza połowa, na którą jesteś tak rozgoryczony szanowny mecenasie, ma jeszcze to na swoje usprawiedliwienie, że jest o wiele podatniejszą wszelkim wzruszeniom serca.

— Bardzo to pan ładnie wywodzisz, ale czemuś nie zapobiegł temu, nim straciłem tyle pieniędzy.

— Chciałem, ale szanowny pan uniesiony słusznem zresztą oburzeniem, że nie umiały ocenić jego ofiary, zakazał mi wchodzić we wszelkie z niemi układy i wywalić je z teatru.

— Czyli, zem popełnił głupstwo?

— Tego nie powiem najszanowniejszy dobrodzieju nasz, ale sumując to wszystko, com tu o aktorach wypowiedział, wypada ich mierzyć innym zupełnie łokciem, niż zwyczajnych ludzi, i że stosowanie do nich regulaminów takich, do jakich stosować się musi zwykły śmiertelnik, nie prowadzi do pożądanych rezultatów. Działać trzeba cierpliwie i rozważnie.

— To pan sobie prowadź cierpliwie i rozważnie, ja na to nie mam czasu. Chciałem wam zrobić dobrze, a popełniłem niedorzeczność. Rządźcie się sami i dajcie mi pokój.

— Niechże mnie Bóg uchwowa, abym tą mową moją obraził dobrodzieja naszego. My mamy się rządzić sami? A cóżbyśmy poczęli bez pańskiej opieki. Trzymaj i nadal wodze nad nami, tylko pozwól się przebłągać. Niech one wrócą do łask twoich.

— Kto?

— Te, któreś wywalić mi polecił.

— Czyś pan sfiksował? Więc cała pańska elokwencja była skierowana po to tylko, aby przyjąć te awanturnice, które zaburzyły całe miasto i przyznać się ze skruczą, że dobra sprawa nie była dobrą, że one miały słusność za sobą? Idźże mi pan z Bogiem i niech nie słyszę więcej o was i o waszym teatrze.

Pan Z. wyszedł, trzasnąwszy drzwiami i zostawił dyrektora jak zmytym.

Pomyślał chwilę, podrapał się ręką po brodzie i odsapnął.

— On ma racją, ale i ja ją mam. Oj te baby, te baby. Ha zobaczymy!

\* \* \*

Zdawało się, że już droga do kieszeni mecenasa zamknięta, a w takim razie z miasta wędrować trzeba, a tak im tu było dobrze, teraz publiczność rozwydrzona. Patrzy i podziwia artystki nowo zaangażowane, ale chciałyby widzieć i te, co wywołały burzę. Jakby to dobrze wyglądało, żeby zespolić te siły. Czyby to nie można tego zrobić?

— Wiecie co — powiada pani adwokatowa M. — trzeba się udać do pani Z., to anioł kobieta, a na męża ma wpływ ogromny, jeżeli kto, to ona nam tu przyjdzie z pomocą i pogodzi zwaśnione strony.

Pani Z. była rzeczywiście kobietą aniołem, jak ją słusznie nazywało miasto. Niejedna piękna myśl wprowadzona była w czyn za jej sprawą. Każde ludzkie cierpienie znajdowało u niej posłuch zawsze, to też u jej drzwi roіło się od proszących. Nie mieli dzieci, bo takim zwykle skąpi ich przeznaczenie, jak gdyby ich sobie wybierało dla miłosierdzia. Cóż naturalniejszego, jak zwrócić się do niej i błagać o wstawiennictwo do mecenasa.

I oto pewnego poranku zjawiły się u pani Z., trzy gracye ubrane czarno jak pokutnice, żebrząc jej łaski i prosząc o wstawiennictwo.

Zapłakać rzewnie i roztkliwić, któraż tego nie potrafi, a one tak pięknie umiały płakać, że rozplakała się razem z niemi i pani Z.

Na taką to scenę trafił pan domu.

— Patrz Stanisławie — mówi pani Z., zalewając się łzami — te biedne pokutujące kobiety przyszły cię prosić o przebaczenie, do ich prośby i ja moją dołączam. Daruj im to zapomnienie i przypuść do łask swoich.

Pan Z. podjął z dobrocią żonę i otarł jej łzy.

— Ja nie mam co przebaczać, tak jak i te panie nie mają zaco mnie przepraszać. Powiedziałem już dyrektorowi, że mu zostawiam zupełną swobodę i nie chcę więcej o tem słyszeć. Mój czas jest drogi.

— On nie chce, nie może nas angażować bez pańskiego słowa. Racz je pan łaskawie wyrzec, wszak tu chodzi o byt nas wszystkich.

— Pieniądze, które wydałem na wasz teatr, były własnością biedaków, dla których pracuję, ale ponieważ ja nigdy nie zostawiam mojego dzieła w połowie, więc już poczyniłem starania, aby teatrowi waszemu wyznaczono subwencyę. Oczekuję decyzji lada dzień, a tymczasem płacić będę wszelkie niedobory. Raczcie panie mu to oświadczyć.

Trzy gracye upadły do nóg wspaniałemu mecenasowi, każda w innej figurze. Zrobiły takie oczy, któreby kamień poruszyć mogły i odeszły, uroniwszy parę słodkich łez wdzięczności.

Pani Z., patrząc na nie z boku, uśmiechnęła się z politowaniem.

— To bardzo biedni ludzie.

— Tem biedniejsi, że będąc przedstawicielami uczuć wzniosłych, nie potrafią zachować własnej godności.

— A nie mawiałeś często: że, być dobrym, szlachetnym, wzniosłym może tylko ten, co ma worek wypchany złotem, bieda nie uszlachetnia ludzi, ale ich deprawuje.

— Nie zawsze, nie zawsze. Gdybyś wiedziała, jakich nadludzkich poświęceń jestem nieraz świadkiem! Żadnemu z panów dramaturgów ani się zamarzyło o nich, a przecież fakta są faktami.

— O tak, dla nich, dla nich nam pracować trzeba!





## M A T K A.

Miała lat dziesięć, kiedy matka umarła w szpitalu. Ojciec ją bił, bo utrzymywał, że nie jest jego córką. — Uciekła.

Tułała się. Raz tu przenocowała, drugi raz ówdzie. Tu ją wzięto na tydzień, tam na dwa... i tak żyła. Grywała dzieci, potem gdy podrosła, służące i subretki. Wątkę to było, zabiedzone, ale regularnych rysów, o profilu wschodnim, z prześlicznymi oczami.

W szesnastym roku uwiódł ją aktor od niedawna będący w trupie, były subiekt cukierniczy. Kabotyn od ciemnej gwiazdy. Ile razy widziałem go na scenie, robił na mnie wrażenie pana z czekolady. Na wargach miał jak gdyby cukier, bo się ciągle obliżywał.

Biedna Emilka oddała mu się z nędzy.

Gdy została matką, rozkwitła i rozwinęła się jak kwiat prześliczny. Zawsze smutna i zamknięta w sobie, stała się naraz kobietą pełną wdzięku i ożywienia. Na śniadej twarzyczce rozkwitł ciemny rumieniec róży.

Kabotyn począł nią frymarczyć, więc się z nim rozstała, zabrawszy dziecko.

Po upływie tygodnia, gdy wróciła po przedstawieniu do domu, nie znalazła Maniusi, ale na ciemnym stole błyszcząca karteczka białą plamą. Przeczytała: »Jak mi dasz 300 guldenów zwrócę ci Maniusię«.

Wybiegła na pół obłąkana krzycząc:

— Maniusię mi zabrał! Maniusię! Ulitujcie się na demną.

Wpadła do restauracyi, gdzie często z nim bywała na kolacyach. Zastała tych samych panów, którzy im fundowali.

— Maniusię mi zabrał ten łotr, żąda odemnie 300 reńskich.

— Ha! ha! ha! — zaśmiał się jeden — dobrze się wziął do rzeczy.

— Sprytna bestya — przywodził inny.

— Wiecie co? Złożmy się na wykupienie Maniusi.

— Ja sam płacę, okrutna Emilio, pozwoli pani?

I nie czekając na pozwolenie, położył na stole trzy papierki.

Emilka je porwała i wybiegła.

Odzyskała Maniusię, ale nie na długo. Kabotyn wynalazł sobie sposób zarobkowania.

Nie pomogły wszystkie sposoby ostrożności, jakimi Emilka otaczała swoją córeczkę. Nie pomogła interwencya policyi.

Ile razy widzieliśmy Emilkę spłakaną, byliśmy pewni, że jej porwano Maniusię.

Oburzenie na tego łotra nie miało granic. Wypędzono go z teatru, bo aktorzy wręcz oświadczyli, że grać z nim nie będą.

Emilka odetchnęła. Zda się straszna dusząca zmora, która jej leżała na piersi i ssała krew, ustąpiła. Oddała się z zapałem pracy i wielkie czyniła postępy. Co głównie odznaczało ją między innymi, to ładne maniery i pewna dystynkcyja. Skąd ich się nauczyła? Gdzie widziała te panie, które tak doskonale imituje na scenie. Nie napróżno miała takie śliczne oczy. Widziała to, czego inne dopatrzeć nie mogły.

Maniusia już podrosła tak, że Matka zabierała ją do teatru. Była do niej jak gdyby przyszyta, bo bojaźń

porwania dziecka nie ustała. Kabotyn dręczył ją listami, na które odpowiedzią były pieniądze, jemu posyłane.

W kulisie miało dziecko swoje krzeselko, ażeby matka nawet w czasie gry miała ją przed oczami.

— Ej, zobaczy pani, że ta Maniusia wybiegnie kiedy na scenę i będzie skandal.

— Nie... moja Maniulka jest mądra, ona tego nie zlobi, prawda moje złoto? moje kochanie?

— Tak mamusiu.

Graliśmy »Intrygę i Miłość«. Luizą była Emilka. W wielkiej scenie drugiego aktu, kiedy prezydent napada dom Milera, kiedy Ludwika słania się zemdlona na krzesło, wpada na scenę Maniusia krzycząc:

— Mamo! mamusiu... co oni ci chcą zlobić?

Ryk w teatrze nie do opisanania.

\* \* \*

W kilka lat spotkałem Emilkę we Lwowie. Gdy mnie zobaczyła klasnęła w ręce.

— Maniusia moja na pensyi... Aha!

— Bogu dzięki! Jesteś dobra matka, doczekasz się zato z niej pociechy.

— Moje drogie, ukochane dziecko.

Wieczorem byłem w teatrze. Wyobraźcie sobie moje zdziwienie, gdy zobaczyłem Kabotyna grającego z Emilką sztukę: »Podstęp pana Kapitana«.

— Są tu razem, więc się połączyli?

— A dla czegożby nie mogli się połączyć?

— A no zapewne.

Wyszedłem, aby nie patrzeć na tę wstrętą dla mnie figurę. Poszedłem za kulisy, aby się od niej coś dowiedzieć.

— Musiałam — powiada do mnie ze łzami — dla nazwiska dziecka. Wzięliśmy ślub, inaczej Maniusi nie przyjęliby na pensję.

— No i żyjecie z sobą?

— Ach, jakie to życie gorzkie... ale dla niej, dla mojej stokrótki.

Łzy mi się zakręciły w oczach i wybiegłem na świeże powietrze.

Grałem z Emilką moje gościnne role. Wyrobiła się z niej znakomita aktorka. Czy to jako Porcyra w »Kupcu weneckim«, Amalia w »Zbójcach«, Małgorzata w »Safandulach«, Adryanna Lecouvreur, zawsze była doskonałą. Czarowała zaś głównie wdziękiem i owym tonem wielkiej światowej pani. Nigdy żadnego ruchu niesmacznego, wszystko było ładne, wszystko miało rysunek. I dziwna rzecz, miała więcej wielbicielk niż wielbicieli. Chociaż i mężczyźni nie byli obojętni, ale przeważnie panie nasze były jej przyjaciółkami.

Przyjmowano ją po domach.

Cieszyłem się jej powodzeniem, jak gdyby mojem własnem, bo zasługiwała na nie pod każdym względem.

Pewnego wieczoru, graliśmy znów »Intrygę i Miłość«. Ta Intryga była fatalną dla Emilki. Aktorzy mają swoje sztuki, które im nieszczęście przynoszą. Popytajcie tylko, każdy albo każda ma swoją Intrygę.

W antrakcie za kulisami rozlega się straszny krzyk Emilki. Słyszemy jej wyrazy:

— Oh, któż mnie uwolni od tego nędznika! Boże! czy nie masz piorunu, aby uderzyć w ten łeb niegodziwy?

— Cicho, ty komedyantko, nie rób scen — odzywa się chrapliwy głos Kabotyna.

— Precz! precz!

— Pamiętaj, będziesz żałować tego. Do Maniusi ja mam takie prawo jak i ty.

Wpadliśmy do garderoby.

— Uwolnijcie mnie od tego łotra. Patrzcie, chcę pracować i żyć uczciwie, a ten nickszemnik pcha mnie gwałtem w kałużę.

— Precz kanalio! — krzyknął wściekły dyrektor. — Od dziś, twoja noga tu już nie postanie.

— Wielka rzecz — precedził przez zęby — ale przecie moją rolę dokończę? (Grał Kolba).

— Nie trzeba, ja sam dokończę.

Kabotyn się wyniósł, rzuciwszy wściekłe wejrzenie na Emilkę.

— Widzisz pani, nie chciałem przyjąć tego łotra, bo go tu znają wszyscy. Pani sama starałaś się i prosiłaś za nim.

— Ach dyrektorze, dla mojego dziecka.

— Bądź pani spokojna, dziecku się nic nie stanie. Gdyby przedsięwziął co złego, policya już ma na niego zwrócone oczy.

I stary Nowakowski poszedł się ubierać, aby dokończyć roli Kolba.

Zostałem z nią w garderobie.

— Patrz pan — mówi do mnie — widzisz te nitki srebrnych włosów, to jego dzieło. Co ja wycierpiałam. Sprzedawał mnie nikczemnik jak niewolnicę. Oh, cóżby się ze mną stało, gdyby nie to słonko, co mi świeciło w tej brudnej drodze życia. Oh ty moja dziecino ukochana! Oh ty moje bóstwo!

Tu się zerwała gwałtownie.

— On jej co złego zrobi. Ratujcie mnie i ją.

— Wszak słyszałaś pani, co mówił dyrektor?

— Dla niego niema policji, niema straży, zamków, kluczy. Poproś pan dyrektora, zmiłuj się, bo ja roli nie dokończę.

Przybiegł dyrektor już ubrany.

— Ratuj moje dziecko dyrektorze.

— Już pobiegł mój sekretarz do policji. Tam mu jej nie wydadzą, bądź spokojna. Dom jest bezpieczny i strzeżony. Uspokój się moje biedne dziecko. Panie Krupicki, niech zagra jeszcze raz orkiestra, antrakt będzie

trochę dłuższy. Uspokój się proszę i cicho, żeby się to nie rozgłosiło w mieście.

Dokończyliśmy nareszcie tę nieszczęśliwą »Intrygę«. Na drugi dzień zaraz z rana, pobiegłem do pani Emilii, niespokojny czy się co złego nie stało. Zastałem ją piszącą coś pospiesznie, a na biurku rozłożone pieniądze. Gdy mnie spostrzegła, schowała szybko nie dokończony list.

— Cóż słyhać złego?

— Nic — Bogu dzięki. Wszystko dobrze.

— A dlaczegoś pani niespokojna?

— Eh nie.

— Czego się taisz przedemną. Posyłasz mu pieniądze.

— No, trzeba trochę.

— Widzisz, tem go rozzuchwalasz. Gdybyś mu raz zamknęła drogę, nie napastowałby cię więcej.

— Przeczytaj pan.

Podawała mi list kabotyna, w którym przysięga, że już nigdy jej niepokoić nie będzie. Że wyjeżdża do Królestwa, ale niema o czem, więc prosi na drogę. Dalej szły zapewnienia, tłumaczenia, bzdury, na które kobiety zawsze się łapią, ale odkryłem w nim ważny szczegół: przyznawał się do zbrodni, jakie względem niej popełniał.

— Schowaj ten list jako dokument, w razie czego, pokażesz go, a ludzie z niego więcej wyczytać potrafią niż pani.

\* \* \*

I znów upłynęło lat kilka, a były to lata, w których włóczyłem się po rozmaitych budach niemieckich, tracąc czas i pieniądze, a co najważniejsza nudząc się piekielnie, bo mam tę nieszczęśliwą naturę, że cierpię nostalgię; szczęśliwy więc byłem bardzo, gdym ją w Franzensbadzie spotkał.

Szła w towarzystwie jakiegoś poważnego jegomości. Ucieszyła się niezmiernie, bo co jeszcze było nieoszacowanego w Emilce, że była szczerą jak złoto, nie pozowała i nie wstydyła się wobec kolegów swojej przeszłości, jak to czynią niektórzy.

— Manusia już skończyła pensję. Aha!

— Jest tu z panią?

— Nie, na wsi. Ah, jakaż ja roztargniona. Nie zapoznałam panów ze sobą: Kolega R... pan M... mój narzeczony.

— Bardzo mi przyjemnie.

Pan ten dobre na mnie zrobił wrażenie. Człowiek światowy. Rozmowa z nim szła swobodnie o wszystkim, a nie banalna, jak to bywa przy pierwszym spotkaniu. Był nawet tak dyskretnym, że wymyślił jakiś interes, aby nas zostawić samych.

— Dobijasz pani do portu. Szczęść ci Boże.

— Ach, gdybyś pan wiedział jaki to zacny człowiek, pokochałbyś go tak, jak ja.

— Już go kocham.

— Nie żartuj. Jest Bóg sprawiedliwy, który przeciwie nagradza cierpienie.

— Czyś pani kiedy wątpiła o tem?

— Oh, były takie chwile, takie dwie straszne. Manusia jest u jego bratowej na wsi. Jakiż to zacny dom, mój Boże!

— Cóż z tamtym?

— Bolesław się stara o rozwód, ale ciężko idzie. Trzeba mu będzie dobrze zapłacić.

— Nie trzeba, pokaż pani jego listy, szczególnie ten, którym czytał we Lwowie.

— Wyobraź pan sobie, okradli mnie i szkatułka z listami zginęła.

— I to wtenczas, kiedyś pani zawarła stosunek z panem M.?

— A tak.

— Oh ty dziecko naiwne.

— Myślisz pan?...

— Nie tylko myślę, ale przysięgnę.

— Ach! westchnęła ciężko.

Ten cały pobyt w Franzensbadzie zaliczam do najmilszych, dzięki poczciwej Emilce. Miałem teraz sposobność bliżej ją poznać. Cóż to za złote serce, pełne nieprzebranych skarbów uczucia. Czyste, prawe, mimo kałuży w jakiej nieraz życie pędzić musiała. Pan M. nalezyście ją poznał i ocenił.

— Wie pan — rzekł do mnie — jużem zamierzał dokończyć życia w kawalerstwie. Poznałem za dobrze kobiety i miałem dla nich zawsze niekorzystne uczucia, ta mnie pogodziła z niemi. Jako artystkę cenię ją tak, jak wszyscy, ale kobietę w niej daleko więcej. Jest to jedna z tych istot wybranych, które przechodzą czyste przez świat, mimo cierni i błota, nic nie uroniwszy z tego dobra, jakie im dano. Kobieta serce!

— Zgadzam się z panem najzupełniej. Ta to właśnie kobiecość, jest w niej najpiękniejszym kwiatem.

Urządaliśmy spacerować, spędzali we troje miłe wieczorynki, gdzie bawiła się jak dziecko.

Pierwszy raz zdarzyło mi się, że nie spieszyłem bardzo do domu. Bywało, że już trzy dni naprzód pakowałem się do drogi i gorączkowo wyczekiwałem dnia wyjazdu.

Odprowadzili mnie na kolej, gdzie im solennie musiałem przyrzec wizytę, gdy zawitam kiedy do Lwowa.

\* \* \*

W parę miesięcy później, dowiedziałem się od aktorów, że pani Emilia wyszła za mąż i opuściła scenę. Bawił właśnie w Warszawie dyrektor Miłaszewski, poszukując bohaterki.

— Szczęść ci Boże Emilko.

Przeszło lato, jesień, nadszedł karnawał, gdzie panny wychodzą za mąż. Wtem odbieram list ze Lwowa. Co takiego? »Emilia M... ma zaszczyt prosić pana na ślub swej córki Maryi, z panem W... urzędnikiem banku«. Na samym zaś dole, przypisek drobniuchnem pismem kobiecem: »Manusia wychodzi za mąż. Aha!«

To »Aha!« było tak charakterystyczne w jej ustach, wiele razy spełniały się życzenia jej serca, że mi wiecznie brzmi w uszach.

Było w tem wykrzyku wszystko.

Nakreśliła go też na papierze, wiedząc, że mi tem przyjemność sprawi.

Odwdzięczyłem się jej w ten sam sposób, gdy w rok potem będąc we Lwowie, dowiedziałem się, że Manusia piastuje synka.

Polecałem ekstra-pocztą na wieś o dwie mile i pierwszym mem powitaniem na progu dworca pani Emilii, był wykrzyknik:

— A pani jesteś babcią. — Aha!

Zażenowałem się, bo nie byliśmy sami, ale pani Emilia ze łzami w oczach, rzuciła mi się na szyję.



## PAN EUSTACHY BOMBA.

Było ich troje; ojciec, matka i córka, a robili hałasu za piętnaścioro. Areną ich artystycznych produkcji były małe miasteczka, wielkich pan Eustachy nienawdził, bo mawiał: To zepsuta publiczność, taka nie oceni, nie zrozumie naszego wielkiego poświęcenia. Między maluczkimi tylko dla nas miejsce, zasługa przytem olbrzymia nieść tym biedakom światło i pić ich ambrosyą prawdziwej sztuki.

Pan Eustachy lubił wielkie słowa, wspaniałe okresy i porównania. Najwyższą zaś dlań rozkoszą, były przemowy do publiczności. »Szanowna publiczności — mawiał, pieszcząc się i delektując każdym słowem — daję wam bukiet, złożony z najpiękniejszego kwiecia. Oto róża! Królowa kwiatów i królowa naszej literatury, to »Pierwej Mama« nieśmiertelnego Korzeniowskiego, dalej dam wam tulipan, wspaniały kwiat, to jest »Dożycie« Fredry... a na zakończenie egzotyczny kwiatek, z nad brzegów Sekwany do Polski przeniesiony: »Podstęp pana Kapitana«. Mam nadzieję, że wasze szlacheckie upodobania, znajdą dla siebie w tym wonnym bukiecie rozkosz niewypowiedzianą, jaką daje niebiańska atmosfera sztuki. Prosimy was o zasłużoną nagrodę«.

Szanowna publiczność składająca się z paru pejzających żydków, kilku zamożniejszych rzemieślników z żonami i córkami, urzędnika od akcyzy i dwóch policyan-

tów miejskich, wysłuchała przemowy nic nierozumiejąc, ale tem większe przywiązując do niej znaczenie.

Odegrano tedy komedyjkę Korzeniowskiego, wykreśliwszy z niej rolę amanta, odegrano scenę »z Dożywocia«, gdzie Lotką była pani Eustachowa, Birbanckim Florka, grająca przed chwilą Zosię, a Twardoszem pan Eustachy, i wreszcie zakończono owym »Podstępem pana Kapitana«.

Publiczność rozeszła się do domów kiwając głowami i objawiając swój sąd w ten sens mniej więcej:

- To ci bestye wyrabiali.
- Ale to na nic te komedye.
- Et, pletli trzy po trzy.
- Ale ona była ładna za chłopca.
- Cicho! nie powtarzaj takich zberezeństw.
- To wykpigrosze!

Po obrachunku wypadło, że pan Eustachy miał czystego dochodu ośm złotych, groszy dwadzieścia dwa.

— Żyj tu! — jęknął zaciskając pięści.

— Mówiłam ojcu, jechać było do Opoczna, co ten głupi Szydłowiec dać może.

— Mój Boże! gniazdo Szydłowieckich, z takim wspaniałym zamkiem. Historyczne miejsce.

— Tobie zawsze we łbie historia — zgrzytnęła pani Eustachowa. — Rodzina Szydłowieckich pomarła, a my żyć chcemy.

— Czekajcie, czekajcie, we czwartek powetujemy, damy im »Wybuch«.

— Dałbyś pokój z tym głupim wybuchem.

— Florka, słyszysz? Ileż to razy ten wybuch na nogi nas postawił.

— Dawaj wybuch. A cóż do niego?

— »Lokaj za pana« czyli »Wierny sługa uwięziony za długi«.

— A ja bym dała inny tytuł — rzekła córka.

— Gadaj!

— »Poświęcenie wiernego sługi«.

— Niech będzie.

— No i cóż jeszcze?

— A cóż, musi iść »Berek«.

— Jakto, to my nic grać nie będziemy.

— Spektakl bez kobiety — oszalałeś!

— Florka zatańczy kaczućce.

— Tu im kaczućce? Perły trzodzie rzućcać, dosyć będzie mazurka.

— Masz rację! Nasz ukochany taniec narodowy, podziw wszystkich cudzoziemców. Mój Boże!

I tu pan Eustachy zasiadł do pisania afisza, podczas gdy matka zajęła się wieczerzą, a córka wydobyła kostyum krakowianki.

Nazajutrz zdumiony Szydłowiec, czytał następujący afisz:

»Dziś dnia 25. maja 1853 roku. Towarzystwo artystów dramatycznych, pod dyrekcją Eustachego Bomby, będzie miało honor dać wielkie przedstawienie:

1. »Lokaj za pana« czyli »Poświęcenie wiernego sługi«, komedia ze śpiewami Aleksandra Ładnowskiego, wielkiego aktora sceny krakowskiej.

O s o b y :

Michał Ciapotkiewicz . . . p. Eustachy Bomba.

Głosy publiczności za kulisami . . . \* \* \*

Rzecz dzieje się w oberży.

2. »Berek zapieczętowany« czyli »Biedny żydek«, który wlaźł za handlem do pustego domu i tam go obłożyli pieczęciami, komedia ze śpiewkami bardzo wesołemi tegoż autora.

O s o b y :

Berek Kugelmann handlarz . . . p. Bomba.

Głosy komisarza i policyi . . . \* \* \*

Rzecz dzieje się w wielkiem mieście.

3. »Mazurek«, nasz ukochany taniec narodowy, podziw cudzoziemców całego świata, odtąńczony przez pannę Florentynę Bombównę, była artystkę warszawskiego baletu, uczennicę sławnej panny Strausówny.

Na zakończenie danem będzie wielkie, nadzwyczajne dziwo natury.

Tu postawił pan Eustachy wiele kropek, potem, że był dobrym rysownikiem, wyrysował zdziwioną głowę i ogromnemi literami napis:

»Wybuch Wezuwiusza« we Włoszech pod Neapolem.  
Ceny miejsc etc.

Buda była nabita, zdawało się że jeden drugiemu na głowie siedzi.

Odegrano wszystkie trzy numera z dość dobrem powodzeniem, oczekiwano jednak gorączkowo owego wybuchu.

Na woskowanym płótnie, wymalował pan Eustachy górę stożkową, oświetliwszy ją z tyłu jedną tylko lampą, na samym zaś wierzchołku umieścił rodzaj rakiety, która wybuchała i rozsypywała się w iskry. U stóp góry było morze z pływającymi łodziami, w którego zwierciadle odbijała się luna. Słychać było przytem odgłosy trwogi, ratunku, nawoływania i t. p.

To był ów sławny wybuch.

Po tym wybuchu, pan Eustachy z swoim towarzystwem pakował zwykle manatki i uciekał gdzie pieprz rośnie, bo już nie było co robić w mieście, tembardziej, gdy rakietą niedopisała, jak się zdarzyło tu właśnie.

Krzyki, przekleństwa, odgróźki.

— Oszustwo! Oddaj pieniądze! Co to za wybuch! Idź do dyabła z twoim wybuchem!

— Mój Boże! — biadał pan Eustachy — a taki piękny spektakl. Sto dwadzieścia złotych. Deszcz szelma przemoczył kufer, proch zamokł i historia skończona.

Zwijali i pakowali się wszystko troje, nadedniem zajechała furka i ślad po nich w miasteczku nie został.

\* \* \*

Pan Eustachy był bardzo pomysłowy i ryzykowny. Na co on się nie ważył?

W Pinczowie ogłosił, że daje wielką tragedję znakomitego Szylera p. t. »Zbójcy«, czyli upadek wielkiego domu.

Zagrać tragedję Szyllera we trzy osoby... to mi dopiero sztuka! Tej jednak sztuki dokazał pan Eustachy. Sam grał dwóch braci. Starym Morem była pani Eustachowa, Amelią Florka. W obozie zbójckim znów dyrektor jako Karol, miał do pomocy żonę i córkę poprzebieranych za zbójców, reszta obozu zawsze spała. Dlaczego spała? Bo nie mogło być inaczej. Pan Eustachy wypożyczał kilkanaście par starych butów, ułożył ich podeszwami do widzów, pookrywał gałganami i tobołkami, co rzeczywiście dawało złudzenie śpiących ludzi. Widzowie w głowę zachodzili, dlaczego ci ludzie spali? Cóż za sen okrutny? Odgrywały się wstrząsające sceny, a oni spali.

Pan Eustachy nieomieszkał wytłómaczyć to publiczności. »Tak oryginalnie a jednak prawdziwie, żadna jeszcze scena nie wystawiła zbójców. Cóż może być naturalniejszego, jak ci ludzie znużeni marszem bezustannym, trudami wojennymi, rabunkiem; gdy znaleźli spokojny kątek w lesie, spali jak zarznięci. Wódz tylko i bliżsi mu podkomendni czuwali«. Tłómaczenie przyjęto oklaskiem. Oby tak wszyscy zbójcy spali zawsze, mawiano... i rozchodzili się do domów zadowoleni i bezpieczni... bo zbójcy i złodzieje śpią. Nazwano też sztukę pana Eustachego »Zbójcami śpiącymi«.

Peregrynacye pana Eustachego pełne przygód coraz nowych, miały dlań czar niepojęty. Gdy zaczynały

się zimna, on jak ptak ze swoją połowicą i pisklęciem, zwijali skrzydła i chronili się pod strzechę, to jest angażowali się do jakiejś trupy, a że wszyscy byli dobrymi i pożytecznymi aktorami, przyjmowano ich chętnie... ale niechże tylko skowronek zadzwęczał i świeża ruń okryła ziemię, rzucali zimowe leże, aby się upajać zielenią i słońcem.

Pan Eustachy lubiał się delectować bodaj listkiem trawy, polnym konikiem, kryć się w gęstym lesie, największą jednak dlań rozkoszą były ruiny starych zamków. Znał historię każdego i wykladał ją z lubością żonie i córce.

— Mój Boże! Chęciny, gdzie odbył się pierwszy zjazd, pierwszy sejm polski za króla Łokietka, gdzie potem królowa Bona kuła swoje intrygi. Chęciny! Zostaniemy tu pod egidą tego małego, a tak dzielnego króla.

I rozbijali swoją budę w Chęcinach, chociaż one im nawet na objad nie dały.

Innym znów razem, zeskakiwał z wózka jak wariat i krzyczał kobietom w uszy:

— Wiecie wy, gdzie my jesteśmy? — pod Warką! Tu stoczył Czarniecki bój zwycięski ze Szwedami. Mój Boże! Czarniecki.

I jakże on nie miał kochać tej swojej włóczęgi, kiedy ona mu dawała takie wrażenia.

Kto wie co tam siedziało w tym starym komedyanecie... może historyk, może archeolog. Słuchał Lelewela, literatury uczył go Brodziński. Nie dokończył studyów, bo go porwał teatr.

Nie on jeden był takim. Wielu znałem z tych starych aktorów, każdy z nich miał być czemś dużym w społeczeństwie, a kończył zwykle na budzie Tępisowej. Teatr u nas w owych czasach pochłaniał tęgie inteligencje.

Pan Eustachy jednak nigdy się nie zalił, że w tym zawodzie doznał zawodu. Było mu zupełnie dobrze. Da-

wniej tak mało wymagano. Była też pogoda w duszy, a z nią bodaj suchym kawałkiem chleba żyło się dobrze. Pesymizm nie jątrzył. Nie znano nawet tego wyrazu. Pan Eustachy wdychał tylko, ale kiedy mu wypłynęło z ust: »Mój Boże!« czuł się już pokrzepionym.

\* \* \*

Spotykało się na drodze wózek zaprzężony w jednego konia, naładowany rozmaitemi rupieciami, a opodal za nim troje ludzi, mężczyzna i dwie kobiety, śpiewających, deklamujących, próbujących sztukę jakąś. Podróżni przystawali i gapili się, nie mogąc sobie zdać sprawy coby to było.

Jechał szlachcic wielką bryką w cztery konie.

— Przepraszam, kto państwo jesteście?

— Dyrektor teatru Eustachy Bomba do usług, to moja żona i córka.

— A gdzież reszta kompanii?

— My stanowimy wszystko. Dajemy komedye, dramata, tragedye.

— We troje? A to ciekawe! proszę siadać do mojej bryki. Moja wieś tuż o pół mili.

— Mam honor znać J. W. Pana.

— Dacie u mnie kilka przedstawień?

— Z największą rozkoszą służyć mu będziem.

— Mam ogromny spichlerz, tam urządzi się scena.

Widzów wam nie zbraknie. Sproszę sąsiedztwo, resztę dopełnią moi oficjaliści. Repertuarem ja kierować będę. Pokaż mi pan spis sztuk jakie gracie.

— Nie będąc przygotowany, mogę tylko z pamięci panu dobrodziejowi wymienić.

— Proszę.

I tu pan Eustachy wyrecytował cały repertuar sztuk grywanych na scenach warszawskich.

Szlachcic się za głowę złapał.



— I to wszystko we troje?

— Tak, panie dobrodzieju... o tyle o ile... Niektóre osoby się wypuszcza, skraca się sceny, ale rzecz pozostaje w sobie cała i daje pojęcie o geniuszu autora, którego jesteśmy tłumaczami. Szczuplutkie nasze grono, ale wszyscy przejęci jesteśmy głęboką czcią dla sztuki, której jesteśmy przedstawicielami. Niesiemy światło w najdalsze zakątki kraju, tam gdzie dotąd słowo polskie tylko z kazalnicy słyszeć można było.

Pan Eustachy się rozplýwał w wymowie. Szlachcic słucał i potakiwał.

— A pani jakie role grywa? — rzekł zwracając się do Florki.

— Ja grywam wszystko.

— Wszystko?

— Perła mojej trupy — rzucił ojciec.

— Pani zaś — zwracając się do matki.

— Charakterystyczne, dramatyczne, komiczne męskie i żeńskie.

— Męskie?

— Tak panie dobrodzieju. Jesteśmy, że się tak wyrażę, ekwilibryści w sztuce. Giętkość naszych talentów będziesz pan dobrodzieju miał sposobność ocenić.

Zamożny i wspaniały dworzec pana K...skiego, przyjął gościnnie tę trójkę Tesisowego wózka. Bawiono się jak nigdy. Wszystko co wystawiał pan Eustachy przyjmowano gorąco. Panowie po spektaklu siadali do kart, a wygrana spływała do kapelusza pana Eustachego.

— Mój Boże! zacny dom, stary dom; dobra krew herbu Odrowążów. Liczą hetmanów, wojewodów, biskupów. No, zgadnij stara ile mamy pieniędzy?

— Ze dwieście złotych.

— Czterysta! czterysta! Tegoby nam nie dał cały powiat opoczyński.

— Siedzimy tu już trzy tygodnie.

— Prawda, dobrze nam tu jak w raju, ale trzeba pomyśleć także i o maluczkich, którzy łakną również duchowego chleba.

— Niech dyabli wezmą tych twoich maluczkich, gdzie z głodu przymierać trzeba.

— Ale sława kobieto, ale zasługa!

O tej sławie marzył pan Eustachy w dzień i w nocy. Gwoli tej sławy urządzał sobie takie np. sztuczki: Zapuszczał wasy, podstrzygał czuprynę i jechał żydkiem do Warszawy. Wpadał do redakcyi *Kuryera*, mianując się obywatelem z Kaliskiego.

— Szanowny redaktorze dobrodzieju. Radbym, abyście słówek parę napisali o Eustachym Bombie, dyrektorze teatru prowincjonalnego. To człowiek genialny i niespożytych zasług. Daje przedstawienia w najlichszej mieścinie, a jaki posiada doborowy repertuar.

— Proszę, nie słyszałem jeszcze o takim.

— Bo to człowiek skromny, jak zwykle... gdzie prawa zasługa, tam niema chełpliwości.

— Chętnie o nim wspomnę, należy nam popierać takich. Proszę o bliższe szczegóły.

Tych szczegółów wysypał pan Eustachy tak sporo, że urósł z tego ładny artykuł, ubrany w kwiatki stylistyczne pocziwego redaktora.

Numer ten pochwycił pan Eustachy jak relikwie i nosił go na sercu.

— Mój Boże! przecież potrafią człowieka ocenić — mawiał prawie ze łzami, odczytując dziewięćdziesiąty raz, podarty już świstek *Kuryera*.

Odurzał się nim i wmawiał w siebie, że to nie on go wyzebrał.

W przedmowach, jakie miewał do publiczności bywał cytowany od *a* do *z*.

I włóczyła się ta trójka długie jeszcze lata. Objechała całe Królestwo, nie pomijając żadnego miasteczka

a nawet wsi większej, bo czasem pan Eustachy urządzał widowiska na odpustach.

Literatura nasza ludowa prócz krakowiaków nic innego nie posiadała, komponował więc dyalogi chłopskie pełne dosadnego dowcipu. Ludek się podśmiewał i dziwował. Pan Eustachy obliczył trzygrośniaki i rzekł wzdychając:

— Mój Boże! chudoba to licha, ale milsza mi nad wszystko, boć to grosz w pocie czoła zebrany.

Czy położył zasługi, o które mu tak ciągle chodziło? Niewątpliwie. Byłem dzieckiem, kiedy w Lipnie ujrzałem po raz pierwszy teatrzyk pana Eustachego. Dziś jeszcze uczuвам bicie serca na wspomnienie tej chwili, bo ona stanowiła o moim losie.

Obecnie wyspecjalizowało i uprościło się to rzemiosło. Mamy monologistów, ale czy ich cyniczne nieraz, a często niedorzeczne elukubracye można porównać ze strzępami to prawda, ale w tych strzępach była poezja, w tych strzępach były ziarna złotodajne.

Biedny pan Eustachy wyciągnął podstępem ów artykuł, który mu się słusznie należał.



## DWAJ DYREKTOROWIE.

Cześnik Raptusiewicz i rejent Milczek, obydwaj znakomici przedstawiciele obu tych ról, pozostali w pamięci naszej na zawsze typami Fredrowskiej komedii. Chociaż w życiu grywali czasem wręcz odmienne role. Nowakowski Cześnik umiał być niekiedy Milczkiem, Smochowski znów Milczek wybuchał nieraz animuszem Raptusiewicza.

Po niefortunnych kolejach, scena lwowska znalazła się blizką zupełnego upadku. Stała ona przez czas niejaki niby zajezdna gospoda, do której zjeżdżali się rozmaici dyrektorowie chcąc się odgryść, każdy z nich prezimował tylko nie mogąc związać końca z końcem i wracał głodniejszy jeszcze niż przedtem. Można sobie wystawić jak wyglądała ta biedna sztuka. Wówczas to za namową miłośników teatru, dwóch jego głównych przedstawicieli Smochowski i Nowakowski objęły dyrekcję teatru.

Dawało się przedstawienia trzy razy tygodniowo, bo resztę zabierali Niemcy. Sztuki dobrze wyuczone. Repertuar poważny. Teatr był zawsze pełen.

Po roku entrepryzy krzyknięto, że starzy robią pieniądze. Gaże były bardzo małe a personarz niewielki. Nie wydatkowano na wystawę, grając przy jednych i tych samych dekoracyach, w podszarżanej mocno garderobie, ale grano świetnie. Owym starzym, jak ich na-

zywano, zda się przybyło sił młodzieńczych. Nowakowski nieporównany tak w komedii jak w dramacie, Smochowski w rolach tragicznych, Aszpergerowa w obu rodzajach zawsze wspinała. Obok nich zastęp utalentowanej młodzieży, pracującej z zamiłowaniem pod skrzydłami takich dwóch potentatów.

Nowakowski, to człowiek wszechstronnie wykształcony, obok aktorskiego posiadał talent muzyczny. Bystry obserwator, świetny instruktor. Czynny, energiczny, władał kilkoma językami, dawał z siebie typ autora europejskiej miary. Stawiano go też obok Samsona, Gota, Anczyca, Larocha, Lewego.

Jego kolega Smochowski, to znowu przeciwieństwo. Ten wyglądał sobie na hreczkosieja. Twarz dosyć pospolita z sitarskim wąsem, dobrodusznym. Akcent galicyjski, którego się do śmierci pozbyć nie mógł, ale zato gdy wszedł na scenę był jej królem. Potężny organ, ekspresja w malowaniu uczuć, bohatera postawa.

Obydwaj kołotali do bram warszawskiej Melpomeny, ale podczas gdy jeden z nich, Nowakowski, został wpuszczony i wstępnym bojem wziął publiczność »Chłopem milionowym«, drugi nie mógł się do niej dostać. Jedynym dlań wspomnieniem była wizyta u Nestora polskiej sceny, o której często lubił nam młodym opowiadać.

Duszą teatru był Nowakowski. Smochowski tylko stawał się regularnie po część sobie należną.

Ciekawe bywały sceny, gdy który z aktorów z żądaniem jakim się zgłaszał.

— To nie do mnie kochanku — mawiał Nowakowski. — Cóż ja tu mogę? tu pan Witalis wszystkim rządzi... i kłamał.

— Taże ja tu nic nie znaczę. To pan Jan trzyma w ręku wszystko, do niego udać się trzeba — mawiał Smochowski i mówił prawdę.

Wybierano więc moment taki, aby ich obydwu przyłapać można, wówczas Nowakowski biadał na złe czasy, na niedobory w kasie, a Smochowski się odwracał do okna i bębnił palcami po szybie. Wstrętą mu była każda mistyfikacja, każde kłamstwo.

Zdarzyło się, że Nowakowski wyjechał do wód dla poratowania zdrowia, zostawiając cały zarząd Smochowskiemu.

Ładne działały się rzeczy.

Pobrano forszusa, ponadbierano gaży, nie płacono rat, Smochowski popodwyższał pensye...

Nowakowski ręce załamał z rozpacz.

— Coś ty porobił człowieku?

— Cóż takiego?

— Rozdałeś wszystkie dochody.

— Taże cożeś ty chciał? Proszę więc dać trzeba.

— Oni zawsze proszą. No, wyszlibyśmy z torbami gdybyś ty gospodarował. Boże, Boże, skąd tu połątać te dziury.

Jakże się uśmiechały aktorom rządu Smochowskiego, ale pan Jan nie głupi, już się to drugi raz nie powtórzyło.

Stary Fredro żył jeszcze ubielony wiekiem ale czerstwy i zdrowy, mieszkał w swoim dworku na Chorążczyźnie. Nowakowski bywał przez niego często proszony na wista. Jakimże pożądanym okiem spoglądać musiał na biurko stojące obok przy oknie, w którym prawdopodobnie zamknięte były skarby nieznanne dotąd światu. Jakimże świeżym blaskiem zajaśniałaby scena, a jakby wypełniła się kasa, gdyby tak do nich dobrać się można było. Próbował na wszystkie sposoby, ale zawsze trafiał na nieprzewyciężony upór.

— Oddam wam to wszystko po śmierci. Nie chcę, aby za życia szarpały mnie wasze gazety.

Próżne były zachody i starania.

A jednak pan Jan nie dał za wygraną.

Przypadał właśnie jego jubileusz pięćdziesięcioletniej pracy scenicznej. Jedno z pism przytoczyło znalezienie się pana Jana na scenie, kiedy na niej pierwszy krok postawił. Grano »Krakowiaków i Górali«, gdzie młodemu aspirantowi powierzono rolę pastucha. Miał tam powiedzieć parę wierszy, że górale zabrali bydło, a ekonom wypędził studenta. Wleciał w strachu na scenę i zapomniał języka w gębie. Wszyscy czekają, nareszcie jeden zapytuje. Co się stało? czy może górale bydło zabrali? Eh! krzyknął kiwając głową i uciekł. Takie zwykle bywają początki wielkich aktorów, co krótkowidze uważają za brak wszelkich zdolności, tymczasem doświadczenie wręcz przeciwnie uczy. Zbytnią pewność siebie, bywa zwykle oznaką małodusznej arogancyi.

Na ten to swój jubileuszowy benefis postanowił Nowakowski przypuścić ostatni szturm do autora »Zemsty« i udało mu się. Fredro wzruszony prośbami starego aktora, któremu bądź co bądź zawdzięczał wiele, dał mu do grania sztukę, w której główną rolę przeznaczył benefisantowi. Miał to być »Wielki człowiek do małych interesów«. Nowakowski pochwyił ten skarb i uciekł z nim, aby mu broń Boże nie odebrano, nieomieszkał jednak rzucić tu i ówdzie słówkiem o swojej zdobyczy. Tego też trzeba było. Roztrąbiono, że nareszcie otwart się sezam, z którego się posypią nieprzebrane skarby, a klucz do tego sezamu wynalazł Nowakowski. Fredro gdy to przeczytał, oburzył się cały i natychmiast zażądał zwrotu manuskryptu.

\* \* \*

Przypatrując się tym dwom filarom lwowskiej sceny, nauczyłem się traktować role szeroko, dając od razu całokształt postaci. Warszawscy artyści gubili się w szczegółach, tu dawano figury posągowe jak gdyby

z marmuru wykute. Inne też tu zupełnie wpływy kształtowały scenę. Dla Warszawy była po wsze czasy wzorem komedia francuska, ideałem »Paryż i jego salony«, tu królował od dawna Szekspir i jego potężna poezja jak świat szeroka i głęboka. To też w dziedzinie wielkich poetycznych i filozoficznych zagadnień, Lwów przodował nam zawsze. Tu wystawił Nowakowski, przykrowszy dla sceny dramat Romanowskiego »Popiel i Piast«. Dzieło pierwszorzędnej wartości, pełne tragicznej grozy, owiane historyzoficzną ideą głębokiego znaczenia, tu się pojawił Słowacki ze swoją »Balladyną«, podczas gdy w Warszawie nie znano jej prawie i tylko po pismach od czasu do czasu drukowało się artykuły rozbierające poemat i tłumaczące błędnie nieraz jego znaczenie. Gdy nie starczyło wielkich, dawano oryginalne utwory mniejszej wartości, ale podniosłe duchem.

Aktorzy niechętnie patrzą, gdy dzieci wstępując w ich ślady chcą się scenie poświęcić. Pamiętni przebytej cierniowej drogi i walk wyczerpujących życie, chcą od nich uchronić drogie dla siebie istoty i pchają ich gwałtem nieraz na inną drogę tak, jak gdyby tylko aktorski zawód najeżony był kolcami. Nowakowski miał syna, w którym chciał mieć koniecznie malarza, tembardziej, gdy chłopiec okazał duże zdolności w tym kierunku. Wysłał go za granicę nie oszczędzając kosztów i marzył już dlań o sławie Delarocha albo Kaulbacha, aż tu naraz po kilku latach, ten syn wraca aktorem. Władając wybornie niemieckim językiem, zamiast studyować sztukę malarską, chodził do teatru i studyował sztukę aktorską... a gdy wreszcie poczuł w sobie dość siły, wystąpił na scenę i zyskał powodzenie.

— Jakież to role grywasz Lechu? — pyta go ojciec.

— Bohaterów i wogóle silnie dramatyczne.

— Hm! hm! zobaczymy. I w czymże chcesz wystąpić?

— Co jest gotowego. Repertuar mam olbrzymi. Mogę zagrać Franca w »Zbójcach«, Ferdynanda w »Intrydze«, »Uriela Akostę«, »Syna puszczy«, Pozę w »Don-Karlosie«.

— Aż tyle? I tak skakać potrafisz od »Franca« do »Ferdynanda«, od »Uriela« do »Syna puszczy«. To ciekawe. Powiedz no mi jaki ustęp.

— Co ojciec sobie życzy?

— Co chcesz.

Wypowiedział mu ustęp Pozy z »Don-Karlosa«.

— Po jakiemu ty mówisz?

— No, po polsku.

— Nie kochanku, to nie po polsku, to po cudacku. Boże! Boże! jakżeś ciężką karę mi zesłał i za jakie grzechy.

— No, być może, zem sobie trochę język zepsuł niemczyzną, ale niech się ojciec nie martwi, popracuję i będzie dobrze.

— Ha, no, zobaczymy!

Lech pracował rzeczywiście i wystąpił w roli Ferdynanda w »Intrydze«.

Nigdy się publiczność tak dobrze nie bawiła.

— Cóż współniku, udał mi się syn — rzekł zgryziony stary Nowakowski do Smochowskiego.

— Dziękuję Bogu, że mi dał tylko córki i to nie aktorki — odrzekł Smochowski.

A jednak ci starzy mylili się obydwaj.

Ten Lech to bardzo utalentowany malarz i zdolny aktor w rolach komicznych.

Patrzę w tej chwili na jego portret, który malował na parę lat przed śmiercią. Widzę go żywym. Szlachetność rysunku, koloryt, podobieństwo, wszystkie cechy znakomitego malarza. Jako aktor zaś miał słabość, tak jak wszyscy prawie komicy do ról tragicznych, tymczasem w komedii i operetce, która się temi czasy poja-

wiła we Lwowie, był świetny. Odziedziczył ojca temperament i jego muzykalność. Raził u niego wprawdzie zawsze akcent niemiecki, szczególnie w Warszawie, ale w lekkiej farsie i operetce nie czuć go było, porywał zaś nieporównanym humorem.

Kapryśna prasa lwowska nie mogła starym darować operetki, a jednak była ona konieczną, zwłaszcza, że niemiecki teatr brał nią publiczność wszystkich narodowości. Trzeba było z nim walczyć tą samą bronią. Sprowadzili bardzo dobrą śpiewaczkę i nauczycielkę Majeranowską, której świetna metoda wpłynęła ogromnie na rozwój młodych wokalnych talentów. Jednak jak raz zaczęto jeździć na tym koniu, tak jechano coraz bardziej, odmawiając starym wszelkich zasług, jakie położyli dla sceny, a jednak ta scena nigdy nie kwitła tak pięknie. Starzy aktorzy z Burg-teatru wiedeńskiego goszczący we Lwowie na występach, podziwiali nasz teatr, stawiając go w rzędzie pierwszorzędnym.

Rozgoryczeni, gdy się zbliżał termin sześciolatniego kontraktu, już się nie podali na dalsze lata i zrezygnowali z dyrekcyi.

Poczęły się zabiegi kandydatów, na które patrzyli ruszając ramionami, bo i kto to nie chciał być dyrektorem. Puszczona pogłoska o zrobieniu wielkiego majątku przez starych, poruszyła całe mrowisko aspirantów, żądnych guldenów i sławy.

Nowakowski odzywa się do swego służącego Wojciecha, a zarazem woźnego przy teatrze:

— No, a ty Wojciechu nie podasz się na kandydata.

— Niby jakiego?

— No, na dyrektora.

— Cóż, bo pan dyrektor takie rzeczy mówi.

— Czytałeś listę kandydatów?

— A no czytałem i uśmiełem się. Przecie nawet krawiec Z. się podał.

— I ty nie czujesz się więcej uzdolnionym od krawca Z.? Wieleż lat jesteś przy teatrze?

— Ano 54.

— Wiele sztuk grano przez czas twojej służby?

— 4525.

— Ilu dyrektorom służyłeś?

— Było ich 24.

— To wszystko masz zapisane?

— A jakże. Przecie nawet mam zapisane jacy artyści i artystki grywali na lwowskiej scenie.

— To ciebie szkoda na dyrektora mój pocciwczu, ty jesteś żywą kroniką teatralną. Możesz tym panom od pióra dawać wskazówki i prostować ich błędy.

— A dyabeł by ich tam prostował, kiedy oni piszą nie to co było, ale to co im trzeba.

— Masz rację.

I tej pisaninie nie było końca ni miary. Starych dyrektorów poniewierano gardlując za nowemi. Krętanina, zabiegi... gdy wtem niespodziewany, nieoczekiwany wypłynął Adam Miłaszewski. Starzy dotrzyмали kontraktu do Wielkiej Nocy, pożegnawszy publiczność widowiskiem, na którym dość obojętnie ich podejmowano. Usunęli się wreszcie w ciszę zapomnienia. Smochowski został we Lwowie przy zięciu i córce. Nowakowski pojechał na wieś.

Te dwie artystyczne organizacje, to ciekawe studium dla psychologa. Smochowski spokojny, chłodny, przyjmował tak klęski, jak powodzenie umysłem filozofa, uśmiechając się pobłaźliwie. Nowakowski, natura gorączkowa, nerwowa, odczuwał wszystko zbyt żywo. Palił się i gryzł naprzemian. W wiosce, gdzie się schronił, nie miał chwili spokoju. Był pełen jeszcze sił i życia i ochoty wielkiej do pracy, a duma artysty i dyrektora nie pozwoliły mu kołatać do młokosa, swego niegdyś ucznia, aby mu pozwolił pracować na tej scenie,

gdzie przeszło pół wieku zbierał tryumfy, to też gdy syn angażowany w nowym teatrze zaproponował ojcu, aby przyjechał grać »Skapca« w jego benefisie, przyjął to bardzo gorąco.

Pamiętam ową próbę czytaną ze sztuki Molièra, w której i ja miałem wziąć udział. Stary się rozgrzał i grał swoją rolę jak na scenie. Patrzyliśmy i wsłuchiwali się weń chciwie jakby przeczuwając, że go już raz ostatni słuchamy. Ten »Skąpiec« był przeróbką Molièrowskiej komedii, wierszem przez Kowalskiego, nazywał się Chapskim. W takiej postaci obiegał wszystkie sceny, dopóki Narzymyński nie przetłumaczył go prozą, dawszy mu właściwą barwę; z tej próby można było wziąć miarę, jak owego »Skapca« pojał Nowakowski. Grał go szybko, rwąc słowa jak gdyby mu ich żal było trwonić zbyt dużo. Chciwość przejawiała się w słowach sycząc jak wąż złowrogi. Sceny komiczne budziły śmiech politowania, a gdy przyszło do owej kulminacyjnej sceny kradzieży, przejmował grozą tragiczną. Miała to być jego najlepsza rola. Publiczność i my wszyscy oczekiwaliśmy gorąco przedstawienia, gdy wieść nagła jak grom obiała nam się o uszy. Nowakowski padł rażony paraliżem sercowym.

Stary Fredro na czele intelligencji Lwowa szedł za jego pogrzebem i jak wieść niosła miał się wyrazić, że razem z nim i »Zemstę« pogrzebać trzeba.

Zwykłe to treny przy trumnie wielkich aktorów, tymczasem czas ściera szybko pamięć o nich, zostaje tylko siła, która zapłodniła młode pokolenie, nie poczuwające się jednak do wdzięczności dla ojców swego talentu. Niech im przypomina ten dług parafraza ewangelii, gdzie mówi: Abraham zrodził Izaaka, Izaak Jakóba etc. Jeden Rychter, który się szczycił zawsze tem, że Nowakowski nauczył go grać »Cześnika«.

A pan Witalis? Pan Witalis dzięki swojej organizacji żył jeszcze lat trzydzieści. Do teatru uczęszczał zawsze, przypatrując się z olimpijskim spokojem młodemu pokoleniu jak się pali, gryzie, spycha wzajemnie i spina w górę.

Gdym go odwiedzał, pytałem:

— Jakże dyrektor znajduje dzisiejszą scenę?

— Dobrze, bardzo dobrze, tylko wie pan, musiałem już ogłuchnąć, bo ich nic zrozumieć nie mogę.

— A przecież ja dzięki Bogu mam słuch dobry, a jestem w tym samym do nich stosunku.

— I jakaż tego przyczyna?

— Nowa szkoła.

— Co pan mówisz, to głupia jakaś szkoła. Tażę język u aktora wszystkim.

— To tak dawniej bywało. Realizm. Dziś mówi się na scenie jak w szlafroku i w pantoflach u siebie, a czasem się i nie mówi tylko mruczy. Taka moda nastąpiła.

— Mody mijają.

— Wtem ci i całe szczęście.

Starzec się trzymał krzepko i od czasu do czasu proszony na cel dobroczynny, pokazywał lwie pazury w jakimś wyjątku z tragedyi.

Zasnął pewnego popołudnia w krześle i nie obudził się więcej. Przeżył blisko stulecie.



## PAPA MOULINET.

W dychawicznym biegu tego świata,  
Przychodzi cniecie przeproszać występki,  
Korzyć się przed nim i nieledwie żebrać  
O pozwolenie zrobienia mu dobrze.

*Hamlet.*

Rodzina Z. z dawna słygnęła w aktorskim świecie, nie tyle jednak talentami, co życiem burzliwym i hulaszczem. Patriarcha rodu pan Ignacy, zwany powszechnie papą Moulinet z jakiejś francuskiej farsy, był typem aktora cygana w najgorszym gatunku.

Mawiano o nim:

— Gdy papa Moulinet urządzi kawał, to już będzie majstersztyk.

Znały go wszystkie prowincjonalne trupy i bały się jak ognia, bo wszędzie pozostawił po sobie niezachwytną pamiątkę.

Papa Moulinet tworzył szkołę kawalerstwa. Naśladować go, należało do dobrego tonu między cygaństwem. Był czas, że każdy nowowstępujący aktor musiał się wkupywać papie, aby go wyzwolił na czeladnika w cechu. Był to rodzaj sportu, rodzaj zabawy, tylko że u papy przerodził się w rzemiosło.

Było ich czworo: Matka, dwie córki i syn. Tyle bowiem ich się dochoowało z ośmiorga, jakie urodziła pani Apolonia.

Nosiła imię patronki od bólu zębów i dlatego chodziła ciągle podwiązana.

Z mieszkania ich dolatywały zawsze piekielne wrzaski, płacze, kłótnie.

— Papa Moulinet, daje koncert — mawiano.

Dom ich był istną norą. Gdyś wchodził, uderzała cię woń nędzy i niechlujstwa. Matka ciągle chora leżała w brudnej pościeli. Córki, jedna warzyła jakąś strawę, druga się trzpiotała w lusterku. W kąciку na połamanym krześle, przy stoliku bez nogi, siedział chłopiec lat dziesięciu i coś dłubał w drzewie nożykiem. Papa chodził po izbie w brudnej koszuli i mruczał rolę pod nosem.

»Piękna Amelio i tak wędnać tu odludnie.

Ten zamek nad jeziorem położony cudnie«...

— Cóż, dasz już raz tę kawę?

— Niechce się woda zagotować, bo niema drzewa.

— Masz!

Urwał nogę od stołka i rzucił dziewczynie.

— Bój się Boga Ignacy — stęknęła matka — nie będzie na czym siedzieć.

— Na ziemi. »Ten zamek nad jeziorem położony cudnie«. Dali mięsa?

— Nie dali.

— Któż chodził?

— Mania.

— Nie mogłaś iść sama, flądrowa jakaś. Ona głupią Manią się postuguje.

— Właśnie, Mania głupia niech idzie, a jam nie głupia to nie pójdę.

— »Ten zamek nad jeziorem położony cudnie«. To psiakrew wiersz, który w głowę wleźć nie chce. No! wyczupurzyłaś się dobrze. Nazywają cię głupią, a ty ich wszystkich sprzedasz. Idźże do Groglika, uśmiechnij mu się tak jak to umiesz, z głupia frant, i weź kiełbasy ze dwa funty i parę paczek papierosów.

— Nie posyłaj dziewczyny, wiesz przecie co ją tam spotkało — wystękała matka.

— Nic nie szkodzi, od tego nie umrze.

»Ten zamek nad jeziorem położony cudnie«.

— Sodoma, Gomora. Boże, nie daj mi więcej pa-trzeć na to.

— Antoś!

Chłopiec drgnął i przybieżał zalękniony do ojca.

— Pójdiesz do sklepiku po bułki, tylko nie do tego naprzeciwko — wiesz?

— Wiem tato.

— Na rogu, tu koło kościoła. Niech ci da bułek. Powiesz, że tata na wieczór zapłaci jak weźmie gażę.

— Dobrze tato.

— »Ten zamek«... Niech cię piorun spali. Poco on takie głupie sztuki wywłóczy.

— Pomyśl też o butach dla Antosia, chłopcu palce z nóg wyłażą.

— Niech mu Fela kupi buty.

— A ja zaco?

— Cóżeś zrobiła z pieniędzmi?

— Zapłaciłam dług krawcowej.

— Nie mówiłem wam szelmy, żeby całą gażę mnie oddawać do ręki. Ona długi płaci! Córka Ignacego Z. płaci długi. W kogoś ty się wrodziła kanalio? Widzia-łaś kiedy, aby twój ojciec jaki dług zapłacił?

— Ojciec nie — ale widziałam takich, którzy płaci-ili i nazywali ich porządnymi ludźmi.

— Porządni ludzie, porządni ludzie. Ja wam ten porządek ze łba wykurzę. Porządny ten, kto ma w kieszeni — reszta kpy.

— Eh, to dawniej tak bywało, dziś świat lepszy i nazywa porządnym tego, kto słowa dotrzymać umie.

— Stulisz ty mi pysk, małpo jakaś!

— Ignacy, bój się Boga, zacznasz od samego rana.



— Ja was nauczę, jak mi tu rady dawać, lafiryndy.

— Nie dostałem bułek tatku — rzekł Antoś wchodząc do pokoju.

— Cóż ci powiedzieli te dranie?

— Jak się zapłaci jedno, to można wziąć drugie. Powiedz tatce, że słowa dotrzymać trzeba. Kredytem świat stoi, ale żeby wszyscy kredytorowie byli tacy jak twój papa, świat by dyabli wzięli.

— Patrzcie jak się nauczył na pamięć. Bodaj was piorun spalił.

Takie to skandaliczne obrazki widzieć można było u papy Moulineta.

Życie komedyantów z dawien dawna nie płynęło po miodzie, każdy jednak urządzał się tak, aby związać koniec z końcem, czasem jednak gdy i te końce niedociągnęły, dziwne wyprawiali koziółki.

Papa jednak wszystkich przechodził czelnością. Nie płacił nigdy za nic. Gdy wyjeżdżano z miasta, wynosili się z rana chyłkiem za miasto i tam dopiero wsiadali do wozów, co im się udawało rzadko, bo rozwścieczeni wierzyciele czyhali, łapiąc ich na gorącym uczynku. Trzeba było interwencji dyrektora i kolegów, aby mogli jechać dalej.

Zdarzyło się w Piotrkowie, że im nie chciano wynająć mieszkania w całym mieście, a że było to ciepłą wiosną, papa uprosił sobie u kolejowego oficjalisty próżny wagon i tam ulokował swoje lary i penaty. Czy to przypadkiem, czy przez figiel, wagon przyczepiono do pociągu i biedni rozbitki obudzili się w Częstochowie.

Najwięcej jednak kramu miał z papą każdy dyrektor. Nadbierał zawsze gaży tak, że gdy przyszło do wypłaty, nietylko że grosza nie dostał, ale zawsze się zadłużył. Dopieroż kłótnie, lamenty. Dyrektor uciekał, papa stawał przy drzwiach jak szyldwach, albo myszkował za nim po mieście.

Papa poluje na *à conto* — mawiano.

A to *à conto* rozplýwało się poprostu w rękach papy Moulineta.

Był smakoszem, więc za wyrwane od dyrektora pieniądze objadał się kawiozem i homarami, z reszty zaś, która mu się została wstępował do rzeźnika, kupował ćwiartkę cielęciny i rzucał w paszczę zgłodniałym dzieciom i żonie.

Czasem, gdy mu przyszła fantazyja, kupował im za parę rubli ciastek albo owoców, bo mawiał: Delikatne żołądki trzeba żywić delikatnymi potrawami.

Najpierwszą jednak i najważniejszą czynnością papy Moulineta, było wyrobienie sobie kredytu w mieście. Zadanie to nie lada, gdy się zważy, że opinia, jaką mają komedyanci, nie bardzo wzbudza zaufanie. Papa wybierał sobie kupca albo kupcową, których twarze wydały mu się dobrodusznymi i kupował u nich za gotówkę nie targując się wcale, w trakcie tego opowiadał im od niechcienia o swoich stosunkach majątkowych, o stratach, jakie poniósł prowadząc dyrekcję, o nadszarpnięciu kapitału i t. p. Gdy się takiego pana dobrze usposobiło, papa zapuszczał wendę. Wziął od razu na kredyt za kilkanaście rubli. Gdy kupiec dał, mówiono: załapany już będzie tonął dalej, gdy odmówił, puszczano go w trąbę i urabiało się innego.

Czasem wchodził do sklepu, nabrał wiktuałów i zapominał pieniędzy, a czasem zostawił Antosia na zastaw. Były to jednak już rozpaczliwe środki.

Pożyczał ciągle i nie było wypadku, aby mu odmówiono, bo papa umiał wprzód przychylnie usposobić dla siebie pożyczającego, tak ładnie facecyjkami ubrał swoją prośbę, że tamten brał się za brzuch od śmiechu, a śmiech przecie otwiera serca... no i kieszeń.

Niedużego wzrostu, z okrągłą i wygoloną twarzą, pełną dobrodusznego uśmiechu, dobrej tuszy, wyglądał

na poczciwca, z którym aż ślinka szła do ust, aby wypić i pogawędzić. To też knajpa bywała areną jego działalności, jak na scenie bywał tylko prostym szeregowcem, tak znowu w knajpie bywał królem. Niema papy, niema zabawy — mawiano.

Papa stosownie do okoliczności umiał być i uczuciowym i sentymentalnym. Umiał dzielić troski i zmartwienia towarzyszy i przykładac plaster na rany duszy.

— Do rany przyłożyć tego poczciwego Ignasia — mówili rozrzewnieni pijacy.

Już dobrze po północy wracał papa urżnięty do domu, zawsze stękający mocno i uskarżający się na rozmaite dolegliwości. Na te skargi nikt mu nie odpowiadał. Rozbierał się i zasypiał.

\* \* \*

Ta biedna połowa naszego rodzaju zwana powszechnie słabą połową, zdobywa się nieraz na herkulesowe siły.

Pewnego ranku, pani Apolonia wstała żeżko z łóżka, ubrała się i kazała ubrać dziewczętom. Spakowano tłómaczki i wyjechano po cichu z miasta.

W nawpół opustoszałej izbie został tylko Antoś, któremu matka przykazała, aby czuwał nad ojcem.

Chłopiec się rozplakał, ale po chwili otarł oczy, dzwignął główkę do góry, zacisnął piąstki aż w nich zatrzęszczało i oczekiwał spokojnie powrotu ojca.

Papa w tych czasach bywał urżnięty prawie co dzień. Wracał do domu nad ranem, nie troszcząc się czy żona i dzieci jadły. Gdy wreszcie pewnej nocy przyszedł pijany do domu z dziewczętami, które wodził z sobą po knajpach, zrozpaczona a uczciwa matka wzmożła się w siły i postanowiła porzucić pijaka, aby ratować dzieci.

— Gdzie matka?

— Nie wiem.

— Nie wiesz?

— Nie wiem, a choćbym i wiedział to tatce nie powiem.

— A ty skądeś taki, padalcze. To się tak ojcu odpowiada? Zaraz ja cię tu nauczę.

— Tatko nie bij mnie, bo i ja ucieknę i zostaniesz sam.

— Ściągnij mi buty łajdaku. Czekaście, jutro ja z wami pogadam.

Antoś przygotował z rana ojcu ulubiony trunek, herbatę z cytryną, położył paczkę papierosów, wyczyścił mu ubranie, potem się zabrał do swojej ulubionej roboty i czekał przebudzenia.

Papa otworzył oczy i długi czas wodził po izbie, przypominając sobie zaszłe wczoraj zdarzenia: jak wybiegł z izby trzasnąwszy drzwiami i rzucił przekleństwem, jak im grosza na życie nie zostawił i jak wróciwszy znalazł dom opustoszały.

— Kiedy wyjechali?

— Z rana.

— Więc już wszystko było uplanowane. Skąd wzięłaś herbaty?

— Sąsiadka z przeciwka pożyczyła.

— A papierosy?

— W sklepiku dali na kredyt.

— A ty czemuś nie pojechał z matką?

— Bo chcę być przy tatusiu.

Papa napił się herbaty i zaciągnął parę razy papierosem, potem popatrzył z uwagą na chłopca, jak gdyby mu się chciał dobrze przypatrzyć.

— Antosiu!

— Słucham tatki.

— Co ty tam dłubiesz?

— To co zawsze, buduję młynek.

- Na co ci to?
- Kiedy ja to lubię.
- Chciałbyś być mechanikiem?
- O tak chciałbym.

Zaczął się przepowiadanie roli. Później papa Moulinet się ubierał i widział jak starannie wyczyszczono mu garderobę.

— Przyjdiesz na próbę, a potem pójdziemy razem na objad.

— Dobrze tatku.

Jedli objad w restauracyi, tam gdzie zwykle papa się urzynał.

- Idź do domu Antosiu.
- Pójdę z tatą razem.
- Proszę piwa.
- Tatku nie pij tyle.
- Dlaczego?
- Nie trzeba.

Papa popatrzył na chłopca tak jak z rana.

— Pójdziemy do domu. Tatko się prześni, a potem wysłucham tatki z dzisiejszej roli.

— Dobrze mówisz.. Jak dobrze, to dobrze. Pójdźmy do domu.

I tak było codzień.

Antoś chodził za ojcem jak przyszyty.

Wysłał go za jakimś sprawunkiem. Czekając na chłopca przeglądał jego kącik z robotami. Zdumiał się, jak Antoś umiejętnie porobił kółka zębate, jak ich składać umiał, ale nadewszystko zdziwiła papę biblioteczka Antosia, ułożona starannie na oknie.

Czytał tytuły:

»Pomoc własna«, »Charakter«, »Obowiązek«, »Życie i praca«, »Oszczędność«.

- Skąd ty masz te książki?
- Tatko nie wie?

— Nie wiem.

— Bo tatko nigdy się o nic mnie nie pytał. Książki dostarcza mi zawsze pan Ludwik.

Pan Ludwik był amantem w trupie, przytem kawalek literata. Pisywał i tłumaczył artykuły do gazet. Nie cierpiał papy i on go nawzajem.

— Jak ty możesz brać książki u tego łajdaka.

— Albo on łajdak? Niechno tatko przeczyta choć z jedną.

— Precz! to wróg twojego ojca.

— Jaki on tam wróg. On tylko mówi zawsze, że tatko nie dba o swoją rodzinę, a ja się z nim kłócę i powiadam, że na tatkę przychodzą tylko dni takie, a potem tatko żałuje.

— Tak mu powiedziałeś? Toś ty nadzwyczaj rozsądne dziecko.

— Eh nie, tylko ja kocham tatusia, a jak słyszę co złego, że na tatkę gadają, to bym im oczy wydrapał.

— Cóż gadają?

— »Oh widzisz, to syn papy Moulineta, będzie taki kawaler jak i ojciec«. Dlaczego oni tatkę nazywają papą Moulinetem?

— To, tak..

— Jak?

— Ty tego nie zrozumiesz.

I tu papa chrząknął, obrócił się tyłem do chłopca, bo czuł jak gdyby wstyd przed temi niebieskimi oczkami, które patrzyły uporczywie w niego. Począł przeglądać książki.

— I dużoś tego już przeczytał?

— Oho, masę! I z każdej książki przeczytanej każe mi pan Ludwik robić wypracowanie. Widzi tatuś ten kajet? to tutaj.

Papa przeglądał... i coś dziwnego chwyciło go pod sercem... czuł niby kurcz jakiś.

I ten stary cygan, który prócz roli nigdy żadnej książki nie wziął do ręki, zaczął czytać.

Teraz Antoś miał już nad ojcem przewagę, bo gdy stary komedyant, folgując nałogowi, chciał się puścić, chłopiec, który umiał na pamięć całego Smilesa, przytaczał mu zaraz przykład.

Papa się marszczył, potem uśmiechał i było mu jakoś błogo.

I tak 10-letni Antoś począł wychowywać papę.

Chłopiec odbierał listy od matki i siostr i nawzajem donosił im co się z ojcem robi.

— Przemienił nam ktoś papę Moulineta — mawiali aktorzy.

— A wiecie co się dzieje z panią Ignacową i jej córkami — rzekła jedna z artystek. — Otworzyły wraz z siostrą sklep z bielizną na Nowym Świecie i podobno im się świetnie powodzi.

— Dzielna kobieta, jam zawsze mówił, że w tem wątku ciele wielka dusza się kryje — rzekł sentencyonalnie pan Ludwik. — Uratowała córki od zagłady.

— Ale o papie słyszeć nie chce.

— Dziwna rzecz, papa coby teraz mógł popuścić wodze, nie będąc krępowanym magnifiką, spasował. Na próby przychodzi regularnie i role umie i w domu przesiaduje całymi dniami.

— Przemysłowa nad nowym kawałem. Zobaczycie jakiego on nam teraz puści bączka — rzekł komik.

— Cicho!

Wszyscy spojrzeli na drzwi, któremi właśnie wszedł papa Moulinet.

Dotąd widywano go z obrzękłą zawsze twarzą jak gdyby nalaną, z podpuchłemi oczyma, z ironicznym i zjadliwym uśmiechem, teraz schudł, oczy mu błyszczały jakimś pogodnym wyrazem. Był starannie ogolonym i ubranym czysto. Powitał wszystkich zwykłym »Dzień

dobry«, do pana Ludwika zaś zbliżył się trochę nieśmiało i podał mu rękę.

— Dziękuję panu za mego Antosia.

— A cóżem ja takiego mu zrobił?

— Ja to wiem.

— Tylko Bogu pan podziękuj, że ci dał takie dziecko, które się garnie do światła.

— Ja Bogu dziękuję, aleś pan podał mu sposobność. Daruj pan, zawsze cię miałem za intruza, który wkręcił się do aktorów po to, aby ich nicować, teraz widzę, że tacy jak pan są potrzebni i użyteczni. Czemu ja w młodości nie miałem takiego przewodnika.

— Lepiej późno jak nigdy, panie Ignacy.

— Oj lepiej wcześniej. Ale co tam o tem gadać. Trzeba pokutować i winę naprawić.

— Co to będzie, co to będzie — szeptali koledzy.

Komik się podśmiewał, wężąc kawał.

— Przyszedłem się z wami pożegnać. Niema jeszcze dyrektora? Jadę z Antosiem do Warszawy. Trzeba go ulokować w szkole przygotowawczej, a potem wysłać na technikę. Chłopiec ma ogromne zdolności do mechaniki. Nie można tego zaniedbywać. Czas już wielki. No, ale na to potrzeba środków... Cóż ja biedny mogę? Przyszedłem więc prosić was wszystkich, abyście wstawili się do dyrektora, żeby mi dał jaki benefis... Z zasiłkiem takim mógłbym...

Popatrzał na kolegów, którzy dość dobrze to przyjęli, jeden tylko komik wyskrobywał sobie stearynę z surduta.

— Ależ tak, tak — rzekł pan Ludwik — to sprawa święta. Wszyscy się tem zajmujemy.

— Naturalnie — przywtórzyli koledzy.

— Oh, jest i dyrektor. Dyrektorze kochany. Pan Ignacy i my wszyscy w jego imieniu zanosimy prośbę...

Tu pan Ludwik wyłuszczył powody.

Prośby wysłuchano i dano przychylną decyzję.

— A to gałgan — rzekł komik spluwając i wynosząc się chyłkiem ze sceny.

I oto stało się, że wszystkie bilety rozebrali pomiędzy siebie koledzy i sprzedawali ich w mieście po możliwie największych cenach.

Spektakl był wypełniony. Papa zgarnął do kieszeni blisko tysiąc rubli. Podziękował dyrektorowi i kolegom, nasunął kapelusz na bakier i puścił się na miasto.

Pamiętną do dziś dnia w Lublinie knajpa, gdzie się odegrała jedna z najwstrętniejszych scen.

Oto do izby zadymionej i cuchnącej, gdzie siedział za stołem pijany papa w gronie wesołych kobiet i hulaków, wpadł zadyszany Antoś szukając ojca po całym mieście.

— Ach tatko — krzyknął chłopiec przerażającym głosem — to tak dotrzymujesz słowa. Mój Boże, cóż mama na to powie?

— A ty kanalio będziesz ojca strofował!

I tu padł raz na głowę dziecka, które runęło oblewając się krwią.

\* \* \*

Szliśmy z kolegą W. przez saski ogród, gdy miją nas para ludzi. Jeden z nich był młody i bardzo sympatycznej powierzchowności, ale już trochę przygarbiony, drugi stary, siwiuteńki z dużą brodą. Ukłonili się koledze.

— Wiesz, kto są ci panowie? To papa Moulinet i jego syn.

— To papa Moulinet? Sławny papa Moulinet. Dlaczego mi tego wcześniej nie powiedziałeś, byłbym mu się lepiej przypatrzył.

— Możesz go widzieć o każdej dnia godzinie w kantorze maszyn na Solcu, zajętego pracą przy biurku.

— Papa Moulinet, w kantorze maszyn. O losy!

— Po ostatnim upadku, który odpokutował kłęcząc przy beznadziejnie chorem dziecku, przetopiło się wreszcie zło w czysty metal. Stary człowiek w nim umarł, a urodził się nowy, jak widzisz, z siwą brodą.

— A żona, a córki?

— Staruszka pielęgnuje wnuki.

Oh dobra natura ludzka — pomyślałem sobie — ileż w tobie sił życiodajnych, trzeba tylko umieć oświetlić te przepastne otchłanie duszy.

Wyobrażam sobie, jak ta cnota musiała prosić występku, o pozwolenie zrobienia mu dobrze.



## AUTOR CIENI.

Powiada gdzieś Korzeniowski, że zamiar, jest to ziarno, które potrzebuje być zakryte, aby spęczniało, pękło i wypuściło z siebie listek, źdźbło i owoc. Gdy jest na wierzchu, lada wiatr może je zdmuchnąć, lada wróbel schwycić.

Tę maksymę prawdziwszą od niektórych cudzoziemskich aforyzmów, któremi tak chętnie posługiwać się lubimy, może sobie każdy twórczy talent na marmurze wyryć i czytać ją o każdej porze dnia i nocy.

Ileż to wielkich dzieł zmarniało, gdy o nich roztrąbiono przed poczęciem, mając tylko zamiar? Ileż to takich owocodajnych ziarn zawierucha życiowa zdmuchnęła, albo żarłoczny wróbel schwycił, ubierając się w nieswoje pierze.

O tobie chcę mówić kochany Jasiu, genialny, wielki w pomysłach, a zeszyły z tego padółu bezpłodnie. Jak gdyby na urągowisko dano ci głowę, w której mieniły się wszystkie barwy i piękności poezji szczytnej, a odmówiono tego, czem najnędniejszy parobek poszczycić się może: wytrwania, pracy skupionej i zamkniętej.

Płonąłś ogniem jak prawdziwy Prometeusz, obdzielając nim ludzkie rzesze, a sam zeszedłś w cienie, gdzie ci żadna gwiazdeczka nie przyświeca.

To straszne!

Ileż to pięknych chwil mu zawdzięczaliśmy.

Był młodym, bo zaledwie trzydziesty rok zaczął, ale życie poznał już dobrze. Podróżował wiele, widział i słyszał dużo, ale na to wszystko machał ręką obojętnie, mówiąc:

— Niema już wielkiej poezji, niema wielkich artystów. Było to tam kiedyś... dziś pustynia.

Możnaby powiedzieć, że pan Jan był zblazowanym, ale nie. Wszystko go żywo zajmowało, zapalał się często. Długo nie był w kraju, więc każdy objaw, czy to w sztuce, czy w literaturze zajmował go ogromnie.

Nienawidził importowanej jak ją nazywał literatury.

— I poco te śmiecie? Żeby więcej pawi i papug stworzyć? Żeby nasi domorośli krytycy udawali Janinów i Sarceyów, a wszystko to, co poczęte w duchu i w myśli narodowej, deptali nogami?

— Więc sądzisz, że my już wszystko umiemy i nie potrzebujemy wiedzieć co wytwarzają inni?

— Owszem, jak zrobić zgrabne buty, albo frak ładnie uszyć, zgoda, ale te wszystkie wstrętne wyroby ich literatury, to brudy i śmiecie. Czy u nas brak kiedy było twórczych umysłów? Jeden szczątek dramatu Słowackiego wart u mnie więcej, niż cały ich Wiktor Hugo.

— Zgoda Jasiu! zgoda!

Niech żyje nasz Jan kochany! Nasza chwała, nasza przyszłość.

— Idźcie do licha.

Graliśmy, pamiętam, »Starych kawalerów« Sardou; Jaś wpada za kulisy jak bomba.

— Toż ten złodziej francuz ukradł Korzeniowskiemu pomysł. To jego »Stary kawaler«, tylko że obrobiony po ludzku a nie po bliższemu. Tam niema żadnego *Deus ex machina* pana Nantya, ale jest córka naturalna, świadoma swego stosunku do ojca. I ci nasi krytycy pogrzebali tę sztukę przed paru laty, zarzucając jej

niemoralność, a to pudło pana Sardou nazywają arcydziełem. Niech was piorun spali! No i powiedzcie czy warto u nas co pisać?

Splunął, okręcił się na pięcie i wyleciał do krzesła, nicując w dalszym ciągu sztukę francuza, na której zdrowej nitki nie zostawił, wyliczając jej dziury i braki.

Nim skończyliśmy sztukę, znów się nam zjawił.

— Nie chcę dalej siedzieć, bo już widzę jak ta bestya z publicznością się ułatwi. Tego kanałię wynagrodzi za wszystkie jego łajdactwa, ofiarując mu ciepły i miękki kącik przy młodej parze. Tfu! czekam na was u Wentzla.

Ubieraliśmy się gorączkowo, bośmy już naprzód wiedzieli jaka nas przyjemność czeka. Szepnął nam któryś, że Jaś coś czytać będzie.

Zastaliśmy go w oddzielnym gabinecie przy nakrytym stole, dającego garsonowi dyspozycje.

— Siadajcie! odpocznijcie! Wiem, że was szczęki bolą, boć wypluć tyle tej sieczki...

— Eh, dajno pokój — odezwał się któryś — są tam przepyszne sceny.

— Przepyszne sceny! O aktorskie łby zakute, bez krzty krytycyzmu, wy mierzycie sztukę według dobrych ról, które gracie.

— A jakże chcesz abyśmy ją mierzyli?

Popatrzał długo na interlokutora, potem parsknął śmiechem tak wielkim, że się okna zatrzęsły i rzucił krótko.

— Masz rację! Ale dosyć tego durnia i jego sztuki. Oto kolacya! Dalej do wódeczki.

Kto nie widział, niema pojęcia jak to aktorzy jedzą i piją po premierze. Wyczulone nerwy całodziennym czuwaniem, w którym posiłek żaden nie może przejść przez gardło, potem spracowani fizycznie na scenie, w znoju i w pocie, niby drwał, który furę całą na-

rabał, z nieodstępną tremą, gdy zrzucili z siebie maskę, żołądek krzyczy gwałtu, pochłaniają też jadło niby wilcy żarłoczni. Wówczas cokolwiek im podasz wydaje się specyałem, a cóż dopiero gdy przychodzą smakołyki, złożone z kanapek, kawioru, mięsów i ryb w różnych postaciach, oblewane pilznerem.

Jaś patrzył na nas i zacierał ręce, a dolewał, a częstował.

— No, podjedliście dobrze, teraz się napijcie.

— Zdrowie naszej literatury — krzyknął któryś.

— Precz! a to naco? Ona zdrowa i silna — rzekł

Jaś. — Niech będzie raz nareszcie zdrowa u nas krytyka.

— Wiwat!

— Teraz was proszę o posłuchanie. Zacząłem dramat o Krzysztofie Kolumbie.

— Cudna postać.

— Tak, wielka postać. Gdyby nasz ukochany Julek pożył dłużej, byłby go wziął. Nie znaleźć w dziejach drugiej tragiczniejszej postaci. Napisałem prolog, czy też może akt pierwszy, bo nie wiem jeszcze jak to ekonomicznie podzielię. Zresztą mniejsza o to. Słuchajcie!

»Rzecz dzieje się w klasztorze Palos, gdzie biedny tułacz wraz z małym synkiem, po bezskutecznych kołatanjach u tronu i możnych, szuka schronienia jak żebrak, niemający gdzie głowy złożyć«.

I tu Jaś począł nam czytać swój utwór.

Jeszcze mi dotąd brzmi w uszach jego przepiękny wiersz pełen obrazów wspaniałych, porównań i nowych zwrotów języka. Jeszcze mi pamiętną scena, kiedy Kolumb rozwija przed niedowierzającym mu zrazu mnichem cały olbrzymi swój pomysł, a rozwija i tłumaczy tak, że wreszcie człowiek ten prosty a uczciwy odczuwa niby dreszcz jasnowidzenia i kończy temi słowy: »Kolumbie! ja widzę tę ziemię, którą ty przeczuwasz, ja widzę ją. Ciebie Bóg wybrał, abys objawił ludziom co było dotąd

zakrytem. Pójdź! Padniem do stóp Izabeli. Ona ciebie pojmie, jak ja pojąłem».

Wysłuchaliśmy zachwyceni całego tego pięknego fragmentu.

— Cóż wy na to?

— Pozwól się uściskać.

— Ależ ja was pytam co o tem sądzicie? Czy to wywrze wrażenie?

— Spójrzj na nas a masz wrażenie.

— Wiersz?

— Boski.

— Siła argumentacyi Kolumba?

— Potężna. Przestudowałaś całą ówczesną wiedzę.

— Pisać dalej?

— On się pyta, mój Boże!

— Dobranoc.

— Dobranoc.

Wyszedł zły i zachmurzony.

Nazajutrz.

— Cóż Kolumb, idzie?

— Podarłem w drobne kawałki.

— I dlaczego?

— Głupstwo błędzić po umarłym świecie. Patrz na życie! Patrz, czy widzisz co się tu dzieje? Juwenalem, Juwenalem być trzeba. Chłostać to robactwo co się wije i gryzie. Opowiem wam cały plan komedyi, jakim sobie ułożył wczoraj rozstając się z wami. Czekam was u siebie o dziesiątej.

Byłem wściekły.

— Czemużem nie wyrwał temu bestyi manuskryptu i nie uchwycił przed zniszczeniem? Na toż nas rozpalił do czerwoności, aby potem oblać zimną wodą.

Mieszkał przy siostrze zamężnej za profesorem L... Była to dama bardzo dystyngowana i wykształcona. W ich domu zbierał się cały artystyczny i literacki świa-

tek Krakowa. Pani Julia umiała z taktem gromadzić w swoim domu wszystkie obozy, jakie już wówczas organizowały się w Krakowie. Raz na zawsze powiedzianem było, że w jej domu nie wolno rozprawić o polityce i trzymano się tego zakazu ściśle.

Nim jeszcze gromadzić się poczęli, poszedłem do niej na pogawędkę.

— Cóż tam Jaś wczoraj z wami robił, że wrócił taki nieswój i w złym humorze?

— Ach pani, umyślnie przyszedłem wcześniej, aby się użalić na tego niegodziwca.

— Cóż się stało?

Opowiedziałem o wczorajszej uczcie.

— I to pana tak zmartwiło?

— No jakże, czy na to go Pan Bóg tak wysoko uposażył, aby ten talent deptał nogami?

— Talent, talent! Czy geniusz nawet! Za wysoko go oceniacie. Alboż to talent. Że błyska pomysłami jak raketami, że głowa jego przepełniona obrazami nawet wysoce poetycznymi, to jeszcze nie jest talent. Talent to cierpliwość, to mozolna praca w skupieniu ducha, a tej mój braciszek niema i nigdy jej mieć nie będzie. Pozwólcie mu bawić się temi raketami i nie bierzcie go na seryo.

— Pani to mówisz?

— Ja mówię, bom kobieta praktyczna i nie patrzę jak wy przez różowe szkiełka.

— Pani! Czyś słyszała, czyś czytała ten przepiękny fragment o Kolumbie?

— Jam już wiele rzeczy jego słyszała i tak się oburzałam jak pan przed chwilą, no, ale przecie możnaby zwaryować, gdyby się tem ciągle przejmować i żałować i złorzeczyć. Oddawna machnęłam ręką na to wszystko i dziś nic sobie z tego nie robię.

— Ależ to jest okropne.



— Nie, to jest bardzo naturalne. Czytałeś pan zapewne biografię Byrona?

— Czytałem.

— No, to pan pewnie zapamiętałeś, że dopiero na wygnaniu począł być poetą. Przedtem rzucał swoje manuskrypta jako bazgrołę bez wartości. Otóż mego braciszka nie porównywał wprawdzie do Byrona, bo by to było herezyą, ale coś z jego natury ma w sobie. Postaw go pan w takiej kolizyi, gdzieby musiał walczyć o byt, o cząstkę bytu, o zdobycie kawałka chleba, a możeby się wyrobił zeń poeta. Przypominam sobie, bo wszystko co tylko ma jakąś analogię z moim kochanym braciszkiem notowałam w pamięci. Przypominam sobie aforyzm Jana Pawła, aforyzm przepiękny, jak wszystko, co z pod jego pióra wyszło: Otóż powiada: W narodach jak w ogrodach sprawdza się reguła, że drzewa które nie chcą kwitnąć, można przez silne zranienie do kwitnięcia zmusić. Co on mówi o narodach, możnaby także zastosować i do pojedynczego człowieka. A że ja nie chcę, aby mój kochany Jasiek walczył o kromkę chleba, albo poranił swoją duszę, uchowaj go Boże od tego, więc niech sobie buja po lazurze i wyśmiewa wszystkich i wszystko.

— Jesteś pani mądra jak Minerwa — rzekłem, całując jej piękną rączkę — aleś mnie nie przekonała. Jakto, więc aby być poetą trzeba koniecznie krwawić stopy cierniami i żyć suchym kawałkiem chleba?

— Tak, walczyć i cierpieć trzeba. Dziwię się, że pan, który przecie przeżyłeś ciężką szkołę życia, możesz powątpiewać o tem.

— Wyjątki nie są regułą.

— Tu niema wyjątków. Wszyscy ludzie talentu czy geniuszu cierpieć musieli.

— Wyliczylbym pani wielu, którym całe życie przeszło po kwiatach.

— Oh, już wiem... Göthe! Ależ ten Göthe sam napisał, że geniusz to cierpliwość i sądzisz pan, że cierpliwości nauczyć się można nie cierpiąc? Spytaj pan mojego braciszka, próżniaka, ile mu męki zadaje najmniejszy wysiłek.

— Ha, jestem pobity. Jakaż szkoda! Jakaż strata, mój Boże. Czy on się nigdy nie kochał?

— W kim?

— No, w kobiecie.

— Oj, oj, wiele razy.

— Przepraszam panią, że wchodzę na tor może niewłaściwy, może przykry dla pani.

— Owszem, proszę, ja rozmawiam o wszystkim.

— Otóż nie o miłośkach, ale o miłości mówić chciałem.

— Chcesz pan mówić o Muzie, dla którejby śpiewał. Były i takie. Była nawet wielka namiętność... tak ją przynajmniej nazywał... Ale i to przeszło jak marcowa pogoda.

Goście się schodzić zaczęli i na tem zakończyła się rozmowa.

Siadłem w kącie, rozmyślając nad trafnością poglądów pięknej pani Julii i począłem się baczniej przypatrywać naszemu Jasiowi. Między młodymi stosunek łatwy, nie bada się, nie przymierza człowieka jak w dojrzałych latach, wierzy się we wszystko i basta. Tak i przyjaźń nasza. Mówiliśmy sobie ty, a nie znaliśmy się zupełnie. Otóż Jaś wydał mi się dziś niby zepsute dziecko, niby goguś pieszczony i cackany od młodu, któremu dawano szybki z okna i gwiazdki z nieba. Na tej twarzy młodej a błyskającej iskrami ironii, sarkazmu, zapału, nie dostrzegłem tej poważnej bruzdy, jaką życie wytwarza. Wreszcie rzekłem sobie: Widocznie jestem pod wpływem jego siostry, bajka to wszystko.

Jaś był rozpromieniony.

Opowiadał treść swej komedyi, którą nazwał: »Pieczeniarczy«.

Była to satyra na tak rozpowszechnione u nas płaszczenie się i serwilizm dla pieczeni. Przedstawił nam darmozjadów wszelkiego gatunku. Malował sytuacje przepyszne, błyskał dowcipem i zjadliwemi epitetami. Niektórzy się krzywili trochę, ale ogólnie aplauzem wielkim przyjęto pomysł.

— Zaraz się zabieram do tego.

— Brawo!

— Który to już twój pomysł Jasiu — odezwała się pani Julia?

— No, wszak ty notujesz wszystkie.

— Czterechsetny drugi, według moich obliczeń.

— Oh la Boga!

— Daruj mi pan ten temat — rzekł pan W...

— Który?

— Tych »Pieczeniarczy« pan pewnie nie napiszesz, a ja to obrobię.

— Nie mogę. Wreszcie zobaczę.

— Ah panie, gdybyś mi dał temat do libretta — rzekł nasz kapelmistrz, biorąc go uprzejmie pod rękę.

— O wy miechodmuchy! troszczy się o temat do opery. Weź pierwszą lepszą legendę ludową. Wszak to się prosi wszystko o muzykę.

I miał zupełną słuszność.

\* \* \*

I tak, w tym zacnym domu z naszym kochanym Jasiem złote godziny się spędzało, nazywaliśmy też dom ten krakowskiemi Puławami i byłoby nam długo dobrze, gdyby...

Pewnego wieczoru, gdy tak dysputujemy, spieramy się, krytykujemy, gdy Jaś opowiadał nam z kolei pięćsetny któryś temat, gdy nam nawet odczytał pierwszą

scenę swego »Króla Hamleta«, czujemy jednocześnie, że w następnych pokojach gospodarstwa coś się stało. Jakaś krętanina, wreszcie odzywają się okrzyki biadania, rozpaczcy...

— Co tam się stało?

Wpada wreszcie z ulicy do salonu jeden z gości wołając: krach! krach w Wiedniu! Bankructwo na łeb, na szyję.

— A co, nie mówiłem — woła rozpromieniony Jaś. — Ot temat do komedyi gotowiuteńki.

Wchodzi do salonu służący.

— Państwo przepraszają, że służyć nie mogą. Pan mocno zasłabł.

Dowiedzieliśmy się, że profesor przegrał na giełdzie majątek swej żony i Jasia.

Trzeba będzie w przyszłości żyć z pensyi i utrzymywać studentów.

Dotknęło to nas tak boleśnie, jak gdyby tu w grze własny byt był zachwiany. Mniej nas obchodziły straty inne, któremi jęczał prawie Kraków cały. Istneż to było piekło. Nie było domu, któryby nie był zarwany. Ludzie, którzy wczoraj kładli się do snu z głowami pełnemi nadziei, wstawali zbudzeni alarmem niby trąbą sądu ostatecznego. Widywano takich, co w ciągu doby posiwili.

A Jaś?

Jaś się podśmiewał, chociaż bardzo nieszczerze. Dla siebie nic nie pragnął, chodziło mu o siostrę.

Trzeba się było wziąć do pracy.

Po długich poszukiwaniach otrzymał posadę dyurnisty na 600 złotych reńskich.

Ot, walka o byt, ot, poranienie. Niechże ten kwiat bujnie zakwita.

Znosił niedostatek stoicznie, pracował ciężko, pomysłów miał jeszcze więcej, ale nie zakwitł nigdy.

Pani Julia zawsze miła i piękna, pełna pogody ducha pracowała również, tłumacząc i pisząc i zachęcając obydwu do ciężkiej walki z losem.

A prawda, zapomniałem dodać, że biedny Jaś okłaskiwał z całego serca komedię swego przyjaciela Narzymskiego p. t. »Epidemia«, gdzie autor przedstawił historię jego szwagra.

Biedny Jaś.



## OSTATNIA.

Sylwetka.

W dniu kończącym rok stary pogrzebaliśmy Honoratę Majeranowską. Wdzięczni uczniowie i uczennice, kilku kolegów i koleżanek pożegnali ją śpiewem żałobnym, posypali kilka grudek ziemi na jej trumnę i uciekli spiesźnie, aby się nie spóźnić na spektakl.

To młode pokolenie jest zimne i praktyczne, jak wszystko dziś w tym produkcyjnym kotle. Mleć trzeba, bo odbiorcy na czas mieć muszą swoją bułeczkę. Wieczny spokój nieboszczykom, a kto żywy, dalej do taczki! Oto hasło nowego czasu.

Wielu było ludzi na pogrzebie, żadnemu pewnie na myśl nie przyszło, że prowadzi do grobu ostatnią z tej świetnej plejady gwiazd, jakimi jaśniała scena nasza w środowisku ubiegłego stulecia.

Urodzona w Krakowie w roku 1828, z ojca Hofmana, lekarza miejskiego, i matki, wirtuozki na fortepianie, młodziutka, szesnastoletnia Honorcia wystąpiła po raz pierwszy w »Minie, córce burmistrza«, w dniu 29. marca 1844 roku. Występ ten odbył się przy rodzicach chrzestnych: Królikowskim, Rychterze, Chomińskich, Palczewskiej, Ładnowskim. Wszyscy oni z niekłamną radością przyjęli do grona swego tę młodziutką latorośl, wróżąc jej najpiękniejsze nadzieje. Estreicher

w swoich notatkach pod tym rokiem taką daje jej kre-  
skę: »Młodziuchna, śliczna, naiwna i wesolutka, olśnie-  
wała słuchaczy i widzów. Głos to niewielki, ale tak już  
umiejętny, a taki piękny i sympatyczny, jakiego dotąd  
nie było jeszcze na naszej scenie«.

Była uczenicą Mireckiego. Czem był ten Mirecki,  
dla którego Mickiewicz pisał libretto, wiedzą pewnie  
więcej odemnie nasi melomani i historycy muzyki, ja  
powiem o nim to, com wielokrotnie z ust naszej artystki  
słyszał. To powaga tak wielka w sztuce śpiewu, że jego  
świadcstwo dawało wstęp do wszystkich scen Europy,  
a nie było śpiewaczki, albo śpiewaka u nas, któryby  
jemu nie zawdzięczał karyery. Być uczniem Mireckiego  
znaczyło: być dobrym śpiewakiem.

W początkach ubiegłego stulecia opera stawiała  
pierwsze kroki. Muzyka podawała rękę prozie, a proza  
muzyce. Obok śpiewu trzeba było być dobrą artystką  
dramatyczną, toż młodziuchna Honorcia po odśpiewaniu  
»Lucyi z Lamermooru«, grywała w »Papugach naszej  
babuni«, »Pamiętnikach szatana«, »Tarabanie« i w wielu  
innych wodewilach. Sympatya rosła tak, że przy tryum-  
fach Królikowskiego, Rychtera i Chomińskich, kronika  
krakowska zaznacza każdy występ Honorci.

Świetność jednak sceny krakowskiej trwała nie-  
długo, jak wszystko u nas. Ten, co potrafił tyle talentów  
zgrupować, nie umiał nimi kierować i zniechęcił się  
prędko. Młodzi artyści poczuli się rozglądać za nową  
sceną i nową publicznością. Wówczas Warszawa roz-  
warła przed nimi podwoje. Pierwszy, który opuścił scenę  
krakowską, był Józef Rychter, za nim wkrótce poszedł  
Jan Królikowski, potem bracia Chomińscy, Palczewska,  
a w końcu i młoda Honorata Hofmanówna.

Rok 1846 to epoka w dziejach sceny warszawskiej.  
Do zestarzałego organizmu przypląwał potężny kontyn-  
gens krwi młodej, silnej, która miała go odrodzić i dać

mu ten rumieniec życia, jakim będzie błyszczał przez  
pół wieku. Zgrzybiały klasycyzm okrył się szkarłatnym  
płaszczem romantyzmu. Zawrzało na scenie życie, ja-  
kiego dotąd nie widziała.

Równe tryumfy z całą plejadą gwiazd krakow-  
skich dzieli nasza Honorcia. Niezapomniana po dziś dzień  
w »Wyprawie młodego Richelieu'go«, grywa wszystkie  
role po Teresie Damsównie. Korzeniowski pisze dla niej  
jednoaktową komedyjkę p. t. »Pierwej mama«, gdzie ta-  
lent Hofmanówny wznosi się do zenitu. Każde jej uka-  
zanie się na scenie witano gorącymi oklaskami. Słała się  
jej droga, zasypana kwieciami. I czemuż po niej dalej  
nie poszła? Dlaczego ją rzuciła i wołała wracać do zu-  
bożalej i smutnej wówczas sceny krakowskiej, której już  
przyświecało tylko wspomnienie dawnej chwały? Nie-  
stety, zwykle to koleje losu w życiu artystki. Zjawia się  
taki młody pan, z czarnymi wąsikami i błyszczącymi  
oczyma, plecie miłosne androny, a ona w nie wierzy  
i dla nich rzuca wszystko, co zdobyła talentem i pracą,  
rzuca to, za czem tysiące rąk wznosi błagalne modły  
i nigdy nie dosięże — bo jakże to mało tych wybrań-  
ców — rzuca sławę i leci w jego objęcia. Tym wybrań-  
cem szczęśliwym dla siebie, a tak niefortunnym dla  
naszej artystki, jest młody malarz, Władysław Maje-  
ranowski. Patrzę w tej chwili na rozwieszzone w mie-  
szkaniu nieboszczki jej portrety, przez niego malowane,  
w rozmaitych rolach. Człowiek był z talentem, bo por-  
trety żyją. Młodziuchna Honorcia czaruje wdziękiem na  
tych płótnach, jak za życia czarowała współczesnych. Je-  
dyna też to jego zasługa, choć nie wynagrodzi tej wiel-  
kiej krzywdy, jaką wyrządził scenie polskiej.

\* \* \*

Młoda para porzuca kraj. Ona leci urzeczywistnić  
swoje aspiracye wokalne, których nie mogła dostate-

cznie rozwinąć na naszych scenach, a on kształcić się w swojej sztuce.

Dawne pokolenie kochało sławę nad wszystko. Za mamoną nie ubiegano się jak dzisiaj. »Cóż mi to za artysta, który dba o pieniądze« — mawiano z pogardą. — Romantycy takiego pana znieść nie mogli w swoich szeregach. — Za trąbą sławy fortuna i tak podążała, sypiąc im z rogu obfitości swoje dary, ale ubiegać się o nie było hańbą. Gdzie to te czasy?

Majeranowska zdobywa szybko wielki rozgłos. Występuje w starej operze wiedeńskiej »Kertnerthor«. Śpiewa »Lucyę«, dalej »Córkę regimentu«, »Napój miłosny« i zostaje zaangażowana. Osiąga odrazu to, za czem jedna wdycha całe życie, osiąga pierwszorzędne stanowisko na pierwszej scenie świata, a niema jeszcze lat osiemnastu. Teraz wypada się uzbroić w cierpliwość i czekać... bo nie tak łatwo dadzą się zdezonizować jej stare koleżanki. Ale gdzież tu mówić młodej artystce o cierpliwości, jej, która tak ukochała sztukę! Rzuca więc operę wiedeńską, rzuca dobrą gaźę i angażuje się do Pesztu, lecz i tam długo nie bawi.

Wraca do Wiednia i długi czas jest ozdobą nowo założonego teatru Treymana. Śpiewa Eurydykę w »Orfeusza« Ofenbacha tak, że zachwycony autor, który dyrygował operą, składa jej hołd publicznie. Swoją koloraturą zdumiewa Niemców muzykalnych. Bierze udział w koncertach dworskich wraz z europejskimi gwiazdami wokalnemi. Objeżdża kolejno wszystkie sceny niemieckie. Jest u szczytu chwały.

\* \* \*

Jedna ze współczesnych gwiazd europejskich wydrukowała, że »najmilej śpiewać swoim«, ale gdy przyszło zaśpiewać, kazała sobie zapłacić tyle, że środki nasze nie wystarczały. Rzuciła więc tak miłą dla siebie

ojczyznę i poleciała po marki i franki. Majeranowska tego nigdy nie powiedziała, ale zrobiła. Wśród największych tryumfów, żarła jej duszę tęsknota tak wielka, że dzisiaj wierzyć się w to nie chce, a jednak jest prawdą. W dobie najpiękniejszego rozkwitu swego talentu wielkiego, w dobie młodości i wdzięków, rzuca sławę i dostatek i jedzie... Dokąd? — Do Lwowa. Cóż jej ta ubożuchna wówczas scena dać mogła? Dała jej zadowolenie wewnętrzne, rozradowała utęsknioną duszę, bo oto mogła przemawiać i śpiewać w języku własnym. Wszystkie oferty zagraniczne odrzuca, bo ona śpiewa polskie pieśni, a śpiewa je, jak ich nikt dotąd nie śpiewał, śpiewa je, jak może śpiewać ta, która tak gorąco je kochać umiała.

To też miasto zawrzało szaleństwem uwielbienia dla artystki. Teatr lwowski, prócz starych ramot, jak: »Prymadonna«, »Nowy rok«, »Rataplan«, »Handel na żony«, »Laska imperatora«, na nic innego zdobyć się nie mógł, ale Majeranowska te ramoty podnosi do godności wielkiej sztuki. »Śpiewaczkę przyjmują entuzjastycznie, piszą na jej cześć poezye« — powiada Pełowski w swoich »Dziejach sceny lwowskiej«. — Ujejski do mazurków chopinowskich dorabia dla niej swoje prześliczne wiersze. Młody wówczas Madejski pisze dla niej piosenki, które będą obiegać po całej Polsce. Duniecki komponuje opery. Ona rozbudza młode talenta.

\* \* \*

W roku 1864 angażuje ją Warszawa.

Spotykam jeszcze ludzi, którzy mi opowiadają, jak śpiewała Martę z Dobrskim:

— Panie łaskawy! takiej pary i za dwieście lat nie zapomnę!

A Zerlina w »Don Juanie«, królowa w »Hugonotach«, »Biała dama«, »Freischütz«, »Norma«, »Napój mi-

łosny«, »Lolla Rough«, »Straszny dwór« i ów brylancik muzyki, którym czarowała, »Wesele Joasi« Massego.

I tu Majeranowska, jako główne swe zadanie, uprawia pieśń. Powiem bez przesady, bom patrzył na to, że gdyby nie ona, nie byłby ich Moniuszko tytu i tak pięknych napisał. Ileż to ona dziękczyniń od niego odebrała za każde wykonanie, ile bilecików z wyrazami najczulszej wdzięczności wysłał pod jej adresem pan Stanisław. Odczytuję je, zółkłe i pomięte, to jedyne laurowe listki do jej wieńca.

Z najazdem włoszczyzny na naszą scenę, kończy się dla Majeranowskiej, jak i dla jej kolegów, poważny repertuar, wchodzi Ofenbach z hałasem wielkim. Śpiewa więc »Piękną Helenę«, »Sinobrodego«, »Życie paryskie«, a w końcu, gdy już głos nie dopisuje, przenosi się na małą scenę, ratuje się jednak od utonięcia w szarej toni zapomnienia, otwierając szkołę śpiewu.

Oto jej uczennice: Klamrzyńska, Szlezygierówny, Krajewska, Grassówna, Kawecka, Rapacka, Zimayorowa, Manowska, Kliszewska, Czosnowska — uczeń: Rapacki (syn).

Czynna i energiczna do ostatniej chwili życia.

\* \* \*

Przytoczę tu charakterystyczne wydarzenie, które tak dobrze maluje jej temperament sceniczny i przytomność umysłu.

Śpiewała Łucyę w teatrze letnim. Dzień był nadzwyczaj upalny. Czuła w gardle jak gdyby jakieś zaflegmienie.

- Nie masz coś słodkiego? — mówi do mnie.
- Zaraz ci przyniosę cukierek ślazowy.
- Ach, to dobrze.

Cukierek odświeżył gardło, ale mucha, latająca po scenie, czy to zwabiona jej słodkim śpiewem, czy słod-

szym jeszcze cukierkiem, lata jej koło ust coraz bliżej, nareszcie wpada w usta, a ona (Majeranowska) sypie najpiękniejsze rulady. Nie namyślała się długo, połknęła muchę i ocalała ruladę.

Po skończeniu wychodzi za kulisy, wołając:

— Mucha! mucha! Stoi mi w gardle i rusza się tam. Dajcie mi szklanę wody, na Boga!

\* \* \*

Nie skarżyła się i nie biadała nigdy. Humor i dowcip, nieraz cięty, zawsze jej towarzyszyły. Nie nagrodzono niczem jej wielkich zasług, położonych dla sceny. Gdyby nie pomoc brata, zmarłaby w największej nędzy.

Kilka garści ziemi na trumnę, oto wszystko. Niechże jej lekką będzie ziemia.



## FRAK NIWELATOR.

Pogawędka w garderobie.

Bój się Boga, jakże ty wyglądasz potwornie — mówi kolega S. wchodząc do mojej garderoby. — Daruj, ale co tu, to zdaje mi się przesadziłeś trochę swoją charakterystykę.

— Czy tak? A w czymże tu widzisz przesadę?

— Cała maska wydaje mi się jak gdyby zanadto ostra. Niewiem dobrze gdzieby coś ująć, ależ wkońcu złagodziłby ją trzeba. Jest to rodzaj łajdaka, to prawda, ależ znowu tak wyglądać nie może, bo gdyby tacy ludzie chodzili po ulicach, to policya by się do nich przyczepiła.

— Ha, może masz i słusność. Ale czekaj niech się pierwej ubiorę.

Byłem w negliżu. Kolega się zakręcił, zagwizdał jakąś piosnkę i wyszedł.

— Cóż u dyabła, musiałem rzeczywiście przesadzić. Ten zwykle ma zwyczaj mówić prawdę, przytem nie jest zawistny, bo i całkiem odmienne role grywamy.

Rzucam jeszcze raz baczem okiem w zwierciadło, przysuwam się, odsuwam i... nie wiem czy pod wpływem słów jego, czy też rzeczywiście przesadziłem trochę w tej masce.

A tak ją sobie dobrze obmyśliłem.

Cóż ja wreszcie takiego zrobiłem. Niema tu nic nie-naturalnego. Takich ludzi spotykałem już kilkakrotnie.

— Krawiec! ubieram się.

Zaczynam naprzód od bielizny, potem od dołu, wreszcie zawiązuję krawat, a wszystko to odbywa się przed wielkim lustrem, w którym postać moja odbita, a z której oka nie spuszczam. I rzecz dziwna, w miarę jak okrywam moją figurę częściami garderoby, ostrość charakterystyki pomału znika. Pozostaje już tylko część jej ostania: frak.

Kładę go... i o dziwo! wyglądam na porządnego człowieka, którego do każdego salonu wpuścić można, a nie dopieroż sprzątać przez policję z ulicy, jak się złośliwie wyraził mój kolega.

Niedowierzam jednak jeszcze sobie. Oko się przyzwyczajają, myślę, nie patrzmy w lustro aż przed samym wyjściem na scenę.

Patrzę na zegarek. Mamy jeszcze pół godziny do zaczęcia.

Tymczasem chodzę wzdłuż i wszerz po garderobie.

Celem mojego rozmyślania jest owa toaleta balowa, która tak zniwelowała ostrość mojej charakterystyki, i już na ten temat snuję całą galeryę postaci jakie kiedykolwiek widziałem... w szlafroku.

Oto mój wujaszek, stary kawaler, którego niegdys odwiedzałem zrana przed pójściem do biura. Widzę te jego okropne worki pod oczami, tę siatkę zmarszczek, ten nos fioletowy i te bokobrody potwornie długie. Wydawał mi się zawsze w domu istną karykaturą. Gdy przeciwnie na ulicy wyglądał tak, jak każdy przeciętny filister. A przecież worki nie poznikały, zmarszczki zostały i bokobrodów nie podciął.

Dalej przyszedł mi na myśl lichwiarz, Mihus zwany, do którego kiedym wszedł na trzecie piętro na starym mieście, stanąłem we drzwiach jak wryty.

Była to głowa godna Hogarta.

Włosy rzadkie, siwe, zaczesane gładko na głowie, oczy zapadłe głęboko, a nos sięgający dolnej wargi, która wraz ze szczęką była dobrze naprzód wysunięta. Istny sęp, a jednakże kiedy przyszedł do mnie po ratę ubrany w czarny tużurek, wyglądał jak każdy porządny człowiek.

A pan Czerwień, nasz sąsiad, ze swym łbem ogromnym na krótkiej szyi, szerokich barach. Gdym go zobaczył w koszuli z porośniętymi piersiami rudym włosom, kłócącego się ze stróżem, myślałem, że widzę jakiego zbiega z rot aresztanckich.

A Antoś! nasz pocziwy Antoś, co siedzi przy kantorze, taki porządny, wykrochmalony, z włosami czarnymi jak kruk, przy bladej twarzy. Wszakże gdyśmy weszli do niego zrana, wydał nam się istnym trupem chodzącym. Wszyscy ilu nas było wrzasnęliśmy:

— Antosiu co tobie? Biedaku tyś chory?

— Ale gdzież znowu — rzekł Antoś uśmiechając się i pokazując nam resztki czarnych zębów. — Skądże wam się to wzięło? Bądźcie łaskawi wejść do salonu, zaraz się ubiorę.

W kwadrans odzyskaliśmy swego Antosia takim jak zawsze.

I byłbym tak dalej bujał, gdyby nie dzwonek reżysera.

Muzyka zaczęła grać, za pięć minut zaczniemy.

Patrzę w zwierciadło — dobrze! To mój wujaszek idący na bal do resursy obywatelskiej.

Przed podniesieniem zasłony wchodzę na scenę, aby obejrzeć czy meble dobrze stoją i czy rekwizyta na swoim miejscu.

— A widzisz, teraz dobrze — mówi kolega S. — Doskonale! Pyszna figura. Złagodziłeś ostrość i wyszło wybornie.

Gadaj sobie, myślę w duszy i dodaję: O modo! o cywilizacyo! nie wiem czy ci złorzeczyć, czy podziwiać tylko, ale co pewna to, żeś ty parawanem, po za którym się chowają wszystkie nasze szpetności.

Co ta suknia z nas nie robi?

Wprawnego nieraz trzeba oka, żeby pod tą skorupą odgadnąć człowieka.

Przypomina mi to aforyzm Carlyla w jego Sadtor-Resartus.

»Szczęśliwy ten, kto umie przeniknąć wzrokiem obleczenie człowieka (wełniane i cielesne i urzędowe. Bankowo-papierowe, oraz państwowo-papierowe odzienie) aż do jego człowieczeństwa, tudzież rozeznąć w razie potrzeby w tym lub owym strasznym mocarzu mniej więcej nieudolny aparat do trawienia, ale także dostrzedz w najniższym włóczędździe, co mu się nawinał przed oczy, niepojętą, czcigodną tajemnicę«.

Kurtyna w górze. Myśli moje dajcie nurka, bo oto wchodzi na scenę Baron Chevrial.

(»Romans Paryski« Feuilleta).







58492

## TREŚĆ.

	Strony
Histryoni, powieść z czasów Dyoklecyana . . .	5
Szkice teatralne.	
Trójka . . . . .	183
Mecenasi . . . . .	194
Matka . . . . .	204
Pan Eustachy Bomba . . . . .	213
Dwaj dyrektorowie . . . . .	223
Papa Moulinet . . . . .	233
Autor cieni . . . . .	246
Ostatnia . . . . .	257
Frak niwelator . . . . .	264





220 —  
413560/21983



